Policjant vs zabójca – losy równoległe • Ludzie prezydenta • Kuszenie Kamysza
Nvidia – kosztowny romans • Najgorszy zawód świata • Powrót Rocky'ego

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 47 (3591), 18.11–24.11.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Seks

ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH

ŻYCIE INTYMNE POLAKÓW

Raport z wielkiego badania obyczajów, seksualności i zdrowia psychicznego s. 24

ISSN 0032-3500
47
9 770032 350602
Wydanie w sprzedaży do 24.11.2026



eprasa.pl 3ca6a7670d



© GRZEGORZ ŁYKO/FOKUSMEDIA/NEWSPIX.PL

10
Policjant vs zabójca: życiorysy równoległe

Temat tygodnia

10 Juliusz Ćwieluch, Natalia Sawka **Zbrodnia w Krakowie: Jakub Kulik i Michał Oksiński – 24-latkowie po dwóch stronach mocy**

Polityka

14 Rafał Kalukin **Marsz Niepodległości: patriotyzm w prawicowym wydaniu**

17 Anna Dąbrowska **Drużyna Nawrockiego**

20 Joanna Sawicka **Frontowiec Władysław Kosiniak-Kamysz**

Społeczeństwo

24 Prof. **Zbigniew Izdebski** o swoich najnowszych badaniach dotyczących zdrowia i seksualności Polaków

29 Joanna Cieśla **Zabójcy samobójcy**

32 Marcin Kołodziejczyk **Prosto z budowy polskiej elektrowni atomowej**

Rynek

36 Marcin Piątek **Koszmarne warunki pracy kurierów**

39 Cezary Kowanda **Jak obronić przed Chińczykami polskie AGD**

Świat

42 Amerykański dyplomata **Kurt Volker** o tym, czy nowy Kongres powstrzyma Donalda Trumpa

46 Timur Olevsky, Paweł Reszka ROSJA **Nie ma już „Nowej Gaziety”**

49 Łukasz Wójcik **Upadek szefa Nvidii, kapłana sztucznej inteligencji**

Nauka/projektpulsar.pl

52 Marcin Żyła **Niezwykła podróż sondy Voyager 1**

55 Andrzej Hołdys **Zniekształcony obraz świata według Merkatora**

Historia

60 Aleksander R. Michalak **Co Rosjanie i Chińczycy zamiatają pod dywan**

63 O Zbigniewie Brzezińskim, doradcy prezydenta USA, opowiada autor jego biografii **Edward Luce**

Kultura

70 Jakub Demiańczuk **Pół wieku temu na filmowy ring wkroczył Rocky**

74 Mirosław Pęczak **Kino Tęcza: legendarna przystań kultury alternatywnej**

78 Olaf Szewczyk **Fenomen krwawej gry „Grand Theft Auto VI”**

80 Rozmowa z **Ethanem Hawkiem**, hollywoodzkim aktorem, gwiazdą dramatu historycznego „Przemytnicy”

Ludzie i style

88 Monika Witkowska **Słonie z Botswany**

89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **66** Afisz
- **83** Witkowski
- **84** Lis
- **85** Koziołek
- **86** Mizerski
- **86**, **90** Galeria POLITYKI
- **87** Do i od redakcji
- **90** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 3ca6a7670d



Kłamstwa pod ochroną

Mariusz Janicki

Zamach w Krakowie pokazał, że czas między poczuciem wspólnotowości a hejtem i pogardą skraca się dramatycznie. Jeszcze przy Smoleńsku były to dni, przy zabójstwie prezydenta Adamowicza przynajmniej godziny, po strzałach w Krakowie – już tylko minuty. Wysyp kłamstw, manipulacji i dezinformacji, teorii spiskowych czy zwykłej podłości był zaskakujący nawet dla odpornych obserwatorów. Szef dużej prawicowej stacji mówił, że nie ma na miejscu policji, choć ta właśnie z poświęceniem pokonała zamachowca (nasza relacja o tamtych wydarzeniach i ich następstwach s. 10). Była sędzia TK, skierowana do Trybunału przez PiS, sugerowała, że za zamachem stoi premier Tusk, bo go rzekomo kilka dni temu tajemniczo zapowiadał. Twierdzono, że do strzelaniny doprowadzili Tusk i Kierwiński, zabierając całą policję pod Trybunał Konstytucyjny. Spod kamienia wypełzły też insynuacje, że za wszystkim stoją służby, które zmusiły zamachowca do działania, aby mieć pretekst do odwołania Marszu Niepodległości. Marsz oczywiście się odbył i prawica wykrzyczała swoje i wykluczyła jakieś pół Polski z patriotycznego narodu (relacja s. 14).

Żeby wszystkie fobie były reprezentowane, pewien poseł Konfederacji od razu zapytał o narodowość sprawcy zamachu. Widać było niecierpliwe oczekiwanie, żeby okazał się Ukraińcem, a ostatecznie jakimś imigrantem. Kiedy najpierw podano, że jest polskim obywatelem, wciąż na prawych socialach tliła się nadzieja, że może i obywatelem, ale nie etnicznym Polakiem, jednak i ta iskierka zgasła. Rzucono się zatem na domniemane poglądy zabójcy. I tutaj widać, jak łatwo można dać prawicy prezent, który ona potraktuje jako alibi dla eskalacji. Tak się stało ze stwierdzeniem ministra Kierwińskiego, że sprawca miał radykalne prawicowe poglądy – wtedy było to podane bez wyraźnego uzasadnienia. I jeśli nawet potem dochodziły nowe poszlaki i przesłanki, wówczas był to błąd. W pewnym sensie analogiczny do wybrania przez Platformę w 2015 r. dwóch sędziów TK „na zapas". Chociaż później tamten delikt został wyprostowany przez sam Trybunał, PiS potraktował to jako przyzwolenie na kompletne zdemolowanie TK, co zresztą i tak by zrobił, ale skaza, pożywka dla symetryzmu, pozostała.

Dlaczego nienawistne wystąpienia i wpisy uchodzą politykom i ich medialnym przedłużeniom na sucho, dlaczego nie obawiają się konsekwencji? Odpowiedź brzmi: bo mogą. Wiedzą, że nie zostaną ukarani powszechnym ostracyzmem, najwyżej czasowo stracą kilku reklamodawców, ale za to sprzedadzą więcej zegarków, bo mają swoich zagorzałych zwolenników, którzy właśnie oczekują takiego bicia po oczach. A po wizycie policji w TV Republika ujęli się za tą stacją nawet ci, którzy na co dzień nazywają ją szczujnią, nagle okazało się, że to jednak dziennikarska brać. Nie ma już prostego kłamstwa, jest zmodyfikowana prawda, opinie przegrywają z faktami. Pod media podszywają się rozmaite twory biznesowo-propagandowe, w miejsce publicysty pojawia się pojęcie „influencera politycznego", którego nie obowiązuje żadna etyka zawodowa, a nawet ogólna. A algorytmy platform premiują „wyraziste" teksty, nie zaś rozważania typu „z jednej strony, z drugiej strony", które lądują na dnie zasięgów. Do tego dołączają ochoczo boty, podbijają jątrzące treści, prowokując powstawanie kolejnych. Niemal zaniknęło pojęcie opinii publicznej jako zbiorowej normy, która jest w stanie wykluczyć kogoś z grona osób przyzwoitych. Ci, którzy namawiają do „strzelania" i „wieszania", bez żadnego problemu pozostają na publicznym rynku. Kłamstwa znajdują się pod ścisłą ochroną politycznej i społecznościowej „bańki", która tworzy własne normy etyczne. Dzieje się tak również dlatego, że ekstremalnie silny podział polityczny prowadzi w końcu do rozpadu wspólnych wartości.

Po zamachu pojawiło się wiele opinii o konieczności zmian w prawie, np. w kwestii dostępu do broni, monitorowania treści w internecie, możliwości wykluczania mowy nienawiści, większej infiltracji środowisk radykalnych. Ale do tego potrzebne jest minimum narodowej zgody, jakiś podstawowy poziom zaufania, także ze strony wyborców. Rząd od dawna ostrzega przed zagrożeniem zewnętrznym, rosyjskim, a największy jak na razie cios przyszedł od wewnątrz. Widać, że obserwacji wymagają nie tylko potencjalni szpiedzy, agenci i sabotażyści obcych służb, lecz także miejscowi – radykalizujący się, być może jakoś inspirowani. Służby muszą się interesować już nie tylko organizacjami, ale może wręcz grupami znajomych ponadstandardowo zainteresowanymi np. bronią czy historią seryjnych zabójców itp. Do tego mogą być potrzebne zaawansowane technologie inwigilacji, ale np. Pegasus i podobne narzędzia, przeznaczone do zwalczania terroryzmu, zostały przez rządy PiS sprofanowane z powodu używania ich do śledzenia ówczesnej opozycji, trudno zatem znowu je wprowadzać. Z drugiej strony prawica nie zgadza się na istotne regulacje w sieci, gdzie czuje się mocna, obawiając się „cenzury", zwłaszcza w czasie kampanii wyborczej. To dlatego prezydent Nawrocki zawetował właśnie ustawę o bezpieczeństwie w sieci (jubileuszowe 50 wet coraz bliżej) i nawet po wydarzeniach w Krakowie polityczny interes okazał się ważniejszy niż oczywista, zdawałoby się, walka z cyfrową, a w końcu także fizyczną przemocą.

Tragedia w Krakowie uruchomiła wiele wątków do poważnej dyskusji. Także o kondycji społecznej, psychicznej, również ogólnie zdrowotnej Polaków, o ich życiu intymnym (o tym obszerny raport s. 24). Jak się czujemy, co nas dręczy i niepokoi, jakie są źródła frustracji, która może nagle eksplodować, czy da się to w jakimś stopniu przewidzieć? To pytania, których nie da się uniknąć, jeśli chce się naprawdę zrozumieć, w jaką stronę zmierza kraj i co się dzieje w głowach jego mieszkańców – dobrego i złego.

eprasa.pl 3ca6a7670d

Albatros travel

Albatros 40 lat



INDIE,
skarby kultury i wielkie Religie

3 posiłki dziennie

Zobacz 3 największe atrakcje Indii – zachwycający Taj Mahal, Złotą Świątynię w Amritsarze i Waranasi – święte miasto nad Gangesem.

Podczas 10-dniowej podróży odkryjemy najważniejsze atrakcje Indii i święte miejsca trzech religii. Odwiedzimy mistyczne Waranasi i buddyjskie Sarnath, zobaczymy słynny Taj Mahal i Fort w Agrze, poznamy Złotą Świątynię w Amritsarze oraz widowiskową ceremonię na granicy z Pakistanem. W Delhi podążymy śladami Mahatmy Gandhiego, poznając bogatą historię i kulturę Indii.

10 dni
Wyloty z Warszawy
22/02, 17/11 2027,
16/02 2028

od **8.998,-**



2 posiłki dzienne



Zebra Nature Reserve – safari i wypoczynek w RPA

Mieszkając w Zebra Nature Reserve, należącym do Albatros Travel udamy się na safari z Wielką Piątką Afryki oraz wycieczkę do Pretorii i Soweto.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Johannesburg, zwiedzanie Pretorii, przyjazd do Zebra Nature Reserve i powitalna kolacja. **Dz. 3** Rano spacer w okolicy Zebra Nature Reserve, po południu wizyta w centrum gadów. **Dz. 4** Safari w Rezerwacie Dinokeng i Wielka Piątka Afryki. **Dz. 5** Dni wolne na relaks lub możliwość skorzystania z szerokiej oferty wycieczek fakultatywnych m.in. safari, spacer w buszu czy wycieczka do kopalni diamentów. **Dz. 6** Wizyta w wiosce Ndebele. **Dz. 7** Kurs gotowania tradycyjnych dań kuchni południowoafrykańskiej. **Dz. 8** Afrykańskie rytmy podczas warsztatów gry na bębnach. **Dz. 9** Wizyta w Soweto, rodzinnym mieście Mandeli, i powrót do domu. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 18/01, 07/11 2027 | od **7.798,-**



Romantyczna Anglia

Zobacz największe atrakcje Anglii, od królewskiego Windsoru i malowniczych wiosek Barnaby'ego po miejsce urodzenia Churchilla i zagadkowe kamienie Avebury.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa - Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. **Dz. 2** Zwiedzanie Windsoru wraz z rezydencją królów angielskich. **Dz. 3** Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. **Dz. 4** Angielski urok Cotswolds i Blenheim Palace. **Dz. 5** Rzymskie miasto Bath. **Dz. 6** Avebury, Salisbury i Bournemouth. **Dz. 7** Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 19/05, 25/08 2027 | od **6.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL44**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 3ca6a7670d

Pod Trybunałem kac po karnawale



Były to pamiętne dni szampańskiej zabawy podczas trybunalskiego karnawału. Mieliśmy wesołe śpiewy, tradycyjne przebieranki w milicyjne mundury i aukcje pamiątkowych zegarków. Była moc. Ten czas jednak powoli się kończy, a bąbelki euforii wyparowują z głów. Nawet najwytrwalsi imprezowicze udali się do innych zajęć. Prawo i Sprawiedliwość postanowiło chwalić się planami naprawy gospodarki, telewizja Republika wróciła zaś do swojego ulubionego tematu, czyli zajęła się sama sobą. Przez jakiś czas redaktora Kłeczka nie zobaczymy więc rapującego pod TK, jest bowiem zajęty nocnymi dyżurami w telewizyjnej centrali, by bronić Republiki przed inwazją siepaczy Tuska. I tylko Bogdan Święczkowski niczym Ponury Żniwiarz codziennie nawiedza siedzibę Trybunału, żądając, by wpuszczono go do środka. Ostatnio zagroził nawet wezwaniem komornika, jednak wszystko na nic.

Jak to w Polsce często bywa, najtrwalsza jest prowizorka. Spór o TK właśnie zmierza do takiego stanu. Przez najbliższe miesiące władzę w Trybunale będą po prostu sprawować sędziowie wybrani w obecnej kadencji Sejmu, a opozycyjna prawica co jakiś czas będzie ich oskarżała o uzurpację, czym rzecz jasna nikt nie będzie się przejmował. Trzeźwa wydaje się więc ocena premiera Tuska, który w ostatni piątek podczas wizyty w Dublinie zaproponował, aby pogodzić się z faktem, że „sprawa Trybunału Konstytucyjnego jest rozstrzygnięta". Ano jest i będzie tak aż do wyborów parlamentarnych, które albo zalegitymizują na następne cztery lata obecny stan rzeczy, albo po raz kolejny wywrócą stolik i cała zabawa zacznie się od początku.

Politycznie istotna w sprawie Trybunału mogłaby ewentualnie być zmiana zdania przez PiS i poparcie dla idei resetu jeszcze w tej kadencji parlamentu, ale nie wydaje się, by prezes Kaczyński był mentalnie gotowy na taki kopernikański przewrót. Wymagałoby to bowiem współpracy z reprezentowaną przez PSL i Polskę 2050 częścią koalicji rządowej, która przecież w retoryce PiS jest zainstalowaną w Polsce przez obce rządy bezprawną dyktaturą. Co więcej, byłoby to też uprawomocnienie opowieści Konfederacji, że w latach 2015–23 również dochodziło do łamania zasad, na co Kaczyński nigdy się nie zgodzi.

Znaczącym aktorem próbuje być Karol Nawrocki. Prezydent ponownie zorganizował u siebie spektakl konsultacji dotyczących TK, ale jego największym osiągnięciem w tej sprawie pozostanie już raczej na zawsze skuteczne sforsowanie trybunalskich drzwi pod osłoną nocy. Istnieje możliwość, że Nawrocki przedstawi jakiś swój projekt legislacyjny, ale ponieważ musi poprzeć go PiS, żeby sprawa wyglądała poważnie dla prawicowego elektoratu, będzie to zapewne propagandowy, prawny potworek bez większego znaczenia.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Przemoc i porno wciąż bez blokad



Praktycznie niczym nieograniczone możliwości publikacji w internecie brutalnych i nielegalnych treści to jeden z powodów, dla których w ostatnich miesiącach dotarła do Polski omijająca ją przez dekady fala terroru. I próżno liczyć, że nasze bezpieczeństwo pod tym względem wzrośnie. 13 listopada prezydent Nawrocki zawetował rządową ustawę o świadczeniu usług drogą elektroniczną, która dawała na to szanse. Zrobił to po raz drugi; pierwszą wersję przepisów odrzucił w styczniu. Teraz minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski zapowiedział co prawda, że rząd przygotuje kolejny projekt, ale trudno sobie wyobrazić, co jeszcze mogłoby się w nim zmienić, żeby przepisy stały się dla Nawrockiego akceptowalne. Zwłaszcza w perspektywie wyborów w 2027 r. – bo wprowadzenie regulacji koalicja rządząca mogłaby ogłosić jako swój sukces.

Dzieci nadal więc będą się natykać w sieci na wideo, zdjęcia czy wpisy zachęcające do samobójstw, pokazujące pornografię, dręczenie zwierząt, nawołujące do popełniania przestępstw... Bez nadziei, że treści te zostaną prędko usunięte. Wszyscy nadal będziemy też narażeni na wyświetlanie oszukańczych reklam. Obecne przepisy umożliwiają zatrzymanie i pociągnięcie do odpowiedzialności twórców nielegalnych treści. Ale nie ma podstawy prawnej, żeby nakazać właścicielom platform szybkie ich usunięcie. W uzasadnieniu weta prezydent argumentował, że takie możliwości już dziś są – rzecz w tym, że dotyczą one najściślej rozumianych treści o charakterze terrorystycznym.

Może być nawet tak, że autor przekazu trafia do więzienia np. za znęcanie się nad zwierzętami, ale filmik, na którym pokazywał swoje chore praktyki, wisi nadal w tym czy innym serwisie, bo jego obsługa, najczęściej automatyczna, uznaje, że nie narusza on regulaminu.

Zawetowane przez Nawrockiego przepisy pozwalały państwowym organom, w zależności od sytuacji: prezesowi Urzędu Komunikacji Elektronicznej, przewodniczącemu Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, we współpracy z policją lub prokuraturą nakazywać platformom niezwłoczne usuwanie takich treści. Opóźnienia prowadziłyby do kar finansowych. Wbrew uzasadnieniu do weta serwisy miałyby możliwość odwołania się od decyzji na drodze sądowej, ale już po zablokowaniu materiału. **Karol Nawrocki** – jak tłumaczył – nie zamierza ulegać szantażom. Powołał się przy tym na konstytucyjne gwarancje wolności wyrażania poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji. (J.CIEŚL)

eprasa.pl 3ca6a7670d

Ciśnienie prezesa



Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM,
wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

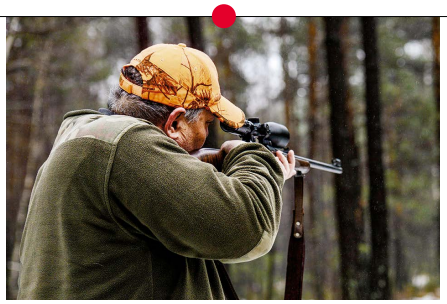
Jest wrzesień 2005 r. Jarosław Kaczyński w trakcie telewizyjnej debaty oświadcza, że jego ugrupowanie „na 100 proc. nie utworzy po wyborach koalicji z Ligą Polskich Rodzin". Wyklucza taki scenariusz „teraz i w dalszej części tej kadencji". Po raz kolejny powtarza, że jedynym możliwym partnerem jest Platforma Obywatelska. PO-PiS jednak nie powstaje, rząd Kazimierza Marcinkiewicza jest mniejszościowy, ale już w lutym 2006 r. prezes PiS podpisuje tzw. pakt stabilizacyjny z liderem LPR Romanem Giertychem oraz szefem Samoobrony Andrzejem Lepperem. Burzliwa jest to współpraca, a Kaczyński, już jako premier, najpierw Leppera wyrzuca z rządu – za „warcholstwo", potem zarzeka się, że nie będzie więcej rozmawiał z „ludźmi o marnej reputacji", by 10 dni później spotkać się z nim w podwarszawskim Jadwisinie i dogadać jego powrót do rządu (zaprzysiężenie odbędzie się pod osłoną nocy, z uroczystości tej nie ma żadnych zdjęć).

Tę historię sprzed dwóch dekad warto mieć w pamięci, śledząc bieżące deklaracje prezesa PiS. Jeśli miesiącami zarzekał się, że prędzej piekło zamarznie, niż on pójdzie na współpracę z Grzegorzem Braunem, bo to polityk, który „nie mieści się w obrębie cywilizowanego świata", to nie należało brać tych oświadczeń za dobrą monetę. Dziś zaś, kiedy Kaczyński już się od Korony nie odżegnuje, należy docenić szczerość. Wydawało się bowiem, że aż do wyborów prezes będzie stał na pozycjach moralnych i wciskał ludziom kit, że „nawet gdyby się okazało, że bez Brauna rządzić się nie da, to lepiej nie rządzić wcale" (czerwiec tego roku). A tu nie, prezes opowiadający o „jednej wielkiej liście" całej prawicy zaskoczył, jak nie przymierzając premier bombardujący miłością Karola Nawrockiego, i tym samym przyznał się, że jest gotów właściwie z każdym do stołu siąść, byle jeszcze władzy posmakować, byle tylko Tuska dopaść. Na razie Kaczyński jeszcze się trochę certoli, np. pytany o swój pogodny uśmiech na wspólnym z Braunem zdjęciu, odpowiada, że „często się śmieje" i że podczas robienia tego selfie „był przyciśnięty". Tu pełna zgoda, widać, że ciśnie prezesa ta żądza władzy i zemsty, cisną też sondaże, które mu nadziei na samodzielne rządy nie dają. Między bajki należało też już dawno włożyć opowieści o etosie żoliborskiego inteligenta, bo Kaczyński od wielu lat udowadnia nam, że nie jest doń nadmiernie przywiązany.

Powoli zwalniane przez prezesa miejsce młota na Brauna próbuje zająć Mateusz Morawiecki, stawiając jednocześnie znak równości między Braunem i Tuskiem (chce być „zaporą ogniową" dla obu). To nic więcej jak tylko ciąg dalszy rozpaczliwych zabiegów byłego premiera, by się jakoś odróżnić od PiS w sytuacji, kiedy jest się emanacją PiS. Te deklaracje są też funta kłaków warte, bo Morawiecki walczy obecnie o dalsze polityczne życie i nie będzie się wzdragać przed żadnym sojuszem, byle tylko utrzymać się na powierzchni. Przyswoił też już filozofię Kaczyńskiego wyrażoną w formule o „mądrości etapu". Termin ten, prawdopodobnie stworzony przez Stanisława Stommę, a opisujący jakiś rodzaj realizmu politycznego, strategię małych kroków w trudnym otoczeniu, w świecie prezesa PiS i jego epigonów stracił pierwotny sens i znaczy wyłącznie tyle, że poglądy polityczne można zmienić w zależności od sytuacji. I że nie ma już niczego świętego.

Myśliwi do kontroli?

Czy uzbrojona armia 130 tys. myśliwych będzie musiała poddawać się okresowym badaniom psychologicznym? W Sejmie ważą się losy nowelizacji ustawy prawo łowieckie. Jedną z kluczowych zmian w obywatelskim projekcie jest obowiązek okresowych badań. Niezależnie od tego minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zapowiada zmiany w ustawie o broni i amunicji, tak by posiadacze broni byli pod kontrolą psychologiczną częściej niż raz na pięć lat. A warto przypomnieć, że w myśl tej ustawy myśliwi są wykluczeni z obowiązkowych przeglądów zdrowotnych. Podobnie ci, którzy mają pozwolenie na broń w celach sportowych (tak jak morderca z Krakowa), kolekcjonerskich, pamiątkowych czy szkoleniowych przechodzą badania tylko raz, przy wydaniu pozwolenia na broń. I potem nikt już więcej nie ocenia stanu psychicznego ludzi, którzy nierzadko trzymają w domu cały arsenał.



Jeżeli Sejm przyjmie obywatelski projekt ustawy „UWAGA! Polowanie. Zmieńmy prawo łowieckie. Na dobre", pod którym zebrano ponad 204 tys. podpisów, przynajmniej myśliwi będą pod kontrolą. To zasługa szerokiej koalicji organizacji prozwierzęcych, ekologicznych oraz społecznych (m.in. Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, Akcji Demokracja, Fundacji Olgi Tokarczuk). Prawo łowieckie uchwalono w 1995 r. i poza drobnymi nowelizacjami nic się w nim przez te 30 lat nie zmieniło. Nowe prawo łowieckie ma się opierać na trzech filarach: tak dla bezpieczeństwa, nie dla polowań dla rozrywki i nie dla krwawego biznesu. Bezpieczeństwo mają zapewnić badania lekarskie i psychologiczne oraz zwiększenie odległości strefy polowań od zabudowań – ze 150 do 700 m, by ograniczyć ryzyko postrzelenia osób postronnych. W ciągu ostatnich 10 lat w wyniku działań myśliwych zginęło 29 osób, a 65 zostało rannych.

Projekt przewiduje też utworzenie cyfrowego rejestru polowań. Nakłada na Polski Związek Łowiecki obowiązek publikacji pełnych sprawozdań finansowych i merytorycznych, by umożliwić realną kontrolę państwa i nadzór nad gospodarką łowiecką. Podporządkowuje działania myśliwych służbom ochrony przyrody i wymogom prawa międzynarodowego. Wprowadza obowiązek uzgadniania rocznych planów łowieckich z Regionalnym Dyrektorem Ochrony Środowiska, przyznając organizacjom społecznym prawo do ich zaskarżania do sądu.

A poza tym wprowadza zakaz nęcenia i dokarmiania zwierząt, polowań z naganką, noktowizją i termowizją; likwiduje biura polowań dewizowych i zakazuje organizowania płatnych polowań dla zagranicznych myśliwych. (AS)

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM, KPRP, ADAM STAŚKIEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

Ład według Trumpa



Wysłannicy prezydenta USA, **Jared Kushner** i **Steve Witkoff**, na serio zabrali się do przebudowy ładu bezpieczeństwa w Europie. Tak przynajmniej przed ubiegłotygodniową rundą negocjacyjną w Abu Zabi brzmiał „plan Kushnera" zmierzający do zakończenia wojny Rosji z Ukrainą przez uznanie roszczeń Moskwy dotyczących NATO, krajów wschodniej flanki i całej Europy.

Z przecieków wiadomo, że Rosja żąda cofnięcia się NATO do granic z 1997 r. (czyli bez m.in. Polski), anulowania świeżego członkostwa Finlandii, wstrzymania aktywności wojskowej Sojuszu w Ukrainie, na południowym Kaukazie i w Azji Środkowej, blokady dostaw uzbrojenia dla Ukrainy, zakazu jej uczestnictwa w polityce obronnej Unii Europejskiej oraz gwarancji, że Francja i Wielka Brytania nie użyją broni jądrowej w obronie wschodnich członków NATO. Rosja ma się w zamian wycofać z Naddniestrza, zakończyć wojnę w Ukrainie (bez wyjścia z Donbasu i innych ziem okupowanych) i usunąć broń jądrową z Białorusi.

Władimir Putin jest konsekwentny – wiele lat temu wyznał, że upadek Związku Radzieckiego i ekspansja NATO były dla niego katastrofą. Bufora terytorialnego i szarej strefy bezpieczeństwa w Europie zażądał od Zachodu już w 2021 r., przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę. Tyle że pięć lat temu stanowisko Moskwy zderzyło się z twardym transatlantyckim „nie", a dziś Amerykanie chcą o nim rozmawiać. Dlatego głos Kremla wywołał chwilową panikę, choć gdy jedni wieszczą zdradę „nowej Jałty", inni oceniają żądania Moskwy jako tak absurdalne, że nawet Donald Trump nie odda wschodniej Europy Putinowi. Nie brak ocen, że najsilniejsze karty ma Xi Jinping, który Rosji pomaga, lecz nie kwapi się przywracać jej mocarstwowego statusu kosztem Europy.

Cała ta globalna trójka już 19 listopada spotka się w chińskim Shenzen, ale europejscy przywódcy dali do zrozumienia, że nie ma mowy, żeby Trump z Putinem i Xi rysowali nowe strefy wpływów. Na spotkaniu w Dublinie udało się wzmocnić wielostronny format E5 z udziałem Polski, który w imię zasady „nic o nas bez nas" ma walczyć o interesy Europy. Naszym przedstawicielem ma być wiceminister w MSZ prof. Robert Kupiecki, doświadczony dyplomata i naukowiec, od półtora roku pełniący funkcję doradcy premiera do spraw bezpieczeństwa.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Francuski ippon?



To dopiero jest kandydat na prezydenta! **Teddy Riner**, lat 37, urodzony na Gwadelupie (francuska wyspa na Antylach) zgłosił swą kandydaturę na urząd prezydenta Francji. Pięciokrotny medalista olimpijski w dżudo, 11-krotny mistrz świata, 204 cm wzrostu i 140 kg wagi, bohater znanego dzieciom we Francji komiksu „Hajime!". Jest więc znany w całej Francji, a jego popularność biegnie w poprzek podziałów partyjnych. Utrzymuje ducha walki, zapowiada, że nawet jeśli będzie prezydentem, to nie zrezygnuje ze startu na igrzyskach w 2028 r. No i ma ogromną swobodę przed kamerą – on i jego partnerka Luthna Plocus prowadzili francuską wersję „Randki w ciemno".

Chociaż kandydat przejął hasło Emmanuela Macrona „Ani lewica, ani prawica" z kampanii prezydenckiej w 2017 r., wydaje się oczywiste, że nie jest zupełnie w środku – dużo dalej mu do lewaka Jeana-Luca Mélenchona. Zresztą Riner publicznie wypowiada się przeciwko skrajnościom. W hasłach wyborczych naśladuje Nicolasa Sarkozy'ego: kto więcej i ciężej pracuje, powinien więcej zarabiać, wysiłek ma się spotykać z wyższym uznaniem (jak w treningu sportowym?).

Sondażowy punkt startu ma słaby. Nie zajmował w kraju żadnych stanowisk w firmach ani administracji. Musi zebrać 500 podpisów od osób pełniących w kraju funkcje z wyboru (merów, posłów, senatorów). Zaczął już zabierać głos w sprawie reform. Riner chce połączyć dwa modele finansowania emerytur – zachować francuski system repartycyjny (bieżące składki osób pracujących finansują emerytury obecnych emerytów), ale uzupełnić go indywidualnym gromadzeniem kapitału. Jak wyjść z rekordowego zadłużenia państwa – nie powiedział.

Jasne, że to kandydat nietypowy, spoza kręgu polityki, administracji czy biznesu. Ciekawe, że poparł go obecny (i odchodzący w 2027 r.) prezydent, mówiąc, że „życie narodu nie należy do zawodowych polityków". Zresztą Macron zapewne chce, by taka kandydatura osłabiła pozycję przodujących w sondażach Marine Le Pen i Mélenchona. A nuż Riner stałby się atrakcyjny dla wyborców zmęczonych podziałami politycznymi w kraju, gdzie od dawna nikt nie ma większości na zawołanie? Wybory za niecałe pół roku. MO

© UAE FOREIGN AFFAIRS MINISTRY OFFICE/HANDOUT/ANADOLU/GETTY IMAGES, IMAGO/FEDERICO PESTELLINI/IMAGO SPORT/AND NEWS/EAST NEWS, ROGELIO V. SOLIS/GETTY IMAGES, PJ MCDONNELL/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3ca6a7670d

Afro-Senat



Missisipi to amerykańskie jądro ciemności, od lat najbiedniejszy, najbardziej spolaryzowany rasowo stan. Miejsce zabójstwa czarnego bojownika o prawa obywatelskie Medgara Eversa w 1963 r. Ostatni Afroamerykanin trafił stamtąd do Senatu półtora wieku temu. Tym bardziej historycznym wydarzeniem jest ogłoszone z opóźnieniem zwycięstwo czarnoskórego **Scotta Coloma** w wyborach połówkowych do Senatu nad urzędującą republikańską senator, białą Cindy Hyde-Smith. Głosowała na niego niemal cała czarna mniejszość stanu i aż 25 proc. dominujących liczebnie białych, w tym spora część głosujących w 2024 r. na Donalda Trumpa.

Przyczyny wygranej Coloma były takie same jak w innych stanach, gdzie w *midterms* Demokraci odebrali Republikanom mandaty w obu izbach Kongresu. Amerykanie powiedzieli „nie" polityce przynoszącej wzrost inflacji, spadek realnych dochodów i oligarchizację kraju – polityce autorstwa wyjątkowo skorumpowanego prezydenta. W Missisipi i kilku innych stanach amerykańskiego Południa, dotąd bastionu prawicy, gdzie Demokraci także sensacyjnie wygrali wybory do Senatu i na gubernatorów (Teksas, Georgia, Karolina Południowa i Północna), doszła do tego dodatkowo nadzwyczajna mobilizacja i frekwencja wyborcza Afroamerykanów oraz znaczna absencja białych, popierających zwykle kandydatów prawicy.

Dwa tygodnie po wyborach połówkowych okazuje się, że niebieskie tsunami jest jeszcze potężniejsze niż to, o którym pisało się nazajutrz po 3 listopada. Od nowego roku w Senacie zasiądzie 56 senatorów demokratycznych i 44 republikańskich. W Izbie Reprezentantów przewaga Demokratów nad Republikanami będzie jeszcze bardziej spektakularna – 259 do 176 mandatów (prawdopodobnie, bo głosy są jeszcze liczone). Większą wygraną Demokratów przyniosły ostatnio wybory połówkowe w 1974 r., po aferze Watergate i upadku republikańskiego prezydenta Richarda Nixona.

Kolosalna skala zwycięstwa Partii Demokratycznej oznacza, że w wyborach w 2028 r. prawdopodobnie utrzyma ona większość w obu izbach Kongresu. W Senacie, gdzie co dwa lata decydują się losy tylko jednej trzeciej miejsc, w 2028 r. w większości stanów Demokraci będą faworytami. Gdyby udało im się powiększyć przewagę do 60:40, będą mogli uchwalać ustawy bez obawy ich blokowania przez *filibuster* (przedłużanie debaty, którą można przerwać minimum 60 głosami). Zaporą przed radykalnymi zmianami w kraju byłoby wtedy weto prezydenta – jeżeli zostanie nim znowu kandydat Republikanów. TZ

Nie wyrzucajcie faksów



Od 12 do 14 listopada w ponad 70 krajach nie działały podstawowe usługi firmy Microsoft. Ich użytkownicy (codziennie 430 mln) mieli poważne kłopoty z przeszukiwaniem sieci oraz z pocztą elektroniczną. Nie funkcjonował microsoftowy system sztucznej inteligencji i organizacji zdalnych spotkań. Awarię o globalnym zasięgu miała wywołać znaczna liczba poprawek wprowadzonych w ramach rutynowej aktualizacji oprogramowania.

Zakłócenia wpłynęły na życie wielu instytucji, wskazując na stopień uzależnienia od Microsoftu. W Australii narzekała jedna z agencji wywiadowczych. W Indiach trzy linie lotnicze nie mogły skomunikować się z pasażerami. Podobne usterki zgłaszały koleje w Niemczech. Na Tajwanie obroty zmniejszył rynek finansowy, a m.in. w Singapurze sporo czasu zmitrężyła administracja. W Wielkiej Brytanii właśnie na narzędziu Microsoftu oparto łączność dla blisko miliona pracowników państwowej opieki zdrowotnej. Nie można było wymienić się wynikami badań albo zarejestrować pacjentów. Podobnie było w niektórych brytyjskich sądach, gdzie przekładano lub opóźniano rozprawy. W Kolorado jeden z aresztów nie przyjmował kaucji wpłacanych zdalnie. Bliscy chcący wydobyć kogoś zza krat musieli pokazać się osobiście przed bramą.

W wielu krajach ochrona zdrowia, straż pożarna i policja apelowały do obywateli, by szukając pomocy, nie próbowali wypełniać internetowych formularzy. Najskuteczniejsze okazały się analogowe sposoby utrzymywania kontaktu, zwłaszcza telefony. Poważne trudności wystąpiły w Japonii, gdzie Microsoft to potęga. Posiłkowano się więc faksami, wciąż rozpowszechnionymi. Z opublikowanych w maju badań wynika, że regularnie korzysta z nich co trzeci japoński zatrudniony. Lubią je zwłaszcza pracownicy z długim stażem, ich użycie przewidują niezmieniane od dekad procedury. Głównie dlatego, że pozwalają wysyłać dokumenty opatrzone pieczęciami i odręcznymi podpisami, których domagają się m.in. urzędy.

Nie odnotowano ofiar śmiertelnych. Wstępne szacunki strat z tytułu utraconej produktywności mówią o 16 mld dol. To jakby na czas trwającej 27 godzin awarii kompletnie stanęła gospodarka Niemiec. To także frycowe, które najwidoczniej trzeba było zapłacić, by się dowiedzieć, że warto zachować faksy. I że warto, by poszczególne państwa lub ich bloki, takie jak Unia Europejska, dorobiły się własnych narzędzi cyfrowych, niezależnych od amerykańskich big techów. JW

eprasa.pl 3ca6a7670d





Oko w oko

Tych dwóch 24-latków mogło się spotkać na strzelnicy, obydwaj lubili broń. Ale spotkali się na zbiegu dwóch krakowskich ulic i tam też strzelali. Jeden do drugiego, na śmierć i życie. Tyle że posterunkowy Kulik walczył o życie innych, a swoje nieomal stracił.

JULIUSZ ĆWIELUCH, NATALIA SAWKA



eprasa.pl 3ca6a7670d

Moment, w którym ci dwaj równolatkowie spotykają się u zbiegu ulic Dietla i Stradomskiej, jest podwójnie dramatyczny, bo życie rozdało im mniej więcej takie same karty. A jednak każdy z nich zagra nimi inaczej. Te ułamki sekund, kiedy stoją naprzeciw siebie, na zawsze określą każdego z nich. Starszy posterunkowy za chwilę zostanie bohaterem. A zdjęcie, kiedy klęczy nad postrzelonym przez siebie zabójcą – ikoną polskiej historii. Ikoną, która będzie dawała ludziom nadzieję i poczucie, że dobro może jednak zwyciężyć zło. Tajemnicą pozostaje tylko odpowiedź na pytanie, skąd to zło do nas przyszło.

14.58

Sobota 7 listopada, Kraków. 4 st. C, ale odczuwalna temperatura jest wyższa, bo co jakiś czas słońce wychodzi zza chmur. Stąd duży ruch na rynku i w okolicy. Tego dnia słońce w stolicy Małopolski miało zajść o godz. 16.07. To ważna informacja. Kiedy wybierasz się na polowanie, szukasz miejsca, w którym będzie dużo celów. I dostatecznie jasno, żeby móc łatwo i celnie zabijać. Ale wiesz również, że na tym polowaniu z myśliwego przerodzisz się w zwierzynę i dlatego atakujesz o takiej porze, żeby szybko zachodzący zmrok stał się twoim sprzymierzeńcem.

Śmiertelny rajd Michała Oksińskiego miał trwać mniej więcej 30–40 minut. To dlatego zabrał ze sobą dwa karabinki i dwa pistolety. Do tego mnóstwo amunicji. Planował jazdę wąskimi krakowskimi ulicami i strzelanie, tak jak ojciec uczył go na strzelnicach do walki dynamicznej. Ojciec, który w czasie tego rajdu już nie żył. Syn zabił go dwoma strzałami w potylicę. Ciało było w stroju nocnym, jak podają służby. Zabił więc we śnie. Michał został dobrze wyszkolony. Wie, że najpierw eliminujesz najsilniejsze zwierzę w stadzie. Później strzelał do matki. Również dwa strzały. I do siostry. Każdemu równo odmierzając liczbę śmiertelnych ran. Swoje dostały również dwa domowe koty. Zabił całe stado. Tyle że to było jego własne stado.

14.59

Czarne Subaru wjeżdża z ul. Szczepańskiej i dojeżdżając do rynku, zatrzymuje się na rogu z ul. Sławkowską. 37 sekund po godz. 14.59 przechodnie są jeszcze zupełnie nieświadomi, że ich życie za chwilę dramatycznie się zmieni. A części z nich po prostu się skończy. Te kilka sekund to moment, w którym myśliwy sprawdza swoją broń. Ten konkretny AR-15, z którego zacznie za chwilę strzelać, to tania wersja szturmowego modelu, jakiego używają np. wojska specjalne. Tzw. klon, czyli masowo produkowany karabin na bazie planów nieobjętych już ochroną patentową. Produkują je dziesiątki firm. Nawet w Polsce są tacy producenci. Ten model według internautów powstał w małej firmie, a raczej manufakturze Diamondback Firearms na Florydzie. Cena katalogowa na polskim rynku 4,6 tys. zł. Takiej broni ufasz, ale nigdy nie do końca. Stąd te kilka sekund opóźnienia, zanim Michał otwiera okno, a później ogień.

Strzela z karabinu, który waży nieco ponad 3 kg. Ma podparcie na panelach samochodowych drzwi. Na karabinie celownik optyczny za 1,7 tys. zł. A w magazynku naboje takiego samego kalibru jak u natowskich żołnierzy. Tyle że w wersji cywilnej, czyli 223 Remington. To już nawet nie jest polowanie, to jest rzeź.

W 41. sekundzie pada pierwszy strzał, a wraz z nim pierwszy zabity. Później jeszcze pięć strzałów. I kolejne ciała padają na ziemię. Dziewięć sekund. Tyle to trwa.

Czarne Subaru rusza dalej. Wzdłuż rynku, w kierunku Kościoła Mariackiego. Po drodze jest postój dorożkarzy. Do nich strzela już z jadącego samochodu. Może dlatego nie zabija żadnego z nich. Ale czworo rani. Trzy kobiety i jednego mężczyznę. Jedną z nich szczególnie chciał zabić, skoro oddał do niej aż pięć strzałów. Zabójca rani również dwa konie. Ale najwyraźniej do nich nie strzela specjalnie. Koń to duży cel. A żaden nie został śmiertelnie postrzelony. Za to jeden z dorożkarzy, który próbował uspokoić konie, dostał w brzuch i w okolicę serca. Jego stan określono jako krytyczny.

Huku po wystrzale karabinka taktycznego nie da się pomylić z niczym innym. Suchy, głośny, twardy. Po pierwszych strzałach zrywają się gołębie. Ale zwykli przechodnie z rynku nie orientują się jeszcze, że dzieje się coś bardzo złego. Panika zaczyna się dopiero, kiedy auto zwalnia, a kierowca zaczyna strzelać do przechodniów. Oksiński zatrzymuje się na wysokości Sukiennic i zaczyna ostrzeliwać ludzi, którzy próbują się tam schronić. Stoi na wysokości ul. Siennej. Oddaje trudną do oszacowania liczbę strzałów. Z nagrań wynika, że było ich co najmniej 20. Standardowy magazynek do AR-15 mieści 30 naboi. Na szkoleniu z pewnością uczyli go, że strzelasz, aż opróżnisz magazynek. Nowe cele to nowy magazynek. – *Ciągle nie wiemy, ile w sumie strzałów zostało oddanych. Ten wątek jest badany razem z całą zawartością auta, które zostało przekazane do analiz kryminalistycznych. Nie zdradzę wielkiej tajemnicy, jeśli powiem, że w aucie było mnóstwo łusek* – mówi prokurator Eryk Stasielak, naczelnik Wydziału do spraw Przestępczości Zorganizowanej. Czarne Subaru rusza, kiedy jego kierowca słyszy syrenę radiowozu nadjeżdżającego właśnie z ul. Siennej. Zaczyna się pościg.

15.01

Z samych seriali policyjnych można się domyślić, o czym dwóch młodych i ciągle właściwie świeżo upieczonych policjantów rozmawia w radiowozie, kiedy niewiele się dzieje. Obydwaj mają żony. Kulik ma dziecko, Morański dziecko w drodze. Starszy posterunkowy Artur Morański jest starszy również dosłownie. Ma 27 lat, dłuższy staż w policji. Muszą się lubić. Mają wspólne tematy. O czym rozmawiali tego konkretnego dnia, trudno powiedzieć; może sami powiedzą, kiedy już wyjdą ze szpitala.

Oddajmy więc głos ich kolegom. – *Nie jestem z tych, którzy chwalą ludzi, ale analizując na chłodno, to oni zachowali się wzorowo* – mówi proszący o anonimowość kolega z krakowskiej policji. Zachowując anonimowość, może mówić więcej. Jest pełen podziwu, że podjęli się pościgu. – *Znam takich, którzy jak słyszą, że ktoś z nożem biega, to panikują. Odbębnią swoje, by dobić do emerytury, i tyle. To już kwestia psychiki danego* ▶

© PLATFORMA X (3)

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ *człowieka* – opowiada. Wie, że cokolwiek poszło po radiu, jak mówią w policji, to chłopaki swoje wiedzieli. – *Na pewno wsparcie wezwali, bo widzieli, że sprawca strzela, a huk karabinu da się rozpoznać* – mówi.

Starszy posterunkowy Kulik huk wystrzału z karabinu znał na pewno. Po maturze w 2022 r. poszedł do wojska. Ale nie do takiego zwykłego. Wybrał elitarny bielski 18. Batalion Powietrznodesantowy. Na świętach wojskowych łatwo ich poznać po bordowych beretach. Ale Polacy nie zawsze potrafią w kolory, więc utarło się mówić, że to czerwone berety. Część żołnierzy żartuje również, że to zryte berety, bo w trakcie szkolenia uczą ich, że żołnierz nie odpuszcza, nie przestaje i się nie poddaje.

Kulik do wojska przyszedł 17 października 2022 r. A już 12 grudnia był w służbie zawodowej, czyli się nadawał. Broń, którą dostał, to Beryl albo nowocześniejszy Grot. Łączy je jedno. To broń szturmowa kalibru 5,56. Z cywilnego odpowiednika tej broni strzelał człowiek, za którym właśnie ruszyli w pościg. Jadąc, Kulik musiał wiedzieć, jaką siłę ma ta broń i jak niszczące dla ludzkiego ciała jest trafienie. Pocisk zaprojektowano tak, żeby nie przebijał ludzkiego ciała, ale wywoływał w nim jak największe spustoszenie. Posterunkowy Kulik wiedział to pewnie lepiej niż niejeden żołnierz, bo w wojsku zrobił jeszcze kurs ratownika pola walki.

W jednostce radził sobie dobrze. Ale w wojsku nie zagrzał długo miejsca. Wielu chłopaków, którzy jechali w gości do Łukaszenki, jak mówiło się na rotacyjne zmiany patrolowania wschodniej granicy, traciło zapał do wojska. Tyle że Kulik służył na wschodniej granicy w 2023 r. A z wojska odszedł w grudniu 2024 r. Przełożonym, którzy próbowali go zatrzymać w armii, tłumaczył, że znalazł pracę w policji. Płacili mniej, ale była większa stabilizacja. A on brał właśnie ślub, no i szykowali się na dziecko. Czy jadąc za zabójcą, myślał o dziecku?

– *Pytałem Artka w szpitalu, czy przegadali ze sobą strategię, jakiś plan. Odpowiedział, że nie było czasu* – mówi zastępca komendanta Rafał Wełna, który krótko rozmawiał z postrzelonym Arturem Morańskim. Komendant zaznacza, że funkcjonariusze działali automatycznie i zdecydowanie, nie mając czasu na wcześniejsze ustalanie szczegółowego planu. W jego ocenie ich działania były w pełni profesjonalne i spójne. – *Chłopaki mieli tylko strzępy informacji od dyżurnego, wiedzieli tyle, że zamachowiec strzela. Wyglądał jak zawodowy wojskowy. Facet był w pełnym rynsztunku, miał mundur i na głowie hełm* – mówi zastępca komendanta.

On też tłumaczy to, czego wielu internautów nie mogło zrozumieć. Dlaczego w czasie pościgu policjanci nie strzelali do Subaru. Przecież na filmach tak właśnie robią. Tyle że to nie był film. A oni mieli tylko broń krótką. Na dłuższym dystansie w zasadzie mało przydatną, a wręcz niebezpieczną, bo równie łatwo jak bandytę trafić kogoś przypadkowego. A strzał w samochód grozi rykoszetem i zranieniem kogoś w pobliżu. Strzelanie przekłada się też na ryzyko utraty amunicji, której zasoby w patrolu są ograniczone – jeden magazynek jest w broni, drugi w zapasie. W przypadku standardowego w polskiej policji Walthera P 99 to 15 naboi w magazynku. Policja uznała, że 30 strzałów to w sam raz. Nie za dużo, żeby funkcjonariusze nie musieli dźwigać. I nie za mało. W tym konkretnym przypadku to jednak mogło być za mało.

– *Strzelanie z broni palnej do żywego człowieka, a nie do tarczy, to jest potężny stres. Trzęsą się ręce. Nie każdy jest na tyle silny psychicznie, by pociągnąć za spust. Ja na szczęście nie znalazłem się w takiej sytuacji i mam nadzieję, że nigdy mnie to nie spotka. To pierwsza bariera. Drugą jest sama konieczność strzelania do człowieka w dynamicznych warunkach. Dochodzi do tego jazda po nierównościach i wybojach, gdzie nie ma możliwości ułożenia oburącz stabilnej sylwetki* – opowiada kolega Kulika. W filmach świat jest prosty.

Trzy dni później

W poniedziałek, dwa dni po tragedii, Michał Oksiński już nie żył. Zmarł nad ranem w wyniku licznych ran postrzałowych. Ostrowiec Świętokrzyski, jego rodzinne miasto, właściwie odetchnął z ulgą. Ale przez grzeczność nikt czegoś takiego nie mówił. Właściwie to nikt nie chciał nic mówić. A ci, którzy chcieli, niewiele mieli do powiedzenia. – *Pani tu długo mieszka?* – pytamy jedną z kobiet na tyłach ul. Tylnej, przy której mieszkała rodzina Oksińskich. – *Długo* – odpowiada. – *A jacy byli? – A kto to teraz wie, jacy są ludzie* – odpowiada filozoficznie i odchodzi.

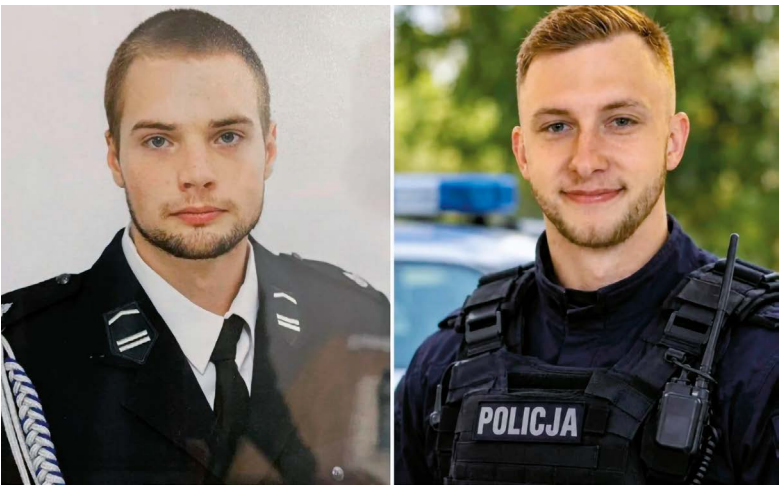
W tym samym czasie w mediach jedna wiadomość po drugiej o dwóch bohaterskich policjantach. Na tego głównego media wytypowały Kulika. Jakub Kulik ma 24 lata i pochodzi z Bielska-Białej. – *Był żywy i wysportowany, zawsze chętny, nie trzeba go było o nic prosić dwa razy* – wspomina Renata Kudłacik, wychowawczyni, która uczyła Kubę matematyki w II LO im. Adama Asnyka w Bielsku-Białej. Z matmy raczej się nie wyróżniał. Wyróżniała go jednak potrzeba udzielania pomocy innym, nauczycielka pamięta, że właśnie taką opinię mu kiedyś wypisała: że wykazuje się postawą ratownika. Chodził do klasy o profilu ratowniczym, gdzie nauczył się zasad bezpieczeństwa. – *Nigdy nie sądziłem, że w mojej 38-letniej karierze będę patrzył, jak ktoś strzela do mojego ucznia* – mówi nauczyciel II LO Robert Michalski. – *A to była nierówna walka, tamten miał hełm i był uzbrojony po szyję, a Kuba?*

Idziemy też do szkoły, w której uczył się Oksiński, czyli do ostrowieckiej samochodówki. W tym momencie w szkole jest włoska stacja telewizyjna RAI Uno. To pewnie pierwsza wizyta tej telewizji w Ostrowcu. Pedagog szkolna Anna Gębura i dyrektor szkoły Marcin Sitarz byli pytani, co sądzą o motywach działania swojego byłego ucznia. Tylko żeby coś odpowiedzieć, najpierw ktoś musiałby to wytłumaczyć im samym.

Prawda jest taka, że tego ucznia po prostu nie zapamiętali. – *Szczerze mówiąc, musiałem się posiłkować dziennikiem elektronicznym. Tak z twarzy to nawet nie kojarzyłem* – mówi dyrektor Sitarz. Ale to nie kwestia złej pamięci. – *To był ten rocznik, który trafił na covid. Oni większość czasu mieli zajęcia online. Nie każdy włączał kamerę. Nie opatrzyli mi się* – dodaje. Między sobą również nie mieli szansy się jakoś specjalnie poznać. Na dodatek klasa była łączona: o profilu technik mechanik i fryzjer. W sumie 28 osób, z czego sporo dziewczyn, ale każdy zatopiony we własnym świecie. Wychowawcą była pani od geografii, ale ona nie chce rozmawiać, zresztą kto chciałby powiedzieć do kamery: byłam wychowawczynią zabójcy z krakowskiego rynku.

Chyba najwięcej można się dowiedzieć z opowieści babci Michała. Tej ze strony ojca. 80-letnią kobietę odwiedził w Waśniowie Grzegorz Walczak, dziennikarz lokalnej „Gazety Wyborczej". „To było takie dobre dziecko. Nie wiem, co go

eprasa.pl 3ca6a7670d



Bohaterowie z Krakowa: policjanci Jakub Kulik i Artur Morański

opętało. Przecież do Kościoła chodził, choć ostatnio trochę mniej" – mówiła reporterowi. Z zeznań człowieka, do którego dotarły już służby, wynika, że ostatnio obaj z ojcem często chodzili na strzelnicę do strzelania dynamicznego. – *Tam się uczyli, jak strzelać z jadącego auta, jak prowadzić ogień do ruchomego celu. Ojciec był w tym bardziej zaawansowany. To on szkolił syna, który licencję odebrał dopiero kilka miesięcy wcześniej. Jak dziś o tym myślę, to wygląda na to, że wyszkolił własnego zabójcę* – mówi nasz rozmówca. Strzelnic, z których mieli korzystać, było aż cztery. Dziś ich właściciele, jeśli coś mówią, to prokuratorom.

Kilka lat wcześniej

Zupełnie anonimowy do 6 listopada starszy posterunkowy Kulik w niedzielę 8 listopada był już najbardziej rozpoznawanym policjantem w Polsce. Chętnie opowiadali o nim strażacy, ratownicy medyczni, lokalne władze. Mówili, że już jako nastolatek udzielał się w bielskiej Ochotniczej Straży Pożarnej Leszczyny. Koledzy wspominają, że zgłaszał się do wszystkiego: pożarów, powodzi, usuwania wiatrołomów. – *To był zdecydowany i konkretny chłopak* – mówi prezes OSP Leszczyny Władysław Szypuła. W podobnym tonie wypowiadają się koledzy. – *Kuba wziął to z domu. Tak był wychowany, że miał szacunek do innych i do ojczyzny* – mówi jego kolega z dawnych lat, wskazując, że pewnie dlatego chciał pracować w służbach mundurowych. Po szkole średniej koledzy i koleżanki z liceum Kuby wybrali albo pielęgniarstwo, albo ratownictwo medyczne. Spośród całej klasy zaledwie jeden z ich kolegów początkowo zdecydował się na służbę w policji, jednak z czasem w jego ślady poszli kolejni. Taki zwykły nastolatek ma jeszcze w głowie imprezy, a służba w policji narzuca spore wyrzeczenia. Ale Kuba był zawsze między ludźmi, w grupie – w szkole, w straży, w wojsku, w policji.

O Oksińskim opowiadają, że zawsze chodził na czarno, nie uśmiechał się, malował kościotrupy. Czy to coś tłumaczy? Właściwie nic – połowa dzieciaków chodzi teraz na czarno i maluje głupoty. Podobno oddawał krew, jak była jakaś akcja w internecie, zgłosił się na dawcę szpiku. Co i kiedy stało się z tym chłopakiem? Odpowiedzi na to pytanie służby cały czas poszukują. Znajdują jakieś tropy. Ale ciągle nic pewnego. Człowiek blisko tej sprawy mówi, że jego intuicja i dotychczasowa wiedza podpowiadają mu, by tropów szukać w internetowym świecie młodych zagubionych mężczyzn, którzy czują, że już na starcie życie nie dało im szansy. – *Dla mnie słowa klucze to: pustka, nihilizm, frustracja, świat, w którym nie ma wartości. W którym słabsi muszą przegrać z silniejszymi* – tłumaczy jeden ze śledczych. W takim świecie zabicie rodziców i siostry nie jest aktem zabójstwa. – *To jest akt łaski. W jego świecie i tak już byli martwi społecznie* – dodaje. Ślady, które już udało się wydobyć z życia 24-latka z Ostrowca, zdają się potwierdzać ten trop. Ale czy takie myślenie wystarczy, żeby mordować z zimną krwią? Przecież inni tak nie robią.

Krótko po

– *Przyszedłem do pracy i od razu, jak się dowiedziałem o tej strzelaninie, to napisałem do niego esemesa, czy wszystko w porządku. Kuba nie odpisał* – mówi Krzysztof (imię zmienione na prośbę rozmówcy), kolega Jakuba Kulika, który również pełni służbę w policji. Najpierw filmik dostała koleżanka z patrolu, Krzysztof go obejrzał i od razu rozpoznał Kubę po zaroście. Potem był kolejny filmik, jak Kubę na chodniku ratowali przechodnie. – *Z bliska było widać, bo miał ściągniętą koszulkę, a na brzuchu rozpoznałem jego tatuaż, ten sam, który robił, gdy miał 18 lat* – opowiada. Wtedy już na sto procent wiedział, że to Kuba. Skontaktował się z rodziną, jeszcze nie wiedzieli, on sam nie chciał mówić, co się stało.

15.02

Na rogu Dietla i Stradomskiej trwa normalny ruch. Na filmie z jednej z pobliskich kamer widać, jak ul. Dietla spokojnie przejeżdża rowerzysta. To jego przejazd powoduje, że nadjeżdżające samochody zwalniają. Po trzech sekundach w jeden z tych samochodów uderza czarne Subaru. Po chwili za autem zatrzymuje się radiowóz. Pierwszy wysiada zza kierownicy posterunkowy Kulik, ułamek sekundy później Morański. Trudno powiedzieć, który z nich oddaje pierwsze strzały. Ale łatwo powiedzieć, który zostaje pierwszy ranny. Kulik pada na ziemię, Morański próbuje go osłaniać. Blokuje ciało na szeroko rozstawionych nogach i strzela do napastnika, ale chyba orientuje się, że w takim starciu nie ma szans. Kuca, a właściwie na czworakach przemieszcza się za białym samochodem, próbując zajść przeciwnika z boku i choć trochę wyrównać szanse, bo broń krótka w konfrontacji z długą przegrywa: siła pocisku jest zdecydowanie mniejsza. 9-milimetrowy nabój może co najwyżej obalić przeciwnika na ziemię. Zwłaszcza takiego w kamizelce kuloodpornej i kewlarowym hełmie, odpornym na przestrzał z broni krótkiej. Morański i Oksiński strzelają niemal równocześnie. Ale skutki tych strzałów są różne. Morański właściwie jest już wyeliminowany z walki. Oksiński pada, ale dalej może walczyć. I wtedy, pchany jakąś nadludzką siłą, wstaje z ziemi Kulik i chwiejnym krokiem podchodzi do leżącego na ziemi zabójcy i oddaje w jego kierunku siedem strzałów. Siedem, bo więcej nie miał w magazynku.

15.04

Klęczący na ulicy starszy posterunkowy Jakub Kulik najpierw odsuwa broń od zamachowca. Następnie zmienia magazynek w swoim pistolecie. A później próbuje sam się opatrzyć, zakładając wojskową stazę, czyli specjalny opatrunek uciskowy na postrzelenia. Potem zakrywa twarz dłońmi.

JULIUSZ ĆWIELUCH, NATALIA SAWKA

© OSP BIELSKO BIAŁA LESZCZYNY, JAN GOLBA/FACEBOOK

eprasa.pl 3ca6a7670d

Marsz do wyjścia

RAFAŁ KALUKIN



Prawica pozostaje politycznie podzielona, ale jej wzorzec patriotyzmu wydaje się coraz bardziej jednolity w swojej antyzachodniej, antyunijnej obsesji i rosnącej obojętności na zagrożenie rosyjskie. A tegoroczny Marsz Niepodległości pokazał, że jest to wizja coraz bardziej atrakcyjna społecznie.

Nie są to już takie marsze jak dawniej, kiedy płonęły tęcze, budki i wozy transmisyjne, przywołując najgorsze historyczne skojarzenia. Ich estetyka oczywiście przetrwała, podobnie jak ogólny nacjonalistyczny rys, znajdujący wyraz w powracających co roku hasłach. Tyle że w mocno już rozwodnionej postaci: bez najbardziej pikantnych przypraw, świadomej prowokacji, niszczycielskich fantazji. W szlak wcześniej przetarty przez grupy szturmowe w kominiarkach wlał się wielotysięczny tłum, który nie tylko manifestuje swoje istnienie okrzykiem „Tu jest Polska", ale naprawdę uważa, że tak jest w istocie.

Tym samym osłabło napięcie między organizatorami imprezy a większością uczestników, która nigdy nie hołdowała agresywnym ideologiom i dla własnego komfortu starała się w przeszłości ignorować jawnie faszystowskie hasła. To się jednak uładziło, odkąd zniknął z marszowej szpicy Robert Bąkiewicz wraz z kumplami od zadymy, ustępując miejsca następcom, którym patronuje ugrzeczniony narodowiec Krzysztof Bosak. Mocno już zasiedziały w politycznym mainstreamie, z rosnącym apetytem na sprawowanie władzy, co widać w przebiegu listopadowego zgromadzenia.

Ale oczywiście rebeliancka legenda Marszu Niepodległości tak całkiem nie wyparowała. W tym roku widać to było doskonale, kiedy w rekordowym ćwierćmilionowym tłumie siłą rzeczy pojawiło się wielu takich, którzy znali wcześniej imprezę wyłącznie z medialnego obrazu i najwyraźniej spodziewali się czegoś bardziej soczystego. Jeszcze przed

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

wymarszem, słuchając na Rondzie Dmowskiego wystąpień Bosaka i jego kolegów, dzielili się między sobą wrażeniami. Można było odnieść wrażenie, że są nieco zawiedzeni ogólnie mało wybuchowym nastrojem. Pomimo obficie używanej pirotechniki, po krakowskiej tragedii oficjalnie tym razem zakazanej, ale któżby się przejmował zakazem, którego nie da się skutecznie wyegzekwować?

Tyle że wybuchające petardy i płonące kibicowskie race to taki sam element wspólnotowego rytuału jak dużo bezpieczniejsze rekwizyty pop-patriotyzmu z odpustowych stoisk rozsianych przy wyjściu ze stacji metra: powstańczych opasek, biało-czerwonych wianków i kotylionów, emblematów wojennych bohaterów, kotwic Polski Podziemnej.

W niedawnej jeszcze przeszłości to chyba było dużo bardziej od siebie oddzielone. W awangardzie maszerowały hałaśliwe ekstrema, a dopiero za nimi – w stosownej odległości – owe sławetne „rodziny z dziećmi", które w późniejszych polemikach służyły jako alibi. Ale z czasem wszystko się wymieszało. Radykałowie stępili faszystowskie pazurki, a niedzielni patrioci przestali bać się petard i najwyraźniej oswoili się z obcą im stadionowo-bojówkarską subkulturą.

Większość maszerujących sprawiała wrażenie, jakby w zupełności wystarczało jej samo uczestnictwo w tak licznym gronie, poczucie wspólnoty pod biało-czerwoną flagą i dopiero w dalszej kolejności możliwość zademonstrowania sprzeciwu wobec nielubianej władzy. Zarzut formułowany pod jej adresem wydawał się zarazem stosunkowo mało określony. Mniej było istotne, czego konkretnie się dopuszcza. Bardziej – skąd się wywodzi i komu służy jej kulturowo odczuwana „obcość".

Ruszyliśmy więc Alejami Jerozolimskimi i Mostem Poniatowskiego w stronę Stadionu Narodowego. Kto miał możliwość znaleźć się w miarę blisko któregoś z marszowych zapiewajłów, ten pewnie lepiej poczuł atmosferę. Przynajmniej do pewnego stopnia, bo zasób haseł do skandowania i przyśpiewek okazał się – jak zwykle zresztą – dosyć ubogi i nieznośnie powtarzalny, co u niektórych (raczej nielicznych) mogło nawet wywołać uczucie znużenia.

A więc jak zawsze: „Chwała bohaterom", „Śmierć wrogom ojczyzny", „Czołem Wielkiej Polsce", „Suwerenność nie na sprzedaż", „Bóg–Honor–Ojczyzna!", „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści" (zawsze aktualne, cokolwiek miałoby dziś oznaczać), coś o Tusku i Brukseli, wreszcie spinające to wszystko w jedną klamrę „Polska, biało-czerwoni!". A potem cały zestaw raz jeszcze od początku.

Kiedy jednak podpowiadające głosy z megafonów się oddalały, robiło się zadziwiająco cicho i spokojnie. Tłum niespiesznie sobie maszerował, bez wyraźnego napięcia i konkretnej emocji; ten i ów jedynie coś komentował, ale większość szła w milczeniu. W pewnym momencie ktoś zdegustowany na własną rękę podjął nawet próbę rozruszania nastroju, uroczyście intonując Mazurka Dąbrowskiego. Ale skończyło się na „Jeszcze Polska nie zginęła...", bo nikt nie pociągnął hymnu dalej.

Zaskakująco niewiele było bieżącej polityki i trudno dociec, dlaczego akurat tego roku frekwencja tak wystrzeliła. Z powodu nabrzmiałego konfliktu o Trybunał Konstytucyjny? Wątpliwe, żeby ten temat jakoś specjalnie rozgrzewał zgromadzonych, a w każdym razie nie było o tym słychać. Oddolne pragnienie zwarcia szeregów i odbudowania prawicowej jedności? Być może, chociaż na bardzo ogólnym poziomie, przy niewielkiej świadomości partyjnych odrębności i jeszcze słabszej identyfikacji z konkretnymi siłami.

Można było nawet odnieść wrażenie, że w oczach większości uczestników nie ma większej różnicy między przemawiającym z pozycji gospodarza Bosakiem a stojącym gdzieś na trasie posłem Dariuszem Mateckim w roli misia z Krupówek, z którym można przybić piątkę i zrobić sobie zdjęcie. Obaj są tak samo istotni jako „nasi" i zarazem nieistotni, bo można ich bez większej straty zastąpić kimkolwiek innym. Podobnie jak pozostałych partyjnych liderów z kurczącym się w oczach Kaczyńskim, dosyć pobłażliwie ocenianym Mentzenem i nawet Braunem, pomimo całej jego oryginalności. Intrygującej, ale już niekoniecznie niezbędnej.

Naprawdę w oczach tej wspólnoty liczy się tylko Karol Nawrocki i żeby to poczuć, nie trzeba było wcale znaleźć się w jego pobliżu, kiedy dołączył do marszu. Skandowanie „Karol Nawrocki prezydentem Polski" niosło się raz po raz na całej długości trasy, za każdym razem z tym samym entuzjazmem. To jest jedyny prawdziwy lider, przewodnik i autorytet, ale czy to on nadaje kształt owej patriotycznej wspólnocie? Prędzej już po prostu wstrzelił się w jej oczekiwania, bo jest swojski, „ludowy", kibicowski, pokoleniowo bliski swojej głównej klienteli. Głęboko zanurzony w narodowej historii, chociaż nie ma o niej niczego ciekawego do powiedzenia. Ale pewnie o to chodzi, żeby nie mędrkować, tylko być zrozumiałym. I kiedy powtarza do znudzenia te swoje slogany w rodzaju „po pierwsze, Polska, po pierwsze, Polacy", ludzie najwyraźniej wierzą, że to płynie od serca, a nie z ukrytej w rękawie ściągawki.

Ów oddolny patriotyzm nigdy dotąd nie miał swojego bohatera, w którym prawicowy lud mógłby się przejrzeć niczym w lustrze. Żeby rozpoznać kontury własnej tożsamości. Na początku III RP znalazł się w kleszczach między dominującym nastrojem liberalno-modernizacyjnym, który patriotyczne uniesienia naiwnie pragnął zamknąć w pustoszejącym skansenie, a sekciarskimi sporami inteligenckiej prawicy, która bezskutecznie próbowała wskrzesić ideologiczne tożsamości z dawnych czasów, rzekomo zamrożone przez PRL, a tak naprawdę od dawna martwe.

Opowieści o rządzących Polską trumnach Piłsudskiego i Dmowskiego od początku były bujdą, podobnie zresztą jak wiara ówczesnych prawicowych liderów w oczyszczającą moc antykomunizmu. W latach 90. istniał co najwyżej zestaw elementarnych patriotycznych odruchów. Z jednej strony był to powoli już dogasający sentyment solidarnościowy, w nowej epoce coraz mniej zrozumiały, ale nadal jakoś podtrzymujący wiarę w wyjątkowość polskiego losu, z czym doskonale rymował się powszechnie podzielany w tamtej epoce mit Jana Pawła II jako „papieża tysiąclecia". A z drugiej – przenoszone z pokolenia na pokolenie przesądy romantyczne, tyle że pozbawione pierwotnej duchowej siły i bliższe temu, co wyczulony na takie tony Marcin Król określał mianem „romantyzmu drugorzędnego". Czyli bardziej w duchu Sienkiewicza niż właściwych wieszczów.

Nie była to jednak mikstura polityczna, którą dałoby się skojarzyć z konkretnym miejscem na arenie partyjnych rywalizacji. Trzeba zresztą oddać Jarosławowi Kaczyńskiemu, że już ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ w pierwszych latach III RP był chyba jedynym liderem politycznym, który zdawał sobie sprawę z potencjału owej tożsamości. Tyle że nie umiał do niej dotrzeć, gdyż sam był zanadto inteligencki i – jak nieraz podkreślał z zaskakującą dzisiaj szczerością – należał do tego odłamu polskiej inteligencji, który „nie wierzy w lud".

Pierwszym przełomem okazał się sojusz z Radiem Maryja, chociaż społeczność zgromadzona wokół toruńskiej rozgłośni nawet w czasach swojej największej świetności pozostawała zjawiskiem dosyć egzotycznym w oczach przeciętnego Polaka. Nazbyt szczelnie zamkniętym w katolickiej ortodoksji i antyzachodnim zacietrzewieniu, co wtedy jeszcze uchodziło za postawę nie tylko ekscentryczną, lecz po prostu szkodliwą.

Z perspektywy czasu widać zatem wyraźnie, że wydarzeniem o wiele bardziej istotnym w procesie rekonstrukcji patriotycznego rdzenia było otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego, któremu z kolei patronował Lech Kaczyński. Przecierające szlak modzie na rekonstrukcje historyczne oraz kolejno rozbudzane kulty coraz radykalniejszych formacji zbrojnych. W odróżnieniu od brata Jarosław traktował jednak politykę historyczną czysto użytkowo i nie przeszkadzało mu coraz szersze otwieranie się na tradycje polskiego nacjonalizmu, czemu Lech był jeszcze zdecydowanie przeciwny. Jednak po jego śmierci każdy skrajny nurt nadawał się na sztandary, jeżeli służyło to wyostrzeniu bieżącego konfliktu politycznego.

Gleba została zatem odpowiednio użyźniona, kiedy wraz z Marszem Niepodległości weszło na scenę nowe pokolenie prawicy, poszukujące na własną rękę źródeł ideologicznej odrębności. Z oczywistych przyczyn obojętne na solidarnościowe dziedzictwo, jak również pogardzające romantycznym mazgajstwem, na krótko jeszcze wskrzeszonym po katastrofie smoleńskiej. Ale Polska nie miała już dłużej cierpieć, a już tym bardziej wiecznie aspirować do rzekomo lepszego Zachodu. To na pierwszych listopadowych marszach krystalizował się ponad dekadę temu wzorzec nowego patrioty Polski wielkiej, suwerennej i skazanej na mocarstwowość. Instrumentalnie później upaństwowiony za drugich rządów PiS, aż stał się wzorcem powszechnie obowiązującym.

Wystarczał prosty wspólnotowy slogan, zapewne grający rolę plastra na niepewność naszych czasów. Bo za skandowanym hasłem „To my, Polacy" z roku na rok coraz trudniej odnaleźć okruchy bardzo różnych przecież rodzimych tradycji politycznych. Z czasem wszystko wylądowało w tym samym popkulturowym tyglu, w którym można skompilować dowolne historyczne emblematy i nic się nie gryzie, wszystko jest równie wielkie i chwalebne.

Problem polega na tym, że to patriotyzm tyleż naskórkowy, ile zarazem podatny na manipulację. Bo jeżeli ktoś zatracił zdolność rozróżniania kontekstów, to zapewne nie zrozumie, co takiego kontrowersyjnego może być w haśle „Czołem Wielkiej Polsce". Dlaczego mielibyśmy odmawiać ojczyźnie wielkości? Znamienne, że na tegorocznym marszu doszlusowała do tego idiomu nawet nieszczęsna związkowa popłuczyna po wielkiej niegdyś Solidarności. Przedstawiciel jej kierownictwa dzielił scenę z liderami Młodzieży Wszechpolskiej, rozwlekle nudzącym węgierskim faszystą oraz „narodowym raperem" Bastim, który miał na koszulce hasło „Polski Lwów". Co zostało z solidarnościowego „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej", które wyrastało z zupełnie innej niż endecka i o ileż szlachetniejszej tradycji walki „o wolność waszą i naszą"?

Tak samo było z odbiorem oficjalnego hasła tegorocznego marszu „Polak w Polsce gospodarzem". Odczytane dosłownie, bez zrozumienia zaszyfrowanego w nim jadowitego przekazu, staje się truizmem, który może oburzać co najwyżej narodowych zaprzańców. Tyle że takie slogany utrwalają pewien sposób widzenia świata, wyostrzając podziały i pogłębiając narodowe antagonizmy.

Jednak takie rozmycie pojęć okazuje się jak najbardziej pożądane. Endecki szowinizm w dietetycznej postaci, pozornie tylko wydrążonej z ideologicznej formy, na dobre osiadł w zbiorowej wyobraźni. Ze wszystkimi konsekwencjami, gdyż jego polityczne ostrze pozostaje od ponad stulecia niezmienne. Jeżeli „wielka Polska" ma się zmaterializować, jedyna droga prowadzi przez zerwanie więzi ze „zgniłą" liberalną Europą.

Kto więc pokonał w tym roku całą trasę Marszu Niepodległości od Ronda Dmowskiego po błonia Stadionu Narodowego, z pewnością wielokrotnie usłyszał mniej lub bardziej donośne złorzeczenia pod adresem Berlina i Brukseli. Ale jeśli chodzi o zagrożenia na Wschodzie, ostał się wyłącznie „banderyzm", nie wiedzieć dlaczego kojarzony najchętniej z Tuskiem. Z kolei Rosja Putina całkiem wyparowała, jakby jej nigdy nie było.

Nie istniała w oficjalnych wystąpieniach polityków, wznoszonych poprzez megafony hasłach, spontanicznych reakcjach i na transparentach. Niewiele też wskazywało, żeby w tej ćwierćmilionowej patriotycznej wspólnocie ktokolwiek ten brak dostrzegł, chociaż prywatnie absolutna większość uczestników zapewne lęka się eskalacji wojny w Ukrainie. A wszystko to w momencie, kiedy powracają rosyjskie pretensje do wykreślenia nowej strefy wpływów i pojawia się widmo „nowej Jałty".

Można się łudzić, że to wynik bieżących politycznych kalkulacji bądź ideologicznego zaślepienia nowej prawicy (i starej przy okazji również), tylko że niewiele z tego wynika. Ostatecznie ważne są nie intencje, lecz skutki procesu, który trwa od lat i rozwija się zgodnie ze swoją wewnętrzną logiką. Kiedy więc w trakcie największej ponoć patriotycznej mobilizacji we współczesnej Polsce nie wspomina się słowem o najpoważniejszym dzisiaj zagrożeniu dla polskiej suwerenności, należy to potraktować jak sygnał alarmowy. Ów niby to łagodny i wspólnotowy patriotyzm „rodzin z dziećmi" wiedzie bowiem być może do kolejnego dziejowego obłędu.

Po oswojeniu radykalnych ideologii coraz bliżej nam dzisiaj do pokonania kolejnej granicy, czyli szerokiej społecznej akceptacji dla „polexitu" – co zaczynają już pokazywać pierwsze badania. A potem? Jeżeli ktoś tego trendu nie powstrzyma, tylko czekać, jak wezwania Brauna do „normalizacji" stosunków z Rosją zaczną przenikać do prawicowego mainstreamu. Z początku nieśmiało, z zastrzeżeniami, jak to bywało z „trudnymi tematami", a później coraz śmielej. I jeżeli ktoś jest w stanie to szaleństwo powstrzymać, to dzisiaj chyba tylko Karol Nawrocki. Tylko że prezydent sam jest tego szaleństwa produktem, nadając mu swoją twarz i czerpiąc z niego polityczną energię. I chociaż nic na to dzisiaj nie wskazuje, pozostaje mieć mimo wszystko nadzieję, że może się jednak w pewnej chwili opamięta.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 3ca6a7670d



Pałacowi

Ludzie wokół prezydenta Nawrockiego pomogli mu wygrać wybory, a teraz doradzają, jak pokonać premiera Tuska. Kim są, jakie mają zadania i własne ambicje?

ANNA DĄBROWSKA

Scenka z Marszu Niepodległości. Prezydent maszeruje, a dziennikarz TVP Info wykrzykuje pytanie, czy przyjmie zaproszenie od premiera. Donald Tusk do południa ponowił zaproszenie, tym razem „z małżonką, z rodziną, z dziećmi do mnie, do domu w Sopocie. Podzielmy się opłatkiem przed Wigilią". Nawrocki odpowiada z uśmiechem dziennikarzowi: „Wie pan, od rana jestem w pracy. Nie wiem, co się dzieje. Nie śledzę". Dziennikarz nie daje za wygraną, mówi o zaproszeniu Tuska. „Nie wiem, o co pan pyta" – ucina prezydent.

Obok prezydenta szli szef jego gabinetu Paweł Szefernaker, jego zastępca Jarosław Dębowski i rzecznik Rafał Leśkiewicz. To oczywiste, że wiedzieli o zaproszeniu Tuska, ale przyjęli taktykę, że trzeba obniżać rangę tych zaproszeń i nie Nawrocki będzie na nie bezpośrednio odpowiadał. Doświadczony polityk PiS związany z Nowogrodzką: – *Taktyka politycznie sprytna, ale odpowiedź Karola na marszu była głupawa. Prezydent nie może odpowiadać „nie wiem, co się dzieje". Dobrze, że Szefernaker zorientował się, że trzeba coś zrobić, bo wszyscy grzaliby to, że Nawrocki „nie wie, co się dzieje".*

Prezydencki minister jeszcze z marszu napisał na X, że „Donald Tusk zawsze gra rolę kogoś, kim nie jest. Wczoraj demokraty, dziś gołąbka pokoju. Mówi o jedności, ale przy każdym kolejnym święcie narodowym ucieka przed wspólnym państwowym gestem z Prezydentem Nawrockim. Wystarczyło zostać w Warszawie. Wystarczyło wspólnie złożyć wieniec przed Grobem Nieznanego Żołnierza". Nasz rozmówca komentuje: – *Mógł mocniej dołożyć Tuskowi, że zamiast w Warszawie, to spędza Święto Niepodległości w Szczecinie. Ale Paweł sam jest ze Szczecina, więc mu nie wypadało.*

Po Radzie Bezpieczeństwa Narodowego Kaczyński był oburzony, że jego ludzie w Pałacu nie są w stanie dopilnować Nawrockiego, a Tusk sprawnie to wykorzystuje. Co prawda ku zadowoleniu prezesa w wystąpieniu otwierającym posiedzenie RBN Nawrocki ostro skrytykował premiera, obarczając go odpowiedzialnością za sytuację w Trybunale Konstytucyjnym. Ale zaraz po posiedzeniu Tusk poinformował, że zaproponował prezydentowi spotkanie w cztery oczy, które miałoby pomóc w złagodzeniu napięć politycznych. Następnie, jak relacjonował premier, zapytał Nawrockiego w kuluarach, w jaki sposób zorganizują spotkanie. Potem na X premier napisał, że „idzie ku dobremu" i nie czekał długo na odpowiedź Kaczyńskiego, że nic nie idzie ku dobremu. „To, co robią, jest skrajnie nieodpowiedzialne, zwłaszcza w obliczu zagrożeń dla naszego bezpieczeństwa. Tusk szkodzi na każdym kroku".

Premier jednak rozwinął temat jego relacji z Nawrockim, co jeszcze mocniej rozgrzało kierownictwo PiS: „Pan prezydent powiedział, że wyśle SMS z propozycją miejsca i daty. I to wszystko". Potem przeczytał wiadomość od Nawrockiego, która miała być w „bardzo serdecznym" tonie i że „mamy taką swoją poufną, tajną pocztę, bardzo osobistą. I mam wrażenie, że pan prezydent z jakichś powodów wolał się na razie wycofać z zaproszenia, ale nie jest to na pewno ostatnia próba".

Rozmówcy z Pałacu przyznają, że Nawrocki dał się zaskoczyć, nawet ograć. – *Kiedy wychodzi, że umawia się z Tuskiem na spotkania w cztery oczy, że wymieniają się esemesami, dla naszego elektoratu to zdrada, a przecież już jesteśmy w kampanii wyborczej* – irytuje się nasz rozmówca. Dlatego teraz całą narrację i komunikację przejmują ulokowani przez Kaczyńskiego w Pałacu politycy.

– *To świetnie, że Nawrocki zawrócił samolot z drogi do Senegalu tuż przed Wszystkimi Świętymi i wszedł szturmem do Trybunału Konstytucyjnego, ale nic potem z tego nie wynikło* – mówi zaprawiony w bojach kampanijnych poseł PiS. Dodaje, że błędem jest zapowiedź Zbigniewa Boguckiego, że będzie złożone zawiadomienie do prokuratury ▶

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ o czynnej napaści na prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej. „Nie można dotykać, nie można odpychać, nie można wypychać prezydenta. Tutaj Kodeks karny jest jednoznaczny" – mówił szef prezydenckiej kancelarii, adresując te zarzuty w stronę sędzi Agnieszki Korwin-Piotrowskiej, która to rzekomo miała zaatakować prezydenta. Choć cała Polska widziała, jak to było.


Jakub Nadstawny


Anna Plakwicz

Paweł Szefernaker i Zbigniew Bogucki grają o wysoką stawkę, również osobistą, bo coraz głośniej o tym, że to jeden z nich będzie kandydatem na premiera. Bogucki wdarł się z prezydentem do TK, a Szefernaker napisał i odczytał przed gmachem oświadczenie prezydenta. Obaj z jednej strony muszą wykazać się przed swoim partyjnym patronem Jarosławem Kaczyńskim, który w partii wciąż ma posłuch, a z drugiej nie urazić dumy Karola Nawrockiego, który chce być liderem prawicy i będzie miał znaczący wpływ na to, kto zostanie premierem, jeśli prawica będzie tworzyła za rok rząd.

W czwartek 12 listopada minister Rafał Leśkiewicz ogłosił, że „pan prezydent zaprasza przedstawicieli środowisk politycznych na poniedziałek, by móc porozmawiać o uzdrowieniu sytuacji w Trybunale Konstytucyjnym". Prezydent, jak się okazało, zaprasza do Belwederu, ale sam w tych rozmowach uczestniczyć nie zamierza i wyznaczył do ich prowadzenia ministra Zbigniewa Boguckiego. Za tym ruchem kryje się jednak wyraźna kalkulacja polityczna i zabieg wizerunkowy.

– *To Szefernaker po konsultacjach z Jarosławem wymyślił, jak Nawrocki ma się wywinąć z zaproszeń Tuska na rozmowy w cztery oczy. Szefer jednak nie jest typem medialnego frontmana, więc ustalili, że wystawią do tego Boguckiego* – opowiada nasz rozmówca z Pałacu. I postawili warunki: Kancelaria Prezydenta oczekuje wycofania policji z terenu Trybunału Konstytucyjnego i wpuszczenia tam na powrót Bogdana Święczkowskiego. Bogucki, były prokurator, jest sprawny retorycznie i dobrze wypada w konfrontacjach, ale to Szefernaker wyznacza strategie na polityczne kryzysy. – *Obaj, i Szefer, i Zbyszek, są w kontakcie z Kaczyńskim i dbają o dobre relacje z Nowogrodzką, ale prezes ma większe zaufanie do politycznego zmysłu Szefernakera, bo przeszedł z nim już długą drogę.*

Bogucki (rocznik 1980) po studiach prawniczych został w Szczecinie i przez trzy lata pracował jako prokurator, potem prowadził kancelarię adwokacką i działał w PiS pod skrzydłami tutejszego barona Joachima Brudzińskiego. Karierę Bogucki zrobił ekspresowo: w 2023 r. zadebiutował w Sejmie, w 2024 r. startował na prezydenta Szczecina, potem na krótko pojawił się na giełdzie kandydatów PiS na prezydenta Polski, a po zwycięstwie Karola Nawrockiego został szefem jego kancelarii.

Przyjął tę ofertę chętnie, bo to mocniejsza pozycja niż szeregowego posła partii opozycyjnej. Zwłaszcza że w Kancelarii łączy dwa etaty, bo jest także prezydenckim prawnikiem odpowiedzialnym za strategię wobec płynących z parlamentu ustaw. Liczne weta (już pół setki) są więc po części także odbiciem poglądów Boguckiego.

Gdy Jarosław Kaczyński ogłosił, że partia szuka młodego kandydata na premiera, szybko wypłynęło nazwisko Boguckiego. Ostatecznie wygrał Przemysław Czarnek, ale Bogucki się tym nie zraził i czeka na swój moment. To on w imieniu prezydenta maszeruje z prezesem PiS 10. każdego miesiąca na Plac Piłsudskiego pod pomnik smoleński.

Często bywał w Sejmie, zabierał głos i ku wyraźnemu zadowoleniu Kaczyńskiego, jak mówią w PiS, „miażdżył Tuska". Korzystał z tego tak chętnie, aż w końcu Sejm przegłosował zmiany w regulaminie: już tylko premier może zabierać głos w dowolnym momencie obrad. Przez ponad rok szefowania kancelarii Nawrockiego minister Bogucki stawał na mównicy sejmowej czterdzieści razy, a Paweł Szefernaker, szef prezydenckiego gabinetu, tylko dwa.

Szefernaker miał opowiadać komuś zaufanemu, że współpraca z Nawrockim nie należy do najłatwiejszych. – *Irytuje go, że jak mają coś już ustalone, to Karol spotyka się ze swoimi ludźmi z zaciągu IPN-owskiego, zamykają się w gabinecie i ustalają swoje strategie* – opowiada nasz rozmówca. Dodaje, że Szefernaker wierzy w ich dobre intencje, ale po pierwsze, nie mają żadnego politycznego wyczucia, a po drugie, mówią to, co prezydent chce usłyszeć, bo zachłysnęli się awansem, który mu zawdzięczają.

Prezydent przyznaje, że po wysłuchaniu partyjnych doradców potrzebuje spojrzenia kogoś spoza wielkiej polityki. Problem w tym, że tę rolę powierzył osobom bez doświadczenia. Chodzi tu głównie o Rafała Leśkiewicza, Jarosława Dębowskiego, Mikołaja Bujaka i Jakuba Nadstawnego.

Wszyscy ludzie prezydenta

Na czele Kancelarii stoi jej szef Zbigniew Bogucki. Kancelaria zatrudnia dziewięciu ministrów i dwóch wiceministrów.
Kancelaria ma: 18 biur (m.in. Biuro Polityki Międzynarodowej, Biuro Analiz i Strategii, Biuro Projektów Kreatywnych, Biuro Mediów i Listów Prezydenta, Biuro Wydarzeń Prezydenta); **18 etatowych doradców** – z wynagrodzeniem ok. 10 tys. zł (Andrzej Duda miał ich 17, Bronisław Komorowski 5); **22 społecznych doradców bez wynagrodzenia**, którym Kancelaria zapewnia miejsce do spotkań i narad. **W sumie zatrudnia 400 osób** w przeliczeniu na pełne etaty.
Przez rok prezydentury Nawrockiego 323 pracownikom wypłacono łącznie 445,5 tys. zł nagród.
Budżet w 2026 r.: 325,5 mln zł; 4,8 mln zł na podróże zagraniczne.
Planowane wydatki w 2027 r.: 359 mln 480 tys. zł (wzrost o 15 proc. w stosunku do 2026 r.).
Pensja prezydenta: 27 093,64 zł brutto.

eprasa.pl 3ca6a7670d


Nikodem Rachoń

Bujak to wieloletni przyjaciel Nawrockiego, pełniący jednocześnie funkcję jego osobistego fotografa. Pracowali razem jeszcze w Muzeum II Wojny Światowej. Z kolei Nadstawny łączy w tym układzie pokolenia – jest synem kolegi prezydenta i przyjacielem syna prezydenta, Daniela. W czasach, gdy Nawrocki kierował IPN, służył mu jako kierowca i asystent, a na czas kampanii wziął urlop i jeździli razem po kraju. Dziś nosi za Nawrockim telefon, podaje mu snusy i zbiera kontakty od ludzi, którzy chcą coś przekazać prezydentowi, kiedy pokazuje się w tłumie. Gdy prezydent forsował wejście do TK, tuż za jego plecami podążał z telefonem właśnie Nadstawny. To on żądał od Macieja Berka kluczy do gmachu.

Nawrocki wsłuchuje się też w głos swojego rzecznika prasowego Rafała Leśkiewicza i Jarosława Dębowskiego, zastępcy Szefernakera. – *Obaj przeszli długą drogę z Karolem w IPN i to on sam ich wyciągnął do Kancelarii. To oni obok Boguckiego i Szefernakera szli z Nawrockim w Marszu Niepodległości. To dziś najważniejsi ludzie w Kancelarii* – twierdzi polityk PiS.

„To przecież w ogóle nie są politycy: Jarosław Dębowski, przyszły wiceszef gabinetu, współpracuje ze mną od czasów Muzeum II Wojny Światowej. Rafał Leśkiewicz, który będzie moim rzecznikiem, od wielu lat pracuje w IPN" – mówił w 2025 r. po wygranych wyborach Nawrocki. O Dębowskim dodał, że „to człowiek ciężkiej pracy, wielki erudyta i człowiek, bez którego nie mógłbym stanąć dzisiaj przed państwem". Nazywany jest w PiS „Jarkiem z brodą", był zaufanym dyrektorem biura prezesa IPN, który na czas kampanii wziął urlop bezpłatny i nie odstępował Nawrockiego na krok. Wcześniej pracował w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i w mediach – przez 10 lat był związany z Grupą RMF.

– *Jarek jest bardzo radykalny w poglądach, ale nie występuje w mediach, a Rafał Leśkiewicz jest bardzo wygadany, choć już nieraz powiedział coś, co wprawiało Nowogrodzką w osłupienie. Karol miał rację, kiedy mówił, że to nie są politycy, ale Kancelaria Prezydenta to też nie IPN. Naprawdę czym innym jest ogłaszać w Instytucie uroczystości z okazji rocznicy wojny, a czym innym zarządzać komunikacją u prezydenta* – denerwuje się jeden ze strategów PiS. A Leśkiewicz przez niemal 25 lat był związany z IPN. Pracował w kluczowym Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie, także jako dyrektor, a Nawrocki mianował go na rzecznika Instytutu.

Ktoś przypomina przykład z ostatnich dni, jak Rafał Leśkiewicz „zjechał" w wp.pl Tomasza Sakiewicza, który sugerował, że policjanci uciekli z miejsca tragedii w Krakowie lub zostali skierowani do Warszawy. „Na pewno została przekroczona granica dobrego smaku" – mówił Leśkiewicz. – *My w PiS też nie palimy się do obrony Sakiewicza, ale nie można go atakować, bo to politycznie nam szkodzi, ale Rafał kompletnie tego nie czuje* – stwierdza nasz rozmówca.

W Pałacu są też wyzwania w dziedzinie polityki zagranicznej. Polityk PiS bliski tym tematom jest trochę zaniepokojony sprawą trzech tzw. ambasadorów prezydenckich, którzy na znak protestu wobec tego, co dzieje się w TK, złożyli rezygnację. To związani z PiS ambasador RP w Chinach Jakub Kumoch, w Rumunii Paweł Soloch oraz stały przedstawiciel Polski przy ONZ Krzysztof Szczerski. Krążą informacje, że zrezygnowali pod naciskiem otoczenia Nawrockiego, aby podkreślić wagę zdarzeń wokół TK. A porozumienia z rządem w sprawie powołania ambasadorów wciąż nie ma. Ktoś z PiS zauważa, że minister od polityki międzynarodowej w Kancelarii Marcin Przydacz został mocno zmarginalizowany. Na początku prezydentury Nawrocki bardzo liczył się z jego zdaniem, ale podobno z czasem zaczął nabierać przekonania, że sam już dobrze odnajduje się w polityce zagranicznej.

– *To klasyka, tak samo było z Dudą. Wystarczy spotkanie z prezydentem USA, a potem kilka z innymi przywódcami, i obrastają w piórka, że się znają i ogarniają* – przekonuje rozmówca POLITYKI. Podobno Nawrocki niespecjalnie przejął się tym, że Donald Trump przegrał właśnie wybory do Kongresu USA. Przydacz zdaje sobie sprawę, że Pałac traci swojego najpoważniejszego partnera międzynarodowego, i jest tym mocno przejęty. – *Ale Karol jak to Karol, mówi trudno i jedzie dalej, trochę bez planu, ale liczy na to, że Nikodem Rachoń* (etatowy doradca prezydenta odpowiedzialny za relacje z USA z ambicjami na ambasadora w Waszyngtonie – przyp. red.) *ogarnie mu te relacje* – mówi poseł PiS.

Politycy PiS pytani o kluczowe osoby w otoczeniu Nawrockiego zawsze podają nazwisko Anny Plakwicz. Przypomnijmy, że w październiku została zatrzymana przez CBA i usłyszała zarzuty dotyczące zrealizowania kampanii „Sprawiedliwe Sądy" wymierzonej w sędziów, sfinansowanej przez Polską Fundację Narodową. Z PiS związana jest od 20 lat i odgrywa znaczącą rolę w kampaniach wyborczych. Po wygranej Nawrockiego została dyrektorką Biura Wydarzeń Prezydenta. Jej zastępcą w Pałacu jest Paweł Bogdan, politolog, który 20 lat temu, zaraz po studiach, związał się z PiS. Pracował w Kancelarii jeszcze za czasów Andrzeja Dudy. To on biegał z Nadstawnym w pamiętną noc po TK i pytał sędzię Annę Korwin-Piotrowską, „czy czytała konstytucję".

Dla Kaczyńskiego Plakwicz miała być gwarancją spójności przekazu Pałacu z linią partii. Nawrocki poznał Plakwicz w czasie kampanii wyborczej i był pod wrażeniem rozmachu, z jakim organizowała konwencje, objazdy po kraju i jakie wymyślała spoty, np. „Wojownik" (miał przykryć kontrowersje związane z przejętą przez Nawrockich kawalerką od pana Jerzego). Wymyśliła i zorganizowała rocznicowe wydarzenia z okazji roku prezydentury Nawrockiego na dziedzińcu Pałacu Prezydenckiego.

W otoczeniu Kaczyńskiego nie ma już wielu ludzi, którzy pomagali mu zwyciężać, a Pałac Prezydencki ma być silnym orężem w walce o powrót do władzy. – *Anka doskonale rozumie się z Szefernakerem, przeszli niejeden bój kampanijny. Przez najbliższe miesiące zrobią wszystko, aby Karol Nawrocki ich słuchał. Przecież mają jeden wspólny cel – odsunąć Tuska od władzy.*

Paweł Szefernaker mówił ostatnio w wywiadzie dla „Sieci", że wejściem do TK Nawrocki „jeszcze raz potwierdził, że poważnie traktuje powiedzenie »za mną, a nie naprzód«". – *Ale tak naprawdę Paweł uważa, że Nawrocki powinien iść za nim, za Boguckim czy słuchać Kaczyńskiego, bo widać, do czego prowadzi esemesowanie z Tuskiem* – puentuje polityk PiS.

ANNA DĄBROWSKA

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

Wszędzie potrzebny

Władysław Kosiniak-Kamysz jest ostatnio na pierwszej linii frontu w wielu politycznych bojach. W potyczkach z prezydentem, negocjacjach z Amerykanami w sprawie bazy w Polsce, w kwestii naprawy Trybunału Konstytucyjnego. Czy to pomoże jego partii w sondażach i koalicyjnych układankach?

JOANNA SAWICKA

Obchody Święta Niepodległości na Placu Piłsudskiego w Warszawie. Prezydent Karol Nawrocki w napastliwym przemówieniu krytykuje rząd za „zupełne pogrzebanie prestiżu Trybunału Konstytucyjnego". A przy okazji gratulacji składanych inspektorom skarbowym postanawia wbić również szpilę obecnemu na uroczystości ministrowi finansów i gospodarki Andrzejowi Domańskiemu. „Wiem, jak bardzo się staracie, i wiem, uśmiechając się do ministra Andrzeja Domańskiego, że wasza ciężka praca nie ma nic wspólnego z niechlubnymi decyzjami, fatalną sytuacją polskich finansów publicznych i pracą ministra Domańskiego" – perorował Nawrocki. Domański – mający niebawem otrzymać awans na wicepremiera – nie mógł się odciąć, bo podczas święta nie przemawiał. W obronie jego i rządu stanął natomiast prezes PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz, który, po raz już kolejny w ostatnim czasie, miał szansę pokazać premierowi i rządowej koalicji, że jest ich lojalnym współpracownikiem. Minister przypomniał prezydentowi, że utrata zaufania do trybunału nie nastąpiła „tydzień czy dwa tygodnie temu", ale wiele lat temu, zanim koalicja 15 października doszła do władzy. W odpowiedzi na krytykę Domańskiego mówił z kolei: „z gospodarką, panie prezydencie, w Polsce nie jest tak źle, a minister finansów Domański jest tym ministrem, który w historii zbudował budżet największy dla polskiej armii, za co mu bardzo serdecznie dziękuję".

Na obchody Święta Niepodległości Kosiniak-Kamysz przybył prosto z USA, gdzie rozmawiał z Amerykanami o bazie USA w Polsce. Dzień wcześniej, 10 listopada, został już po raz drugi przyjęty w Pentagonie przez ministra wojny USA Pete'a Hegsetha. Po spotkaniu Kosiniak-Kamysz podkreślił, że to „chyba najważniejsza" i przełomowa wizyta



© PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 3ca6a7670d

przedstawicieli polskiego resortu obrony w USA. Mówił, że Pentagon daje zielone światło dla stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Polski minister podpisał też z Hegsethem deklarację w sprawie zwiększenia współpracy przemysłów obronnych Polski i USA. Dni przed wylotem do Stanów Kosiniak-Kamysz spędził m.in. w rodzinnym Krakowie, gdzie wspierał mieszkańców po tragicznym zamachu, był też w Wierzchosławicach na corocznych Zaduszkach Witosowych, gdzie wzywał Polaków do jedności, a także m.in. na Wiejskiej w Warszawie, w Sejmie, gdzie usilnie pracował nad przekonaniem posłów innych partii do propagowanej przez siebie idei resetu w TK.

Można zatem mieć wrażenie, że Kosiniak-Kamysz jest wszędzie i walczy na wszystkich frontach. Ta jego aktywność przynosi w niektórych obszarach całkiem niezłe skutki, jak w przypadku obronności. Można też założyć, że przedstawiciele rządu i premier mogą być zadowoleni z jego konfrontacji z prezydentem. Jednak są i takie obszary, w których pozytywnych skutków nie widać – tak jest choćby z ideą resetu w TK, w który nikt nie wierzy. Równie słabo to wygląda, gdy się całą tę aktywność prezesa PSL zestawi z notowaniami jego partii, które od miesięcy pozostają w okolicy średnio 3,5 proc. i zdają się nie reagować na to, że Kosiniak-Kamysz stał się ostatnio jedną z centralnych postaci polskiej polityki.

Konflikt wokół TK Kosiniak-Kamysz wykorzystał do realizowania swej ulubionej agendy: szukania złotego środka. I robi to politycznie zręczniej, niż próbował Szymon Hołownia. 31 października, dzień po przejęciu kontroli nad TK przez sędziów wybranych przez obecny Sejm, Kosiniak-Kamysz jako jedyny przedstawiciel rządu wziął udział w konsultacjach z prezydentem na temat sytuacji w TK. Następnie wezwał do resetu i zaproponował ustawę, która zakłada zmiany w konstytucji. PSL powołał też zespół parlamentarny, który pracuje nad „odnową Trybunału Konstytucyjnego", organizuje konsultacje społeczne, a nawet – z pomocą społecznika i prezesa organizacji Stocznia Kuby Wygnańskiego – wysłuchanie publiczne w tej sprawie.

Prezes PSL namawiał do poparcia swojego projektu różnych politycznych liderów. Spotkał się ze Sławomirem Mentzenem, co wywołało zaskoczenie, a nawet oburzenie wśród rządowych koalicjantów. Ze spokojem skomentował to natomiast Tusk, który podkreślił, że o spotkaniu był poinformowany wcześniej oraz że ma zaufanie do lidera Stronnictwa.

Innym dowodem przychylności premiera wobec PSL była niedawna nieudana próba zniesienia dwukadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów, którą wprowadził PiS w 2018 r. Tamta pisowska ustawa uderzyła w samo serce PSL, którego silny trzon i lwią część struktur tworzą wieloletni samorządowcy zwykle z małych miast i wsi (oraz ich liczni samorządowi współpracownicy), dla których uniemożliwienie ponownego startu na stanowisko samorządowe oznacza załamanie się zawodowo-życiowych planów, a szerzej – całego systemu, który od lat umożliwia i usprawnia funkcjonowanie PSL.

Zniesienie dwukadencyjności było jednym z politycznych celów PSL w rządzie. Ludowcy złożyli projekt w tej sprawie latem 2025 r., a głosowanie odbyło się na ostatnim październikowym posiedzeniu Sejmu, jednym z bardziej pamiętnych posiedzeń ostatnich miesięcy. Izba niższa uchwaliła wówczas dwie ustawy liberalizujące prawo aborcyjne, posłowie odrzucili też wniosek o wotum nieufności wobec ministra finansów Andrzeja Domańskiego. Duża mobilizacja widoczna w szeregach rządowej koalicji, a także fakt, że projekty aborcyjne przeszły m.in. dzięki głosom części klubu PSL, pozytywnie nastawiały ludowców do głosowania w sprawie zniesienia dwukadencyjności.

Mówiło się nawet o nieoficjalnym dealu między Nową Lewicą a PSL, w skrócie polegającym na tym, że ludowcy pomogą przyjąć w Sejmie projekty aborcyjne, a Lewica – zniesienie dwukadencyjności. Istnienie dealu dementowali politycy z obu partii. Jednak, gdy się okazało, że ustawa w sprawie kadencji włodarzy ostatecznie nie przeszła, ludowcy byli wściekli. Zabrakło dosłownie trzech głosów – a za odrzuceniem projektu zagłosowała m.in. szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, marszałek Sejmu i lider partii Włodzimierz Czarzasty zaś wstrzymał się od głosu, co dodatkowo rozsierdziło posłów Stronnictwa. – *To prawda, że na nic konkretnego się nie umawialiśmy. Ale kolejny już raz Anna Maria Żukowska oraz Włodzimierz Czarzasty nie popierają naszych projektów i nikt nie wyciąga z tego konsekwencji* – mówi POLITYCE ważny działacz PSL.

Nieobecny na głosowaniu premier Tusk (przebywał wtedy w delegacji w Indiach) zapewnił, że nie widzi problemu, by szybko wrócić do procedowania odrzuconego projektu. A konkretnie – Sejm już na najbliższym posiedzeniu (17–19 listopada) ma się zająć analogicznym projektem stworzonym w Senacie. Ludowcy dzięki premierowi dostaną więc drugą szansę.

Dwukadencyjność budzi w PSL tak silne emocje, bo partia pragnie się zdefiniować rok przed wyborami. Bo faktycznie nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, po co i dla kogo istnieje PSL. Mierzył się z nim niedawno wicemarszałek Sejmu i sekretarz generalny stronnictwa Piotr Zgorzelski w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej". „Dwukadencyjność. Wspieranie osamotnionego w walce z Lewicą polskiego ruchu spółdzielczego. Ustawa o wychowaniu patriotycznym. Instytut Witosa. Trochę by się uzbierało" – wymieniał argumenty Zgorzelski.

Ludowcy mają swoje atuty. Poza liderem także inni ministrowie Stronnictwa – w większości – nieźle się sprawują, a co więcej odpowiadają za naprawdę ważne odcinki, takie jak infrastruktura, Port Polska i rozwój kolei (minister infrastruktury Dariusz Klimczak) czy energetyka wraz z inwestycjami w atom (minister energii Miłosz Motyka). Nieco gorzej idzie czwartemu ministrowi z PSL, odpowiedzialnemu za rolnictwo Stefanowi Krajewskiemu, któremu brakuje wizji i sprawczości, a co dla ludowców kluczowe, nie potrafi przekonać rolników, by chętniej popierali PSL. Dlatego Krajewski bywa wskazywany jako kandydat do dymisji przy okazji szerszej rekonstrukcji rządu.

Z partią kojarzona jest jeszcze jedna rządowa gwiazda, odpowiedzialna najpierw za polską prezydencję w Radzie UE, następnie za wdrażanie programu SAFE, obecnie na stanowisku sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony, Magdalena Sobkowiak-Czarnecka. Jednak również jej nie udaje się podbijać wyborczej popularności Stronnictwa. „Na każdym formalnym oraz nieformalnym spotkaniu zastanawiamy się, jak znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego bardzo dobra ocena pracy naszych ministrów i rekordowe wskaźniki zaufania do Władysława Kosiniaka-Kamysza nie przekładają się na notowania partii" – narzekał w wywiadzie Zgorzelski.

Obok rządowych gwiazd PSL ma też w rządzie polityków ewidentnie ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ nieudanych. Przykładem jest wiceminister spraw zagranicznych Władysław Teofil Bartoszewski, któremu prokuratura postawiła zarzuty przywłaszczenia mienia w wysokości 1 mln funtów brytyjskich, 405 tys. euro oraz ponad 6,6 mln zł. Bartoszewski nie przyznaje się do winy, ale można się spodziewać, że jego kariera w rządzie niebawem się zakończy – decyzję w tej sprawie ma podjąć w najbliższych dniach premier Tusk.

Patrząc na partię, jej agendę i działaczy, podstawowym pytaniem wydaje się to, kto właściwie miałby ludowców popierać. Dawniej to byli zamożni rolnicy. W okolicy 2015 r., gdy grupa ta w elektoracie PSL się znacząco skurczyła, partia zwróciła się ku przedsiębiorcom – też raczej z mizernym skutkiem. Pomimo licznych obietnic składanych przez Kosiniaka-Kamysza tej grupie mali przedsiębiorcy chętniej patrzyli w stronę Konfederacji Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka. Współpraca z Polską 2050 i stworzenie na wybory w 2023 r. Trzeciej Drogi zaowocowały przyciągnięciem wyborców średniomiasteczkowych, zdystansowanych do obu stron sceny politycznej. Ale i oni, jak wskazują badania, dziś już wolą na wybory zostać w domu lub zagłosować na KO, Konfederację czy nawet Koronę Brauna. Pewną bazą i podstawą wyborczą byli też zawsze samorządowcy. Setki bliżej lub dalej związanych z partią włodarzy małych miast i wsi (do PSL należy blisko 250 wójtów, burmistrzów i prezydentów, a dziesiątki kolejnych z ludowcami współpracuje), do tego 91 starostów, blisko 750 radnych powiatowych i 58 sejmikowych, którzy skutecznie budują lokalne siatki wpływów Stronnictwa, dbając o możliwość zatrudnienia dla szeregu działaczy i ich rodzin. Dwukadencyjność ten ostatni trzon elektoratu PSL może ostatecznie zniszczyć i sprawić, że już nawet obecne 3,3 proc. poparcia (średnia z ostatnich 30 dni, za ewybory.eu) będzie dla ludowców trudna do utrzymania. Stan poparcia dla Stronnictwa jest praktycznie niezmienny od czerwca 2025 r., gdy PSL i Polska 2050 ostatecznie rozstały się i zakończyły żywot koalicji pod nazwą Trzecia Droga. Partii Kosiniaka-Kamysza nie pomagają żadne sukcesy rządu ani osiągnięcia poszczególnych działaczy czy ministrów. Liderzy ugrupowania przekonują, że faktyczny stan poparcia jest zawsze w przypadku PSL wyższy, niż wskazują na to sondaże. Ale nieoficjalnie przyznają, że na samodzielny start przy progu wyborczym na poziomie 5 proc. obecne poparcie to zdecydowanie za mało.

Dlatego w partii rozważane są różne scenariusze koalicji. Ludowcy jako formacja centrowa są uważani za ugrupowanie, które mogłoby współpracować niemal z każdym. Na to, że PSL znajdzie sobie niedużego, w miarę centrowego koalicjanta, który pomoże mu przejść przez próg, tak jak w 2019 r. Kukiz'15 czy w 2023 r. Polska 2050, raczej nie ma widoków. Wśród liderów Stronnictwa podstawowe pomysły są dwa i oba zakładają wspólny start z Koalicją Obywatelską. O jednym z nich mówił w „Dzienniku Gazecie Prawnej" Zgorzelski, przyznając, że rozmowy z KO się toczą. A rozważaną odpowiedzią na rozdrobienie prawicy jest „wspólny, duży projekt" w formule EPL+ – czyli Europejskiej Partii Ludowej, frakcji, do której należą w Parlamencie Europejskim KO i PSL. Do tego doszłyby zapewne maleńkie, praktycznie nieposiadające wyborców i również liczące na wspólny start z KO Polska 2050 i Unia Centrum Pauliny Hennig-Kloski. Drugi pomysł to start z jeszcze szerszą koalicją rządową, czyli razem z Nową Lewicą. W PSL część naszych rozmówców uważa, że szersza koalicja byłaby lepsza, bo pozostawiłaby więcej przestrzeni na pielęgnowanie własnej tożsamości poszczególnym jej uczestnikom. Inni przekonują z kolei, że start z Nową Lewicą, z którą PSL dzieli światopoglądowa przepaść, zdemobilizowałby zbyt dużą część ich konserwatywnych wyborców. – *A chęć na koalicję z Czarzastym dodatkowo spadła po głosowaniu w sprawie dwukadencyjności* – mówi POLITYCE członek kierownictwa Stronnictwa.

Partia Kosiniaka-Kamysza wciąż przeżywa traumę z wyborów europejskich w 2019 r. Wówczas PSL dołączył się do montowanego przez Grzegorza Schetynę bloku pod nazwą Koalicji Europejskiej, z udziałem PO i SLD. Koalicja uzyskała wtedy ponad 38 proc. głosów, ale wybory wygrał ze sporą przewagą PiS (45,7 proc.), a jak pokazały badania, spora część elektoratu PSL nie poszła do wyborów. Koalicja się rozpadła, a PSL kilka miesięcy później do Sejmu wystartował wraz z Kukizem. Po tych ponad siedmiu latach strach przed wspólnym startem z KO i Lewicą pozostał, ale jest też przeświadczenie, że inne scenariusze mogą być jeszcze gorsze. W PSL można znaleźć i takich działaczy (raczej na poziomach powiatów, we wschodniej i południowej części kraju), którzy pozytywnie patrzyliby na współpracę wyborczą z PiS. Znajdą się też tacy, którzy optowaliby za współpracą z Konfederacją, a konkretnie z Nową Nadzieją Sławomira Mentzena. Ale na poziomie centralnym takie scenariusze nie są na poważnie rozważane. Rzadko też w strukturach słychać o koalicji z Rozwojem Plus Mateusza Morawieckiego, choć swego czasu plotek na ten temat pojawiało się sporo, a niedawno „Rzeczpospolita" opublikowała sondaż SW Research, według którego głosowanie na taką koalicję rozważałoby 10 proc. wyborców. Morawiecki przez liderów PSL jest jednak traktowany podobnie jak PiS, tylko o tyle gorzej, że mało kto wierzy w sukces jego ugrupowania. Panuje też ogólne przekonanie, że na powstanie nowej partii, która mogłaby coś zmienić na scenie przed wyborami do Sejmu w 2027 r., nie ma już raczej czasu.

Oprócz sondowania wyborczych sojuszy ludowcy uaktywnili się też w wewnętrznym życiu partyjnym. Zwiększyli częstotliwość wewnętrznych badań, w których kierownictwo pyta działaczy o opinie na temat różnych możliwych koalicji do Sejmu. Ostatnio sprawdzane były również poglądy członków partii na różne kwestie, takie jak ceny paliw wśród rolników, nocny zakaz sprzedaży alkoholu czy dieta planetarna w szkołach. Ludowcy byli też pytani w ankiecie, czy działaczy i wyborców Korony Brauna można nazywać oszołomami. Inne pytania dotyczyły stosunku do Unii Europejskiej oraz do baz amerykańskich w Polsce. Liderzy partii chcieli też sprawdzić stan struktur – pytali więc działaczy o wewnętrzne relacje oraz o częstotliwość spotkań i kontaktów z lokalnymi zarządami. Oraz o ocenę pracy przedstawicieli Stronnictwa w rządzie. Przed najważniejszymi politycznymi decyzjami starają się wyczuć nastroje, oczekiwania i poglądy aparatu, bo niezależnie od konfiguracji list wyborczych, konieczna będzie pełna mobilizacja działaczy.

Kosiniak-Kamysz zapewne nie odpuści i nadal będzie walczył na różnych frontach, co jemu osobiście politycznie bardzo sprzyja. Kluczowe pytanie brzmi: czy ludowcy, po wielogodzinnych namysłach, dojdą wreszcie do tego, jak te polityczne sukcesy lidera przekuć na choćby trochę lepsze notowania partii.

JOANNA SAWICKA

eprasa.pl 3ca6a7670d

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 3ca6a7670d



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

Badań na taką skalę jeszcze nie było. Prof. Zbigniew Izdebski wraz z zespołem przebadał 16 tys. dorosłych Polek i Polaków pod kątem zdrowia i seksualności. POLITYKA jako pierwsza prezentuje te wyniki. Wraz z profesorem zastanawiamy się też nad tym, co mówią one o naszej formie.

Jak się czujemy, jak się kochamy



Prof. **Zbigniew Izdebski** pedagog, seksuolog, specjalista zdrowia publicznego; pracuje na uniwersytetach Warszawskim i Zielonogórskim. Koordynator zespołu ekspertów ds. podstawy programowej edukacji zdrowotnej. Uhonorowany medalem Światowej Akademii Medycyny Alberta Schweitzera za humanizację medycyny oraz medalem Magnusa Hirschfelda za zasługi w dziedzinie badań nad seksualnością człowieka i edukację seksualną.

MALWINA DZIEDZIC: **– Tę rozmowę mieliśmy zacząć zupełnie inaczej, ale do tego, dlaczego emeryturę najlepiej planować na Podkarpaciu, jeszcze wrócimy. Tymczasem zacznę od pytania, do którego rzeczywistość dopisała brutalny kontekst: o naszą kondycję psychiczną. Bo badania pana profesora przynoszą rozległą wiedzę także na ten temat. Niepokoją szczególnie wyniki młodych.**

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI: – W naszych badaniach wyraźnie widzimy, że następuje natężenie problemów zdrowia psychicznego – dotyczą one 21 proc. Polaków: 18 proc. mężczyzn i 23 proc. kobiet. Największe problemy dostrzegamy w najmłodszej badanej grupie między 18. a 29. rokiem, wśród młodych kobiet ten odsetek wynosi aż 33 proc. W grupie młodych mężczyzn – 23 proc. Ale należy pamiętać, że mężczyźni do problemów psychicznych nie chcą się przyznawać, bo tak jesteśmy uwarunkowani kulturowo, choć to mężczyźni częściej przecież dokonują prób samobójczych. Kobiety mają mniejszy problem z szukaniem pomocy albo – kierując się stereotypem – przyjmują, że mają prawo być słabsze. Bo te stereotypy kobiecości i męskości wciąż funkcjonują i się nakładają.

Zaburzenia lękowe lub nerwicowe, depresja, do tego zaburzenia snu – to, jak wynika z państwa badań, czołówka naszych problemów.

Mówiąc o problemach zdrowia psychicznego, skupiamy się przede wszystkim na depresji. I oczywiście to ważna sprawa – w naszych badaniach wskazuje na nią 9 proc. Polaków (trzy razy więcej niż w moich badaniach z 2017 r.). Najczęściej zresztą młodych (16 proc. kobiet, 11 proc. mężczyzn do 29. r.ż.). Zarazem nie dostrzegamy wagi takich kwestii jak zaburzenia snu. Tymczasem przewlekłe problemy ze snem ma już co dziesiąty z nas. Co więcej, przewlekłe zaburzenia snu mogą nie tylko towarzyszyć depresji i zaburzeniom lękowym, lecz również zwiększać ryzyko ich wystąpienia, a także nasilać już istniejące objawy.

Widzimy też, że starsi mają chyba mocniejszą psychikę niż młodzi. Seniorzy nie tylko mają dwa razy mniej problemów ze zdrowiem psychicznym (średnio 14 proc. w grupie 60+), ale nawet tzw. stan ducha jest u nich zdecydowanie lepszy. Tylko 6 proc. ocenia go źle lub bardzo źle. W przypadku młodych – aż 17 proc.

© KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

Oczywiście moglibyśmy powiedzieć, że kiedyś nie wiedzieliśmy tyle o ludziach, nie badaliśmy ich tak jak teraz. Jak ktoś był smutny, to był smutny; nie zastanawiano się nad tym głębiej. Teraz jednak żyjemy w zupełnie innej rzeczywistości. A ten współczesny świat jest przede wszystkim silnie przebodźcowany. I z tymi bodźcami częściej mają kontakt właśnie młodzi, bo starsi często żyją w nieco innym świecie. Oczywiście też wiele rzeczy w życiu przeszli, też mają swój bagaż. Mówimy jednak, że są twardsi. I pewnie coś w tym jest. Ale zarazem nie spędzają tyle czasu w komunikatorach, w internecie, w socialach; nie są tak bardzo atakowani różnego typu informacjami, z którymi nie wiedzą, co mają zrobić. I jak spojrzymy na badania, to widzimy tu znaczącą zmianę i to, że młodzi potrzebują więcej wsparcia. 15 lat temu w grupie 50–60-latków 4 proc. deklarowało, że choruje na depresję, w tej najmłodszej – 1 proc. Teraz zaś w tej grupie młodych dorosłych aż 14 proc. deklaruje depresję, wśród 50-latków – 8 proc., powyżej 60 lat – 5 proc.

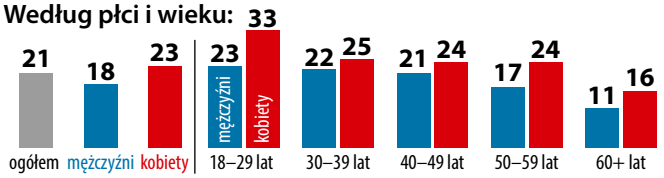
Do tego to młodsze pokolenie jest bardzo rozbudzone w swoich aspiracjach – chcą jeździć po świecie, mieć markowe rzeczy, nie zadowalają się byle czym, także dlatego, że chcą funkcjonować w swoich grupach rówieśniczych, a te często są wykluczające.

I ciągle są osądzani: z każdego miejsca na świecie, całą dobę. Kiedyś ten krąg zamykał się co najwyżej na sąsiedniej dzielnicy lub wsi.

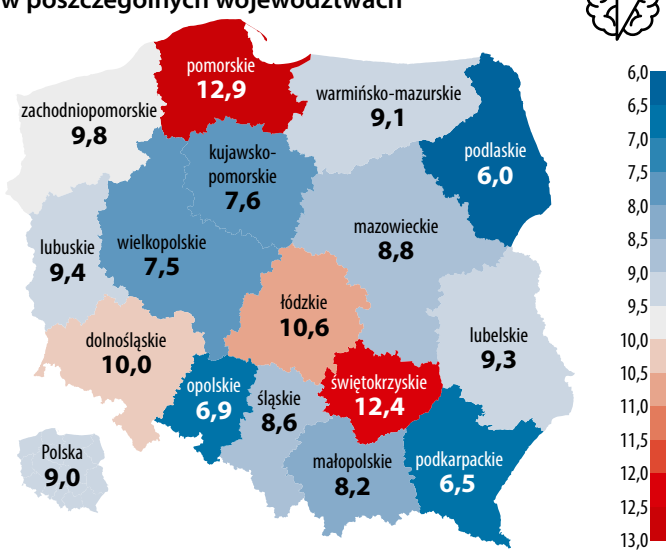
Rzeczywiście postęp technologiczny powoduje, że każdy może cię w internecie ocenić, obgadać, przypiąć jakąś łatkę, zhejtować. I nie wszyscy dają sobie z tym radę. W tym przebodźcowanym świecie młodych także seks traci na znaczeniu: jeszcze niespełna dekadę temu w moich badaniach wychodziło, że seks był istotny dla co drugiej osoby w tej najmłodszej grupie wiekowej. Teraz ten odsetek spadł do 39 proc.

Problemy zdrowa psychicznego: (w proc.)

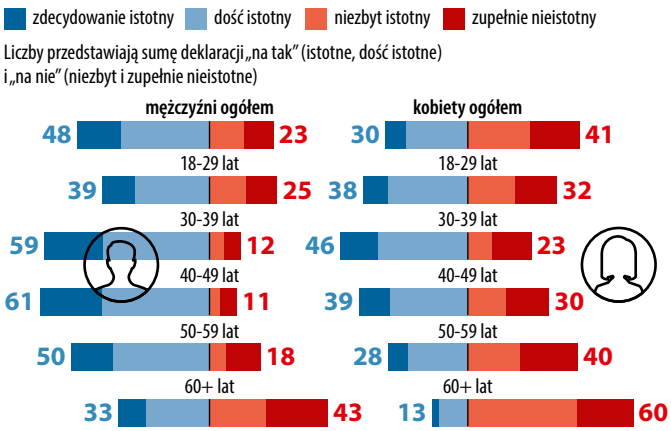
Według płci i wieku:



Depresja w Polsce. Częstotliwość występowania w poszczególnych województwach



Rola seksu w życiu (w proc.)



INFOGRAFIKI **LECH MAZURCZYK**

I nie daje już takiej frajdy. Spójrzmy na Lubuskie: zadowolonych ze swojego życia seksualnego jest tam 49 proc. 18–29-latków; to najgorszy wynik w tej grupie wiekowej. Za to seniorzy mają tam najlepszy seks: 69 proc. osób 60+ jest zadowolonych albo wręcz bardzo zadowolonych! Podobnie wygląda to na Podkarpaciu. Tam życie seksualne najwyraźniej zaczyna kwitnąć dopiero po sześćdziesiątce: mamy 62 proc. zadowolonych (w młodszych rocznikach przeciętnie: 54 proc.). Tymczasem średnia w tym wieku to 51 proc. (statystykę szczególnie zaniżają seniorzy z Łódzkiego: 37 proc., i Świętokrzyskiego: 38 proc.).

Lubuskie może tak nas nie dziwi, bo zachodnia część Polski generalnie uchodzi za bardziej liberalną. Ale ta wschodnia ściana, która przecież w naszym przekonaniu jest konserwatywna i tradycyjna – już tak. Oczywiście interpretacji może być wiele. Może to kwestia tego, co dla nas znaczy dobry seks? Ale zastanawiając się nad tym fenomenem, spójrzmy też na inne mapki: np. na Podkarpaciu występuje najmniejsze zmęczenie i stres. A to czynniki, które najczęściej utrudniają nam życie seksualne. Poza tym to region, który w ostatnich dekadach przeszedł ogromną zmianę, zainwestowano mnóstwo funduszy europejskich w jego rozwój. W wielu rankingach przoduje jako województwo, w którym ludzie są najszczęśliwsi i żyją najdłużej. To wszystko może być skorelowane. Do tego przenoszą się tam ludzie z innych części Polski, także właśnie na emeryturę. No i mieszają się tam kultury.

Ale może to także kwestia wymagań i oczekiwań. Bo te obawy, że się nie sprawdzę w łóżku, też są najmniejsze właśnie na Podkarpaciu (10 proc., średnia: 16 proc.). I możemy to interpretować na dwa sposoby: albo mają tam taką dobrą sprawność seksualną, więc się nie przejmują, albo mają niższe wymagania.

Ale tzw. statystyczny Polak też raczej ma seks nienadzwyczajny. Nie ma „efektu wow": tylko 17 proc. badanych ocenia swoje życie seksualne „bardzo dobrze", 36 proc. – „raczej dobrze".

Myślę, że to właśnie jest spowodowane tymi zwiększonymi wymaganiami wobec seksu. Ale ja bym te dwa wyniki łączył i powiedział, że tak naprawdę to nie jest zła ocena. Polacy generalnie są zadowoleni ze swojego seksu. I oczywiście możemy spojrzeć na indywidualne ankiety i pomyśleć: „jak to, skoro ten seks wygląda tak siermiężnie?". Ale z drugiej strony, co komu do domu, ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ jak chata nie jego. Najważniejsze jest to, jak my sami się z tym czujemy – to nasza subiektywna ocena jest tu kluczowa.

Zadowolenie nie oznacza jednak braku kłopotów: prawie połowa badanych (47 proc.) miała w ostatnim roku problem ze zdrowiem seksualnym. Oczywiście jedno nie wyklucza drugiego. Gorzej, że z pomocy lekarza skorzystało tylko 13 proc. z nich. Seks wciąż jest tematem wstydliwym, więc kłopoty wolimy przeczekać albo przemilczeć, zamiast potraktować je jak sprawę zdrowotną.

Ciekawa jest także inna grupa: 27 proc., które nie jest ani zadowolone, ani niezadowolone. To grupa, która od zawsze w Polsce występuje. To do niej przede wszystkim powinniśmy próbować docierać z edukacją zdrowotną, profilaktyką i edukacją seksualną. Bo to smutne, że ci ludzie nie są w stanie ocenić, czy ich seks jest dobry, czy jednak zły. Często takie osoby trafiają do mojego gabinetu, bo myślą, że raczej ten seks mają zły. I gdy pytam: „A dlaczego?", słyszę, że stosunek jest za krótki, bo trwa 15–20 minut, a partnerka potrzebuje pół godziny, żeby przeżyć orgazm. Dla takiego pacjenta jest ważne, aby orgazm był w tym samym czasie. Bo tak nakręca nas pornografia. A przecież niejeden chciałby, żeby jego stosunek trwał te 15 minut! Ale okazuje się, że nikt nie powiedział temu pacjentowi, że te 5, 10, 15 minut absolutnie mieści się w normie.

Generalnie: ochota na seks rośnie po trzydziestce, spada po pięćdziesiątce. Ale wśród najmłodszej grupy badanych nie jest ona jakoś szczególnie rozbuchana – a dla co czwartego młodego mężczyzny i co trzeciej młodej kobiety seks nie jest istotny. I ten współczynnik rośnie, jeśli choćby spojrzymy na badania pana profesora sprzed niecałej dekady.

W ogóle życie seksualne osób w wieku 18–29 lat się zmienia. Weźmy np. wiek inicjacji seksualnej mężczyzn. W 1997 r. wynosił 18,5 roku, w 2011 r. – 18,2, ale w 2026 r. wychodzi już średnio 19 lat. Czyli mężczyźni rozpoczynają współżycie coraz później. W przypadku kobiet takiej zmiany nie ma. I pewnie składa się na to wiele czynników: przebodźcowanie, o którym już mówiliśmy, zanurzenie w internecie, coraz późniejsze wchodzenie w dorosłość, skutki izolacji w czasie pandemii, ale też lęk przed odrzuceniem i trudności w nawiązywaniu relacji. Do tego wzrasta nam liczba młodych ludzi oglądających pornografię i masturbujących się.

Ci młodzi mężczyźni szukają więc innych z podobnymi problemami, emocjami, pretensjami. Mamy tzw. manosferę, czyli przesiąknięte mizoginią internetowe przestrzenie, w których szukają wsparcia. Widać tam dużo złości, frustracji, buntu. Ale też nie brakuje takich, którzy próbują na tym zbić kapitał, także ten polityczny (POLITYKA 30).

Tam właśnie doskonale widać ten lęk przed wchodzeniem w związki czy w relacje seksualne ze względu na coraz większe oczekiwania kobiet. Algorytmy social mediów tylko go wzmacniają. Podobnie jak np. tzw. coachowie podrywu, którzy żerują na nieśmiałości i braku pewności siebie mężczyzn. Lęk przed wystąpieniem jakichś problemów w sferze seksualnej sprawia, że młodzi się wycofują – nie chcą zostać ośmieszeni, boją się niepowodzenia, bo poprzeczka wydaje im się zawieszona bardzo wysoko, również przez nierealistyczny obraz wykreowany przez filmy pornograficzne. Do tego widzą, że jest duża konkurencja, że są aplikacje randkowe, gdzie w dużej mierze liczą się tylko wygląd i pieniądze...

Ale przecież nie każda kobieta szuka mężczyzny „metr osiemdziesiąt i 20 tys. na rękę". A takie przekonanie kolportowane jest w manosferze.

I nie tylko, bo algorytmy lubią takie klisze. Dlatego 21 proc. mężczyzn przeżywa lęk przed współżyciem seksualnym – boją się, że się nie sprawdzą. Tu nastąpił wzrost. Do tego rzeczywiście obserwujemy rosnące wymagania kobiet wobec mężczyzn. Bo są wykształcone, samodzielne, bardziej świadome swojej seksualności i swoich praw. I mężczyzna z tego powodu nie jest zachwycony, bo kiedyś to on „rozdawał karty", także w seksie. Do tego kobiety potrafią być bardziej oceniające – słyszę to także od moich pacjentów, nieraz to wręcz traumatyczne doświadczenia.

Zarazem same kobiety chyba wciąż nie doceniają seksu? Nieistotny jest on aż dla 41 proc. z nich (i 23 proc. mężczyzn).

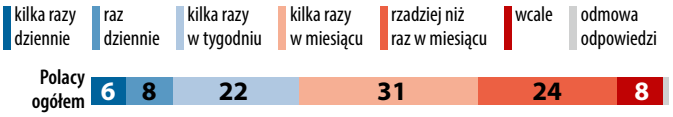
Zawsze nad tym ubolewam. A spójrzmy, co się dzieje z kobietami po sześćdziesiątce. Dla 60 proc. z nich ten seks jest nieistotny. Oczywiście w tej fazie życia często są one już wdowami lub rozwódkami, ale i tak to smutna informacja. Myślę jednak, że to również kwestia uwarunkowań kulturowych, np. wstydu przed szukaniem kolejnego partnera.

Co zaskakuje, zdradzamy się coraz intensywniej. Jeszcze w 2017 r. odsetek ten wynosił 10 proc., teraz do zdrady przyznaje się już 23 proc. Polaków. A kolejnych 7 proc. co prawda nie zdradziło, ale rozważało taką możliwość. Skąd taki skok, nie tyle w bok, ile w górę?

Oczywiście badamy osoby w całym cyklu życia, więc te zdrady to także historie z przeszłości. Jeśli chodzi o przyczyny, to najczęściej wskazuje się, że wynikało to po prostu z chęci (29 proc.) albo z przypadku (24 proc.) lub braku zainteresowania partnera/-ki

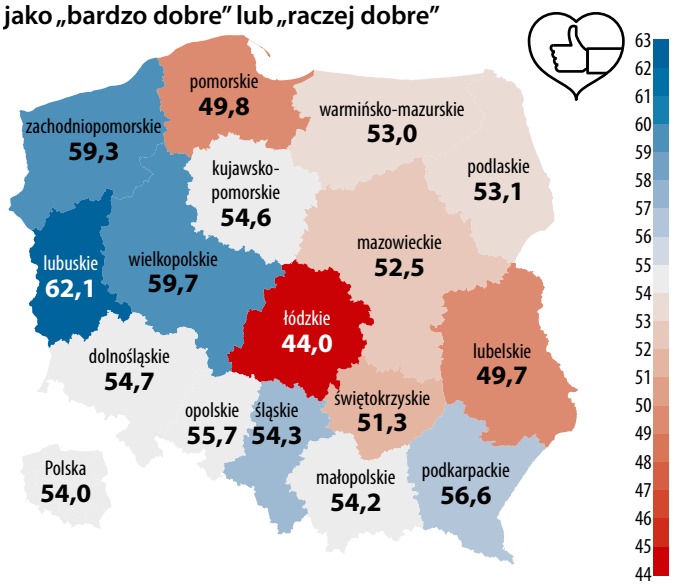
Internet a życie seksualne (w proc.)

Jak często w ciągu ostatnich 3 miesięcy oglądał/a pan/i treści pornograficzne?



Zadowolenie z życia seksualnego (w proc.)

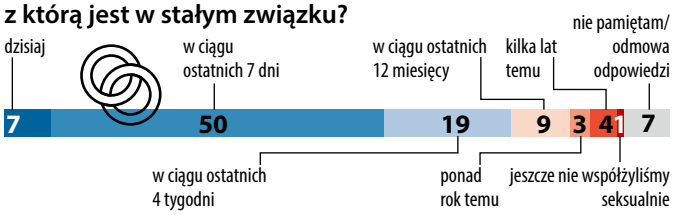
Osoby dorosłe oceniające swoje życie seksualne jako „bardzo dobre" lub „raczej dobre"



eprasa.pl 3ca6a7670d

Życie seksualne w stałym związku (w proc.)

Kiedy po raz ostatni współżył/a Pan/Pani z osobą, z którą jest w stałym związku?



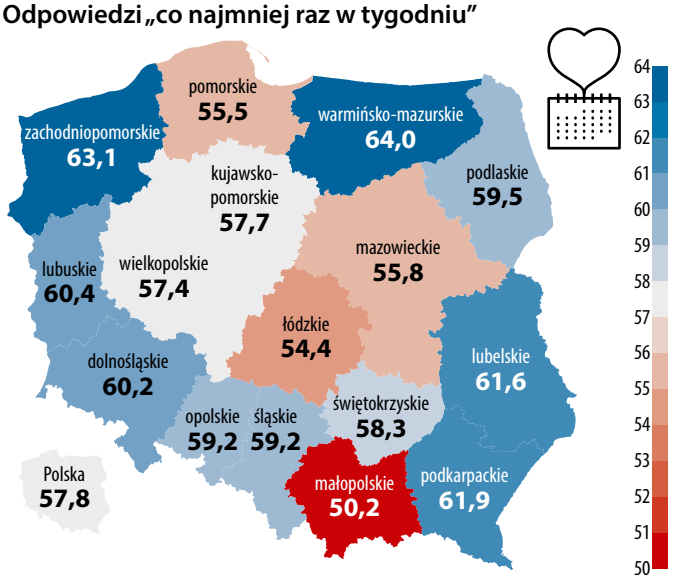
(23 proc.). Ale też spójrzmy, jak duży mamy procent, zwłaszcza mężczyzn, u których przyczyną był brak asertywności – co dziesiąty wskazuje, że trudno mu było po prostu odmówić. Tymczasem tylko 4 proc. kobiet wymienia taki powód. I ja o tym też często słyszę od moich pacjentów. Mówią, że „głupio im było odmówić". Głupio? Bo co? A no, bo się bali, że kobieta uzna, że mają zaburzenia erekcji albo że są innej orientacji lub niewydolni... I nie możemy tego lekceważyć, zwłaszcza że tu znów widać te stereotypy: kobiecie jest znacznie łatwiej odmówić, bo nasz kulturowy model męskości jest tak skonstruowany, że „mężczyzna zawsze chce i zawsze może". Nie chcę oczywiście nikogo usprawiedliwiać, ale musimy też pamiętać o tej presji, którą odczuwają mężczyźni.

Wbrew prawicowej narracji o naporze „ideologii LGBT" jesteśmy społeczeństwem dość jednorodnym. 91 proc. dorosłych określa swoją orientację jako heteroseksualną, 5,6 proc. – jako inną niż heteroseksualna, z czego częściej określamy się jako bi niż homo (odpowiednio: 3,3 proc. i 1,7 proc.; aseksualni: 0,7 proc.). To mniej niż podają organizacje LGBT+.

To prawda, ale bez względu na te liczby każdemu należą się szacunek i określone prawa. Zresztą w moich badaniach od 1997 r. ten wskaźnik osób, które mówią o swojej homoseksualnej orientacji, zawsze wynosi ok. 2 proc. Natomiast proszę zwrócić uwagę, że mamy też ok. 2 proc. osób, które mówią: „Nie wiem". Po prostu: „Nie wiem, jaką mam orientację seksualną" – co jest niewątpliwie

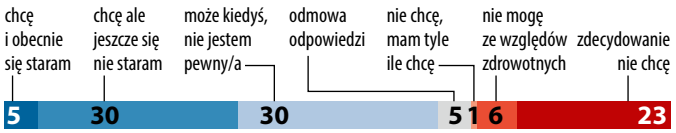
Częstotliwość stosunków seksualnych (w proc.)

Odpowiedzi „co najmniej raz w tygodniu"

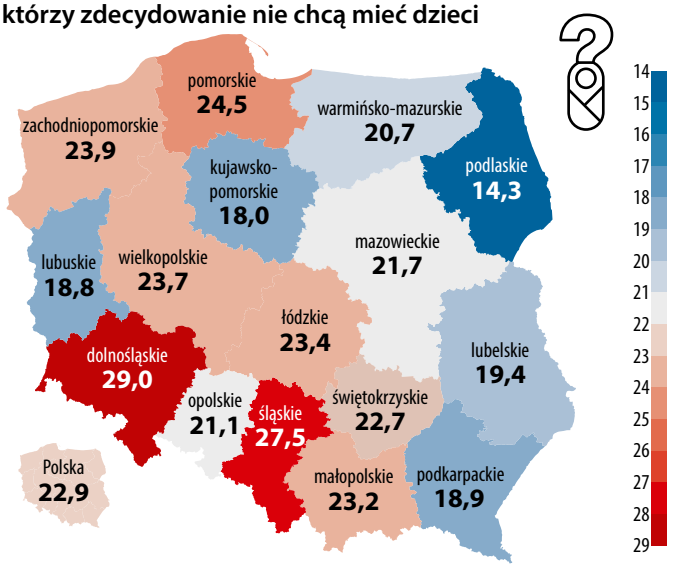


Plany prokreacyjne Polaków (w proc.)

Plany posiadania dzieci (osoby bezdzietne)



Odsetek mieszkańców poszczególnych województw, którzy zdecydowanie nie chcą mieć dzieci



ciekawe. Bo co to oznacza? Nie wiem, kto mi się podoba? A może dojrzewam do czegoś? I to częściej wychodzi teraz w badaniach kobiet. Kiedyś było odwrotnie.

Za to homofobia trzyma się mocno: co trzeci badany widzi coś złego w kontaktach seksualnych osób tej samej płci. Bardziej tolerancyjne są kobiety, zwłaszcza te najmłodsze.

Rzeczywiście, 59 proc. z nich uważa, że w takich kontaktach nie ma niczego złego. Dla porównania wśród mężczyzn w wieku 18–29 lat myśli tak 35 proc. Ponad 60 proc. Polaków jest jednak za wspólnym opodatkowaniem i dziedziczeniem w związkach jednopłciowych. Ale już legalizowanie związku popiera 48 proc., a możliwość adopcji dzieci – 26 proc. Polaków. Dlatego w takim społeczeństwie jak nasze – dość tradycyjnym, jeśli chodzi o wartości i religię – powinniśmy dyskutować o legalizacji związków, ale bez prawa do adopcji, bo na to, jak widać, nie ma jeszcze powszechnej zgody. Zarazem nie możemy zapominać, że znacząca grupa osób homoseksualnych i biseksualnych wychowuje dzieci. I ich prawa powinny być zabezpieczone.

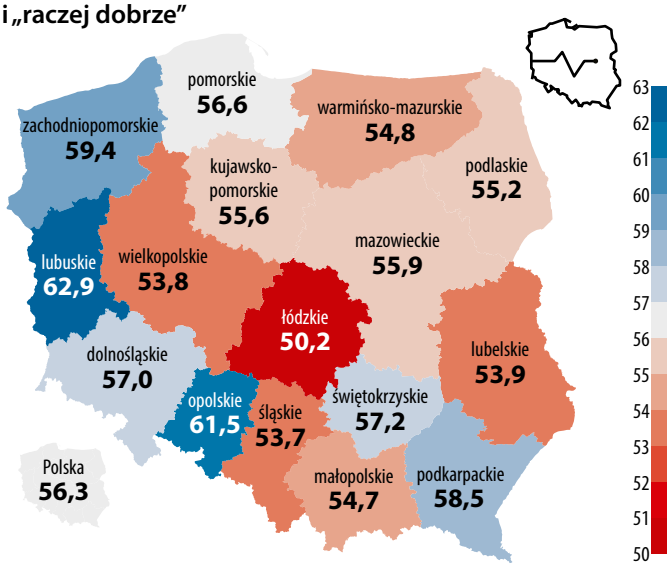
Tyle że tu wchodzi polityka, a politycy najwyraźniej oderwali się od społecznych realiów. Narzucono nam bardzo restrykcyjne prawo antyaborcyjne, tymczasem przeciwników aborcji jest raptem 14 proc. To zdecydowanie mniej niż wyborców prawicy.

Już dawno się oderwali, ale o politykach może lepiej nie rozmawiajmy... Spójrzmy jednak na to szerzej, zwłaszcza że sporo mówi się o spadku dzietności w Polsce i problemach demograficznych. My już o tym oczywiście alarmowaliśmy lata temu, ale nasze najnowsze badania pokazują dobrze, dlaczego ludzie nie chcą mieć dzieci. 6 proc. nie może mieć dzieci z powodów zdrowotnych. Ale 75 proc. spośród tych, którzy nie chcą mieć dzieci w ogóle – a mowa o 23 proc. populacji – „nie odczuwa potrzeby ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

Stan zdrowia (w proc.)

Osoby oceniające swoje zdrowie „bardzo dobrze" i „raczej dobrze"



▶ bycia rodzicem"; 60 proc. nie chce być ograniczonym i brać odpowiedzialności za dziecko. Co ciekawe, więcej mężczyzn niż kobiet przyznaje, że chciałoby posiadać dzieci.

W manosferze mówi się nawet o „bezdzietnych wbrew własnej woli".

Tylko że wciąż większa odpowiedzialność za opiekę i wychowanie dziecka spada na kobiety. Wyraźnie też w Polsce następuje oddzielenie prokreacji od aktywności seksualnej. Choć, co ciekawe, stosunek przerywany wciąż traktowany jest u nas jako metoda antykoncepcji. I to powszechna (20 proc.). To budzi konsternację, zwłaszcza za granicą. Pamiętam, jak kiedyś prezentowałem badania, ktoś nagle wstał i zaczął krytykować, że przy metodach antykoncepcyjnych wpisałem „stosunek przerywany". Ale wtedy przewodniczący obrad się wtrącił i rzucił: „Ale wiesz, Zbigniew jest z Polski...". I wówczas wszyscy zaczęli kiwać głową.

Czyli wracamy do podstaw: „Po pierwsze, edukacja"?

Edukacja seksualna i zdrowotna wpisane do polityki demograficznej państwa! Jeśli oczywiście chcemy mieć świadomych obywateli, którzy odpowiedzialnie podchodzą do problematyki dotyczącej posiadania dzieci. Zwłaszcza że mamy też niemały odsetek kobiet, które mają problem z zajściem w ciążę i jej utrzymaniem: 16 proc. Wydłuża się też okres urodzenia pierwszego dziecka, a to przecież zwiększa ryzyko, że pojawią się trudności. Owszem, widzimy teraz celebrytki, które rodzą po czterdziestce, nawet po pięćdziesiątce, ale przecież nie wszyscy mogą liczyć na tak samo dobrą opiekę. I to także wyzwanie, jeśli mówimy o nowoczesnej polityce zdrowotnej i prokreacyjnej państwa.

No właśnie, spójrzmy na nasze zdrowie. 71 proc. z nas choruje przewlekle! Pociesza, że mimo to 55 proc. Polaków ocenia swoje zdrowie dobrze lub bardzo dobrze. Najzdrowsi czują się mieszkańcy Lubuskiego, Opolskiego i Zachodniopomorskiego. Najgorzej swój stan zdrowia oceniają zaś mieszkańcy Łódzkiego, Śląskiego, Wielkopolskiego i Lubelskiego. Do tego chyba pada mit „świeżego morskiego powietrza", które rzekomo nam służy. Sama mieszkam na Pomorzu, tymczasem to tu mamy statystycznie największą tzw. wielochorobowość – więcej niż dwie choroby wskazuje aż 58 proc. respondentów. Zaraz obok są Łódzkie i Śląskie.

Ale to może być też kwestia odpowiedniej diagnostyki i profilaktyki. Tego jeszcze nie wiemy, bo badania, które właśnie prezentujemy, to dopiero początek. Pokazujemy wyniki pierwszego pomiaru; w sumie będą trzy, a nasz projekt potrwa do 2030 r. Więc oczywiście wszystko to będzie podlegało dalszej, pogłębionej analizie. Nie zaryzykowałbym jednak tezy, że jako społeczeństwo jesteśmy dodiagnozowani. Oczywiście te 71 proc. chorych przewlekle wydaje się dużą liczbą, tylko to też kwestia postępu medycyny i tego, że ludzie żyją dłużej. Niemniej uważam, że nie powinniśmy się wyłącznie skupiać na tym, ile żyjemy, ale jak – jaka jest jakość tego życia. I będę do znudzenia powtarzał, że nie możemy zapominać o tej aktywności seksualnej czy wartości zdrowia seksualnego także w późniejszej fazie życia. To nie jest nic obowiązkowego, ale ważnego – owszem. Powinniśmy więc przełamywać stereotypy męskości i kobiecości, a jednocześnie oczekiwać od lekarzy większej otwartości w mówieniu o zdrowiu seksualnym. Bo z tym też niestety jest problem. Pytaliśmy np. pacjentki z chorobami ginekologicznymi: „Czy podczas wizyty lekarz informował panią o wpływie choroby na życie seksualne?". 43 proc. przyznało, że tak. No ale gdzie jest tych pozostałych 60 proc. ginekologów?!

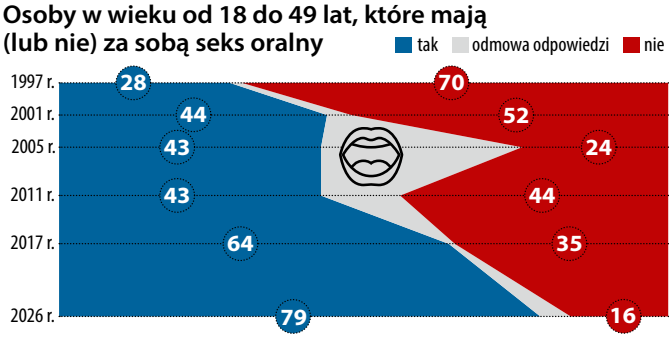
Tymczasem dyskutując o reformie systemu opieki zdrowia w Polsce, skupiamy się przede wszystkim na zarobkach lekarzy.

Spójrzmy, jak traktowana jest seksuologia. Lekarze w czasie studiów nie mają jej jako obowiązkowego przedmiotu wykładowego. Jest obowiązkowa na nielicznych uczelniach wyższych, m.in. na Uniwersytetach Warszawskim i Zielonogórskim. Czyli większość nie nauczy się dobrze mówić o seksualności, nie będzie miała takiej swobody psychologicznej w podejmowaniu tej tematyki. Wiemy, że nasze badania są unikatowe nie tylko w skali kraju. To ogromna próba, mnóstwo zmiennych. Ale oprócz odnotowania zmian i wyłapywania tendencji chcemy, aby przede wszystkim z naszych wyników wyciągnięto wnioski i przełożono je na konieczne rozwiązania. Bo na nasze zdrowie i życie musimy patrzeć holistycznie.

ROZMAWIAŁA MALWINA DZIEDZIC

Seks oralny (w proc.)

Osoby w wieku od 18 do 49 lat, które mają (lub nie) za sobą seks oralny



POLARES to ogólnopolskie badanie epidemiologiczne zdrowia seksualnego i prokreacyjnego w sytuacji obciążenia wielochorobowością – STI/HIV, zaburzeniami psychicznymi i uzależnieniami. Finansuje je Agencja Badań Medycznych, realizuje Uniwersytet Warszawski, głównym badaczem jest prof. Zbigniew Izdebski. Prezentowane wyniki pochodzą z pierwszego z trzech pomiarów w populacji ogólnej (16 003 dorosłych, 2026 r.). Projekt potrwa do 30 kwietnia 2030 r. Więcej na: **polares.pl**

Od autorki: Dziękuję zespołowi profesora, w szczególności prof. Magdalenie Roszak oraz dr. Maciejowi Białorudzkiemu, za pomoc w opracowaniu materiałów.

eprasa.pl 3ca6a7670d

Zbrodnie zwykłych ludzi

Wielokrotne zabójstwa w kręgu osób najbliższych szokują opinię publiczną. W ludzkich głowach nie mieści się, że zbrodnia mogła się narodzić w dobrym, spokojnym domu. Jak w Ostrowcu Świętokrzyskim, jak w Kielcach czy Skawinie.



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

JOANNA CIEŚLA

Ostrowiec Świętokrzyski, ul. Tylna, sobota 7 listopada. W mieszkaniu na drugim piętrze policja znalazła ciała trzech osób. To rodzice i siostra sprawcy zamachu w Krakowie. 24-latek zabił na Rynku Głównym kolejne cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Prokuratura wstępnie uznaje, że on też zamordował rodzinę. Raniony przez policjantów w trakcie pościgu dwa dni później zmarł w szpitalu.

Kielce, ul. Jagiełły, 13 października. Na drugim piętrze bloku z lat 80. obok balkonu sąsiedzi zauważyli zwisające ciało mężczyzny. W mieszkaniu służby zastały trzy kolejne ciała: dwóch nastoletnich synów i żony mężczyzny. Komunikat prokuratury był zwięzły: „Dotychczasowe ustalenia wskazują, że najpierw 55-latek pozbawił życia członków rodziny, których zwłoki ujawniono w mieszkaniu, a następnie targnął się na własne życie. Nie wykluczamy jednak innych wersji".

Skawina, ul. Niepodległości, 3 lipca. W zamkniętym mieszkaniu znaleziono ciała czterech osób, wśród nich ośmiodniowego noworodka, z obrażeniami głowy i ranami ciętymi. Według wstępnych ustaleń 35-letni mężczyzna prawdopodobnie zabił swoją żonę, kilkudniową córkę oraz teściową, a potem odebrał sobie życie – informowali śledczy z Małopolski w lipcu.

Przypadków, gdy życie tracą jednocześnie dwie osoby lub więcej, zazwyczaj z jednej rodziny czy związku, gdy ktoś zabija bliskich, w ostatnich latach w Polsce przybywa. W części z tych aktów sprawca także sobie odbiera życie. W najtragiczniejszym scenariuszu, rozegranym w Krakowie, kieruje agresję dalej w świat.

Zagęszczenie krzywdy

Według danych Ministerstwa Sprawiedliwości prawomocnych wyroków skazujących za zabójstwa w ostatnich pięciu latach jest średnio po 350 rocznie. Ale w rubrykach zliczających zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem i zabójstwa więcej niż jednej osoby widać konsekwentne zmiany. W 2021 r. takich zbrodni było dziewięć. W 2024 r. już 14, w 2025 – 19. Prokuratorzy i sędziowie potwierdzają, że informacji o drastycznych aktach przemocy wobec ludzi, ale i zwierząt, spływa więcej niż w przeszłości, choć statystyki są i tak zbyt toporne, by odzwierciedlić ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ to natężenie krzywdy. Przybywa też zbrodni wymykających się względnie logicznemu wyjaśnieniu popełnianych przez zwykłych ludzi, którzy przez całe lata funkcjonowali jak wszyscy.

Ze statystyk policji można wyczytać dodatkowy kontekst. W 2023 r., ostatnim podsumowanym, zabójstw było 559. To jeden z wyższych wyników na tle poprzedniej dekady. Więcej – ponad 600 – było tylko w pandemicznych latach 2020–21. Liczba samobójstw powoli spada, w 2025 r. odnotowano ich prawie 4,8 tys. Prób samobójczych było ponad trzy razy tyle. Ale wciąż trudno te informacje zebrać w spójny obraz. Mimo apeli ekspertów w oficjalnych statystykach nie gromadzi się informacji o tym, ile samobójstw było poprzedzonych zabójstwem czy ile takich przestępstw było związanych z przemocą domową. Wiadomo jednak, że w żadnym z domów, w których rozegrały się najgłośniejsze tragedie ostatnich miesięcy, wcześniej nie interweniowała policja.

O 24-latku z Ostrowca Świętokrzyskiego znajomi i krewni mówili, że był zamknięty w sobie, ale raczej grzeczny. Pomagał babci, uczył się w zawodówce. Potem pracował jak wszyscy. Rodzice uśmiechnięci i serdeczni, młodsza siostra – utalentowana malarka. Tata kolekcjonował broń, był wieloletnim członkiem lokalnego klubu strzeleckiego. Zaraził pasją syna. On czasem zachowywał się niepokojąco. Jeszcze w gimnazjum rysował szubienice, mówił, że chciałby zrobić zamach w szkole. Nikt tego nie brał na serio.

W 55-latku z Kielc sąsiedzi widzieli wzorowego ojca. Grywał z synami w piłkę, chodził na wywiadówki razem z żoną. Miły, rozmowny. W przeszłości był wojskowym. Ostatnio pracował jako kierowca jednego z najbogatszych świętokrzyskich biznesmenów. Cieszył się zaufaniem, oprócz szefa woził też na zakupy jego żonę.

Spokojny i życzliwy był też podobno 35-latek ze Skawiny. Pracował w lokalnym markecie, wyczekiwał narodzin córeczki. Żadnych notowań w policyjnych rejestrach, Niebieskiej Karty, żadnych burd czy awantur.

Śmierć w planie

Chaos wokół domniemanych sprawców rodzinnych tragedii dodatkowo pogłębia niejasny język. Używa się pojęć wytrychów, jakby strach było dobrać precyzyjne słowa klucze pozwalające wyobrazić sobie przebieg dramatów.

O sprawach zakończonych targnięciem się na własne życie zabójców mówi się „samobójstwo rozszerzone", co powtarzają także przedstawiciele państwowych służb. Choć zazwyczaj nijak ma się to do przebiegu wydarzeń. – *Samobójstwo rozszerzone to akt popełniany w tym samym albo podobnym czasie przez więcej niż jedną osobę* – tłumaczy prof. Dagmara Woźniakowska, kierowniczka Katedry Kryminologii i Polityki Kryminalnej w IPSiR, na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji UW.

– *W przypadkach ekstremalnych, np. w sektach, w samobójstwie rozszerzonym może uczestniczyć nawet kilkadziesiąt osób, jednak każda z nich, przynajmniej z założenia, podejmuje samodzielną decyzję, że chce dokonać tego czynu*. Używanie terminu „samobójstwo rozszerzone", gdy ktoś zabił kogoś innego, a potem siebie, jest błędne, zaznacza badaczka. – *Także w sytuacjach moralnie niejednoznacznych, gdy np. starsza osoba dochodzi do kresu sił w opiece nad inną starszą osobą i odbiera jej życie, a potem sobie – i robi tak, bo uważa, że nikt inny nie zajmie się dobrze schorowanym mężem czy żoną – nawet jeżeli osoba zabijana wyraża na to zgodę, wciąż mówimy o zabójstwie – eutanatycznym*. Opisuje je oddzielny artykuł Kodeksu karnego.

W relacjach pojawia się jeszcze zabójstwo-samobójstwo, kalka z angielskiego *homicide-suicide*, które odzwierciedla sekwencję czasową zdarzeń, i samobójstwo poagresyjne – przystające do wielu sytuacji, gdy zabijający inne osoby odbiera sobie życie. Ale wciąż nie do wszystkich, bo nie każdy taki akt jest podszyty agresją. Specjaliści i działacze społeczni od kilku lat proszą o używanie określeń kładących nacisk na krzywdę ofiary. Dr Grzegorz Wrona, adwokat i certyfikowany specjalista przeciwdziałania przemocy w rodzinie, zaproponował termin „zabójstwo suicydalne", które stawia w centrum uwagi zbrodnię popełnioną na innej osobie. Ale sformułowany do policji w 2021 r. apel ekspertów, by używać tego terminu, również nie przyniósł efektu na szerszą skalę.



Ojcowie rodzin z Kielc i Skawiny zapewne zabijali bliskich nocą, gwałtownie i brutalnie. Zaraz po tym odbierali sobie życie. 24-latek z Ostrowca według wstępnych ustaleń zaatakował rodziców i siostrę wieczorem lub rano. Do każdego miał strzelić po dwa razy bronią z tłumikiem. Sam zmarł w następstwie strzałów policji, po morderczym rajdzie przez Kraków. Ale – jak mówił w rozmowie z polityka.pl dr Kacper Rękawek, ekspert od zwalczania terroryzmu – spektakularna śmierć z rąk służb, „śmierć męczennika", mogła być jednym z celów mężczyzny, jak to już bywało wśród zachodnich masowych zabójców.

Paliwo zbrodni

Informacje o podłożu ideologicznym zbrodni, która zaczęła się w Ostrowcu, do czasu skierowania tego tekstu do druku nie były jednoznaczne. Śledczy i eksperci brali je pod uwagę, ale uwzględniali też znaczenie motywów z życia osobistego, narastających złych emocji, których siła mogła zostać podbita przez napotykane prawicowe przekazy ekstremistyczne.

Doświadczeni eksperci oceniają, że do zabójstw prawie nigdy nie dochodzi nagle, w rodzinach, w których wszystko gra. Najczęstsze scenariusze są dwa. – *W jednym były partner albo partner, od którego kobieta chciała odejść, zabija ją motywowany rozżaleniem i złością po rozpadzie związku* – tłumaczy prof. Woźniakowska. To spójne z wieloletnimi ustaleniami ekspertów przeciwdziałających przemocy domowej. Decyzja o wyjściu ze związku długoletniej ofiary przemocy jest dla niej najbardziej niebezpiecznym momentem. Porzucany sprawca może zareagować skrajną agresją.

Drugi scenariusz to zabójstwa dzieci dokonywane przez rodziców w kryzysie psychicznym, zanim sami popełnią samobójstwo. W tych sprawcach i sprawczyniach, bo w polskich realiach to też kobiety, zazwyczaj nie ma złości czy agresji. Jest głęboka rozpacz. – *W analizowanych przez nas polskich przypadkach kobiety były zanurzone w myśleniu tunelowym, z poczuciem osamotnienia, wyczerpania i z przekonaniem, że gdy ich zabraknie, nikt nie zapewni dziecku miłości i troski* – opowiada prof. Woźniakowska. Swoje działania planowały czasem jako próbę ochrony syna lub córki przed bezdusznością świata.

eprasa.pl 3ca6a7670d

Trzy lata temu 36-letnia kobieta zrzuciła do morza z promu 7-letnie dziecko z niepełnosprawnością, po czym sama skoczyła za burtę. Wychowywała chłopca sama, podobno widać było między nimi silną więź.

Symptomatyczne dla dzisiejszych czasów i relacji jest zdarzenie z kwietnia tego roku z warszawskiej Pragi. Z 13. piętra wieżowca wyskoczyła 25-letnia kobieta. Moment wcześniej wyrzuciła przez okno psa.

Jest jeszcze trzecia kategoria scenariuszy, można ją opatrzyć pojemnym szyldem „inne". To te, w których przez lata w kimś tli się skrywany ból, konflikt, frustracje tak silne, że przytłaczają swoją mocą.

Czy brutalne zabójstwo członków rodziny może nastąpić gdzieś, gdzie wcześniej nie było agresji? Może, ale zdarza się to bardzo rzadko. Dużo częstszy scenariusz jest taki, że agresji po prostu nie widać. – *To, że w jakimś domu nie interweniuje policja, absolutnie nie oznacza, że nie ma tam np. psychicznej przemocy* – podkreśla prof. Woźniakowska.

Toksyczne koktajle

Domniemanie zaburzeń psychicznych jest innym częstym wytrychem w mówieniu i myśleniu o sprawcach zabójstw suicydalnych i innych spektakularnych przestępstw. Ale ich psychiczny świat jest zwykle zbyt skomplikowany, by zmieścić się w prostym podziale na zdrowie i chorobę. Do samobójstw poprzedzonych zabójstwem „z altruizmu", oprócz głębokich objawów depresyjnych, mogą prowadzić i inne stany, np. zaburzenia z pogranicza schizofrenii. Przyczyniają się też do nich ciężkie choroby somatyczne czy głębokie problemy finansowe sprawców lub ich rodzin.

Znaczenie zaburzeń psychotycznych wśród typowych samobójstw poagresyjnych – jak pisze psychiatra dr Przemysław Cynkier na łamach „Psychiatrii polskiej" – szacuje się bardzo różnie: mogą grać rolę w od 20 do 75 proc. spraw. – *Bywa, że rozwijają się długo bagatelizowane i niediagnozowane, ponieważ mimo licznych kampanii na temat zdrowia psychicznego wiele osób wciąż woli unikać konsultacji z psychiatrą. Obawiają się, że informacje na ich temat zostaną ujawnione, że przez to mogą np. stracić pracę* – tłumaczy lekarz zajmujący się opiniowaniem w sprawach karnych.

Zaburzenia psychotyczne po wielotygodniowych badaniach stwierdzono u 22-latka, który w maju ub.r. zamordował na Uniwersytecie Warszawskim portierkę i ciężko ranił strażnika. Specjaliści większe znaczenie nadają jednak nie psychozom czy urojeniom, ale zaburzeniom osobowości, np. osobowości dyssocjalnej czy narcystycznej. Choć kluczową rolę, zwłaszcza w bliskich relacjach, może odgrywać zazdrość erotyczna, stres związany z trudnościami finansowymi i społecznymi czy frustracje w relacjach intymnych. Zdaniem psychiatrów i psychologów to raczej nie zakłócenia zdrowia psychicznego w potocznym rozumieniu, a rodzaj koktajlu predyspozycji i okoliczności życiowych częściej tkwią u podłoża aktów przemocy i autodestrukcji.



Co z wpływem alkoholu lub narkotyków? Czy jest możliwe, że ktoś zwyczajnie żył, a pod wpływem środków psychoaktywnych zabija całą rodzinę i siebie? Prof. Dagmara Woźniakowska ocenia, że taka możliwość istnieje. – *Te same substancje różnią się wpływem na różne osoby w różnych okolicznościach. Marihuana, która jest środkiem sedatywnym, wyciszającym, u niektórych może wyzwolić ukrytą schizofrenię. Pod wpływem innych narkotyków zdarza się uruchomienie innych chorób, które wcześniej nie dawały symptomów. Są wreszcie osoby, które mają skłonność do patologicznego upijania się alkoholem.* Dr Przemysław Cynkier zwraca jednak uwagę, że takie tendencje rzadko ujawniają się nagle z pełną mocą i brutalnością. Zazwyczaj wcześniej są sygnały. Zazwyczaj ktoś coś widzi.

W organizmie 35-latka ze Skawiny ani żadnej z zabitych kobiet nie znaleziono śladów alkoholu ani nielegalnych substancji. W dokumentacji medycznej śledczy nie znaleźli danych o wcześniejszym leczeniu psychiatrycznym mężczyzny.

O stanie 55-letniego mieszkańca Kielc w mieście krążą pogłoski, że w jego organizmie substancje psychoaktywne były, że miał przeżywać problemy, m.in. finansowe. Prokuratura nie odnosi się do tych hipotez. Nie ma też informacji o wynikach badań toksykologicznych zabójcy z Ostrowca i z krakowskiego rynku.

Co przyniesie przeszłość

Dużym ograniczeniem w pojmowaniu motywacji i dróg myślenia sprawców zabójstw suicydalnych jest to, że dokładnie zbadać można tylko tych, którzy przeżyli. A najdobitniejszy wniosek z tych badań jest taki, że ich historie są dużo bardziej skomplikowane, niż przewidują stworzone kategoryzacje. Przy tym, jeśli śledczy wykluczają udział osób trzecich, a sprawca zabójstwa suicydalnego nie żyje, postępowanie często trwa krótko, zostaje umorzone. – *Kiedy nie ma wobec kogo sformułować zarzutów, a później wnieść aktu oskarżenia, śledztwo powinno zostać umorzone. Zanim to jednak nastąpi, prokuratorzy – o ile to możliwe – mają za zadanie wyjaśnić okoliczności sprawy* – zaznacza adwokat mec. Karolina Pilawska. – *Dotyczy to zwłaszcza najpoważniejszych przestępstw.*

I tak śledczy z Małopolski wnikliwie sprawdzają, co się stało w Skawinie, przesłuchują świadków, analizują zawartość urządzeń elektronicznych członków rodziny, dokumentację medyczną sprawcy. Tak samo jest w przypadku zabójstw w Ostrowcu Świętokrzyskim i Krakowie. – *Trzeba oczywiście wyjaśnić, czy w przestępstwie mogły uczestniczyć osoby trzecie, ale także to, na co ewentualnie leczył się sprawca, czy był leczony zgodnie ze sztuką lekarską. Jeśli był leczony psychiatrycznie, trzeba ustalić, czy jego stan nie uzasadniał np. przyjęcia do szpitala psychiatrycznego, także bez jego zgody, a jeśli tak – dlaczego tego nie zrobiono. W tej sprawie dochodzi jeszcze kwestia, czy pozwolenie na broń wydano zgodnie z procedurą i czy przeprowadzono wymagane badania lekarskie i psychologiczne* – dodaje mec. Pilawska.

Dr Przemysław Cynkier prosi, żeby podkreślić, że okrutne i niezrozumiałe zbrodnie popełniają także osoby, które nie mają poważnych problemów zdrowia psychicznego. Znacznie częściej niż osoby chorujące. – *Stwierdzenia typu: „żeby zrobić coś takiego, trzeba mieć jakiś problem psychiczny" są bardzo stygmatyzujące dla pacjentów, którzy takie problemy mają. W rzeczywistości wśród badanych sprawców zabójstw tylko ok. 5 proc. to osoby niepoczytalne. 95 proc. nie wykazuje nasilonych zaburzeń psychicznych.*

Ale gdy myśli się, że zbrodni dokonał „szaleniec", jakoś sobie z tym łatwiej mentalnie poradzić.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 3ca6a7670d



Zaręczyny w Atomicach

Przez nadmorskie wsie w okolicach Choczewa przejeżdża teraz kilkaset wielkich wywrotek dziennie. Ich ciągły ruch zaświadcza o rozmachu i determinacji zbudowania pierwszej polskiej elektrowni atomowej. Gorzej z tym, czego nie widać – pieniądze, protesty, pozwolenia, polityka.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Codzienność w gminie Choczewo jest bardzo polska: są mieszkańcy za elektrownią i mieszkańcy przeciw, a tymczasem budowa ruszyła, ponieważ dla rządu atom jest strategiczną potrzebą państwa.

Jeśli zejść głębiej, odkryje się mieszkańców, którzy protestują przeciwko sąsiedztwu elektrowni, dewastowaniu unikatowego ekologicznie zakątka Polski, i takich, którzy są przeciwni atomowi w ogóle. Zwolennicy to ci, którzy uwierzyli w wizje lepszego życia regionu przy atomie. Oraz ci, którzy popierają budowę, bo w przyszłości zamierzają robić interesy wokół elektrowni. Jakie – trudno powiedzieć.

Na razie nawet samo słowo „budowa” – wbrew setkom wywrotek na gminnych drogach – jest przedwczesne, bo nie wydano jeszcze oficjalnych zezwoleń. Powinno się więc mówić „prace przygotowawcze”.

Mieszkańcy

Choczewo to większa wieś niedaleko Łeby. W całej gminie – która używa sloganu

eprasa.pl 3ca6a7670d



Wycinka lasów pod budowę elektrowni jądrowej Lubiatowo-Kopalino

© PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

„gmina naturalnie piękna" – mieszka 5,3 tys. ludzi. Bezpośrednio nadmorskie wioski Lubiatowo, Kopalino i Słajszewo pełne są małych pensjonatów, pokoi do wynajęcia. „Cisza, sielskość" piszą turyści w pamiątkowych księgach agroturystyk i w esemesach do właścicieli. To znaczy pisali, mówią właściciele, bo ostatnie lato miało już aurę zawieszenia.

– *My uprzedzaliśmy naszych stałych gości, że w przyszłym roku może nas już tu nie być* – mówi Tomasz Trybusiewicz, który wraz z żoną prowadzi w Słajszewie małą agroturystykę. – *Jeśli piszą do nas esemesy, to także w trybie zależnym: „Jeśli zostają państwo w Słajszewie, bardzo prosimy o rezerwację".*

Latem nad samym morzem, 2 km od wsi, trwała już wycinka lasów pod atom (300 ha). Niósł się huk padających drzew i pisk ostrzegawczy manewrującego ciężkiego sprzętu. Dostęp do najbliższej plaży nie był możliwy. Ciężarówki z „prac przygotowawczych" wyjechały na drogi publiczne (droga krajowa 69 z dojazdem do budowy, sama jeszcze w budowie) i rozwłóczyły żwir po asfalcie. Z początku nie było ich wiele – kilkanaście dziennie, ale jesienią poszły już pełną parą. Z budowy dochodziło ciężkie dudnienie. Ostatnio, mówią Trybusiewiczowie, dosłownie czuło się w ich domu drganie ziemi.

To dopiero początek – według rządowego planu na wiele kolejnych lat okolica ma się stać jednym wielkim placem budowy, bo elektrownia to nie tylko 200 ha pod samym obiektem, ale też całkowicie przeorganizowany transport lokalny (nowe drogi, linie kolejowe i MOLF (Marine Off-Loading Facility – długie na kilometr molo przemysłowe dla ciężkich transportów morskich).

Z punktu widzenia państwa Trybusiewiczów i innych protestujących przeciw elektrowni mieszkańców ze Stowarzyszenia Obrony Naturalnych Obszarów Morskich Bałtyckie SOS („Nie dla atomu nad Bałtykiem") to starcie rozpędzonej machiny państwa z racją bytu zwykłych ludzi.

– *Przedstawiciel Polskich Elektrowni Jądrowych (PEJ) na spotkaniu z mieszkańcami mówił, że w związku z budową elektrowni ceny gruntów wzrosną w gminie dwa lub trzy razy, zależnie od położenia* – mówi Tomasz Trybusiewicz. – *Jest odwrotnie. Nawet w agencji pośrednictwa sprzedaży od razu doradzili nam obniżenie ceny. Obniżyliśmy o 30 proc., a od maja nie zgłosił się chętny.*

W Słajszewie żółte banery „NIE dla atomu" wiszą na wielu płotach. Ale nikt już w te banery specjalnie nie wierzy.

Elektrownie

Polskie elektrownie to nie tylko – jak przy atomówce w gminie Choczewo – opowieść o nowoczesnych technologiach, bezpieczeństwie energetycznym i czystej energii (taki przekaz dominuje na stronach internetowych PEJ i w profesjonalnie wydawanych ulotkach i komiksach dla młodzieży – do dostania w Lokalnym Centrum Informacyjnym PEJ w Choczewie). To również zakulisowy zapis następujących po sobie rządów, ich decyzji politycznych, aktualnej geopolityki, braków w budżecie i sporów społecznych. I nie jest to zapis chlubny.

W 1982 r. w Żarnowcu (20 km od Lubiatowa-Kopalina) już raz rozpoczynano budowę atomówki pełną parą. W tamtym wymiarze czasowym i politycznym mówiło się o przełomowej technologii radzieckiej. Tymczasem wiosną 1986 r., w trakcie budowy Żarnowca, nastąpiła katastrofa elektrowni atomowej w Czarnobylu, a pięć lat później przestał istnieć ZSRR. Już w grudniu 1990 r. demokratyczny rząd z premierem Tadeuszem Mazowieckim wstrzymał budowę elektrowni – brak pieniędzy w kasie państwowej. Dziś Żarnowiec to betonowa ruina, chociaż działa na jego terenie kilka prywatnych przedsiębiorstw.

W 2018 r., za rządów PiS, z wielką energią polityczno-propagandową rozpoczęto budowę elektrowni Ostrołęka C. Tamten rząd, mimo że jasno deklarował chęć budowy elektrowni atomowej, zajął się stawianiem węglowej, a ówczesna premier Szydło publicznie obiecywała dokończenie inwestycji i nowe miejsca pracy. Budowały firmy państwowe Enea i Energa. Już dwa lata później przedsięwzięcie przerwano, w kolejnym rozbierano część konstrukcji – jednym z powodów była pusta kasa. NIK wypomniał później brak pełnego finansowania inwestycji przed jej rozpoczęciem. Obecnie jest to jeden z głównych zarzutów w sprawie prokuratorskiej, ponieważ takie postępowanie miało narazić Skarb Państwa na znaczne straty.

Nie ma powodu, żeby łączyć losy tamtych elektrowni z budowaną w gminie Choczewo, ale można wskazać na pewne podobieństwa. Budowa nowej elektrowni atomowej ma przyznane częściowe dofinansowanie państwa (60,2 mld zł). Nie ma potwierdzenia, że zapewniono kredyt na pozostałe 140 mld zł (200 mld to orientacyjna cena całości, ale prognozy niezależne mówią już nawet o 250–300 mld). Firmę projektującą Lubiatowo-Kopalino – amerykański Westinghouse (od listopada 2023 r. kanadyjski) oraz jej przełomową i bezpieczną technologię wybrano bez otwartego przetargu, a umowę podpisał pod koniec września 2023 r. rząd PiS, tuż przed wyborami parlamentarnymi, w których zwyciężyła KO.

Jest jeszcze jedna, najnowsza odsłona historii polskich elektrowni – 4 listopada 2026 r. CBA zatrzymało 25 osób w związku ze śledztwem dotyczącym nieprawidłowości przy budowie elektrowni Ostrołęka. Wśród nich był Mirosław Kowalik (w latach 2016–20 szef Enei, a od 2021 r. prezes Westinghouse Polska). Prezes został zwolniony, ale objęty postępowaniem jako podejrzany. Tego samego dnia Miłosz ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ Motyka, minister energii w rządzie KO, zapewnił, że zatrzymanie Kowalika nie będzie miało wpływu na budowę elektrowni jądrowej Lubiatowo-Kopalino w gminie Choczewo.

Wójtowie

Wiesława Gębkę zna całe Choczewo. Przyjechał z Gdyni, zaczynał od sklepu spożywczego, uchodzi – czy ktoś go lubi, czy nie – za człowieka interesu z krwi i kości. Gębka był tu wójtem przez 14 lat i to za jego czasów gmina, jako lokalizacja dla atomu, przeszła z planów w konkrety. Dziś wspomina w rozmowie o kuchni tego wyboru: pod koniec lat 10. brano pod uwagę kilka innych nadmorskich miejsc pod budowę (m.in. niedaleką byłą bazę wojskową), jednak wskrzeszenia Żarnowca – jak twierdzi – nie rozpatrywano nigdy. Już w 2014 r. wójt uczestniczył w podpisywaniu porozumienia między PGE EJ1 (spółka, która miała być wtedy głównym inwestorem i organizatorem budowy) i samorządowcami.

W 2021 r. wybór padł ostatecznie na gminę Choczewo, także z tego powodu, że rejon wsi Lubiatowo, Słajszewo i Kopalino był luką niewchodzącą w obszar działania unijnego programu Natura 2000 ani żadnego rezerwatu (tylko 28 proc. polskiego wybrzeża to takie luki).

– *Ale myśmy się przygotowywali już od dawna, kiedy tylko pomysł na elektrownię u nas nabierał kształtu* – mówi Wiesław Gębka. – *Podzieliliśmy radnych na grupy, a każda z nich zajmowała się innym tematem: drogi, infrastruktura itd. Chodziło o to, że skoro już taka wielka inwestycja ma być w Choczewie, to my chcemy być traktowani jak partner. Chcieliśmy być na bieżąco w dialogu z inwestorem, żeby to z nami ustalano, jak my coś widzimy, bo to my znamy gminę najlepiej.*

Gębka zasłynął jako zdecydowany zwolennik elektrowni jądrowej w swojej gminie. Ale, jak dziś mówi, jako „stary prywaciarz" zawsze uważał, że elektrownia będzie dla gminy dobrym interesem. A tak już jest, że interes to ciągła walka, wywieranie presji na rząd, żeby gmina i jej mieszkańcy zarabiali na elektrowni jak najwięcej.

Tymczasem wraz z wyborem Choczewa jako miejsca budowy do malutkiej gminy weszła wielka polityka. Z fotela wójta wyglądało to tak: zależnie od zmieniających się rządów i frakcji, które się w nich ścierały, następowały w sprawie elektrowni na przemian nagłe spowolnienia i niebywałe przyspieszenia. Najbardziej przyspieszył PiS pod koniec kadencji w 2023 r., widać było, że chce zamknąć sprawę umów na budowę czym prędzej. To wtedy podpisano umowę z konsorcjum Westinghouse-Bechtel (bez przetargu). „Zakochali się w Ameryce", mówiono wówczas o „centrali" w nadmorskich samorządach. Ale to nie było wszystko. W spółce PGE EJ1, która w czerwcu 2021 r. została przemianowana na PEJ, zawirowała karuzela prezesów (w latach 2021–25 zmieniali się aż osiem razy). Za każdą zmianą ustalenia, które zdążyła „na górze" poczynić gmina, brały w łeb. Wiesław Gębka ujmuje to tak: co się człowiek z kimś zdążył polubić, to już go nie było.

W 2024 r. Wiesław Gębka przegrał wybory na wójta. Mieszka pod Choczewem, przygląda się budowie z boku, okiem „prywaciarza", i wskazuje błędy. W skali mikro wygląda na to, że nowy wójt Jarosław Bach odpuścił presję na rząd (nie znalazł też czasu na rozmowę z dziennikarzem). Zniknęły grupy robocze samorządowców. Okiem „prywaciarza" wszystkie sprawy lokalne, które się z budową wiążą, wydają się na razie stać na głowie. Na przykład kwestia mieszkań dla pracowników budowy, a potem gotowej atomówki – przecież do pięciotysięcznej gminy zjedzie w pewnym momencie 10 tys. ludzi, gdzieś trzeba będzie ich zakwaterować, nakarmić, zorganizować czas wolny. Ale konkretnych planów długoletnich na razie brak.

– *Ja ani sobie tego nie policzyłem, ani nie byłem do końca przekonany, że to tutaj ma stanąć elektrownia* – mówi dziś Wiesław



Hanna i Tomasz Trybusiewiczowie, którzy prowadzą w Słajszewie małą agroturystykę. Obok: **wizualizacja elektrowni Lubiatowo-Kopalino.**



© MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 3ca6a7670d

Gębka. – *Ale ja jestem za logiką. Mówimy tu o potrzebach energetycznych całej Polski. Taka elektrownia po prostu musi gdzieś stanąć, nie da się jej wybudować w chmurach.*

Były wójt prywatnie podjął ideę, której nie miał szansy realizować jako samorządowiec, choć to wtedy ją wymyślił – wraz z grupą kolegów chcą budować osiedla dla przyszłych ludzi elektrowni. Na światowym poziomie, z kortami, ogródkami i spa, nie proste domki letniskowe.

Informacja

Choczewskie Lokalne Centrum Informacyjne Polskich Elektrowni Jądrowych mieści się w domku przy głównej ulicy wsi. W środku, w eleganckiej ciszy i pustce wystroju na wysoki połysk, ogromny telewizor wciąż emituje strony internetowe PEJ. Są także wizualizacje i makieta w gablocie, która przedstawia gotową



elektrownię atomową. Stoi nad samym morzem, kilkadziesiąt metrów od brzegu.

Plaża na makiecie pozostaje nienaruszona, przecięta tylko potężnym MOLF-em i według deklaracji PEJ będzie dostępna dla plażowiczów również po wybudowaniu i uruchomieniu atomówki. W ulotkach, które można pobrać ze specjalnego regału, inwestycja przedstawiana jest w samych superlatywach – nastąpi wzrost gospodarczy regionu, rozwinie się infrastruktura towarzysząca (np. kolej), rozwinie się lokalna przedsiębiorczość, będą tysiące nowych miejsc pracy, „znaczące, regularne wpływy z podatków". „Naszym celem jest budowanie silnych relacji z lokalną społecznością" – pisze PEJ w ulotkach.

Dwie miłe panie obsługujące centrum informacyjne są nieco podenerwowane. Informują, że nie udzielają wywiadów i nie chcą być cytowane. Z innego źródła wiadomo, że obywatele przychodzą z ofertami (na noclegi dla budowlańców, usługi transportowe). Pojawiają się i tacy, którzy pytają o pracę w przyszłości.

Z centrali spółki otrzymuję maila informującego, że „spółka PEJ zawarła 80 umów z podmiotami z Pomorza o łącznej wartości 378 mln zł, w tym z przedsiębiorcami z gminy Choczewo. Swoje umowy z firmami związanymi z Pomorzem podpisał i dalej podpisuje też Bechtel i jest to około jedna czwarta wszystkich zawieranych w Polsce umów (...). Dzięki inwestycjom energetycznym, w tym budowie elektrowni jądrowej, gmina Choczewo może się stać jedną z najlepiej rozwiniętych gmin w kraju".

Atomice

Atomice to wieś z opowiadania Sławomira Mrożka („Wesele w Atomicach", wydane w 1959 r.), gdzie dwaj awanturujący się chłopi na weselu (jeden piewca świetlanej przyszłości, a drugi moralności) biją się głowicami jądrowymi. Pani X ze Słajszewa (nie chce podawać nazwiska, mówi, że jest już bardzo zmęczona sprawą atomu) przyrównuje pojawienie się elektrowni półtora kilometra od jej domu raczej do UFO – po prostu wylądowało na plaży, nie pytało o zgodę.

Kiedy wizja elektrowni na poważnie zawitała do gminy, mówiło się o referendum. Ale potem można było obejrzeć wójta Wiesława Gębkę w telewizji, jak dowodzi, że jego zdaniem referendum to niedobre rozwiązanie, ponieważ głosują głównie przeciwnicy.

Dialog z obywatelem jest, przyznają Trybusiewiczowie, ale jakość tego dialogu słaba. Kiedyś można było się wypowiedzieć i zadać pytanie na radzie gminy, ale za wójta Bacha zmieniono statut i teraz trzeba pisemnie zgłaszać pytania trzy dni przed posiedzeniem rady. Na omówienie ma się cztery minuty. Stowarzyszenie Bałtyckie SOS powstało w marcu 2022 r., jego członkowie zorganizowali już 16 protestów przeciwko atomowi w gminie. Spowalniali ruch na drogach, manifestacyjnie przechodzili grupami przez pasy. Jeździli na posiedzenia sejmowych komisji i bywali na nie niewpuszczani, a Mateusz Morawiecki, wykorzystując filmik z Trybusiewiczami, mówił o niemieckich agentach, którzy sprzeciwiają się polskiemu atomowi. Bałtyckie SOS zaskarżyło raport środowiskowy i przegrało sprawę w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym. Teraz zbiera pieniądze na apelację w NSA.

Stowarzyszeniu odmówiono również wglądu w ekspertyzy badające lokalizację koło ich domów pod względem przydatności do budowy elektrowni. Powód: tajemnica inwestycji strategicznej.

Z badań poparcia dla elektrowni przeprowadzonych przez Danae w gminie Choczewo we wrześniu 2025 r. wynikł podział: 55 proc. za, 40 proc. przeciw, 5 proc. brak zdania. – *Zrozumieliśmy, że po prostu nie możemy wygrać* – mówi Tomasz Trybusiewicz.

Pieniądze

W mailu do dziennikarza biuro prasowe PEJ wyjaśnia, że „spółka posiada wszelkie decyzje administracyjne niezbędne do realizacji prac prowadzonych na tym etapie inwestycji". O kolejne pozwolenia, w tym na właściwą budowę, PEJ ma występować w miarę zakańczania obecnych prac. „Prace (...) postępują bez zakłóceń".

Tymczasem 12 listopada 2026 r. do Sejmu trafił przyjęty dwa dni wcześniej przez rząd „Projekt UD382" („o zmianie ustawy o przygotowaniu i realizacji inwestycji w zakresie obiektów energetyki jądrowej"). Przygotował go pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej Wojciech Wrochna. Zakłada przesunięcie części rządowych wydatków na elektrownie o kilka lat. I tak: w 2026 r. limit wypłat ze Skarbu Państwa ma się zmniejszyć z 11 do 8 mld. W przyszłym roku z 14 do 8 mld. Dopiero w 2029 r. ma wzrosnąć z 11 do 17 mld. Pytanie, kto będzie wówczas u władzy w Polsce i jakie będzie jego nastawienie do atomu.

Zgodnie z obecnym planem pierwszy reaktor pierwszej polskiej elektrowni jądrowej w gminie Choczewo rozpocznie pracę w 2036 r. W polskiej polityce 10 lat to epoka.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

eprasa.pl 3ca6a7670d

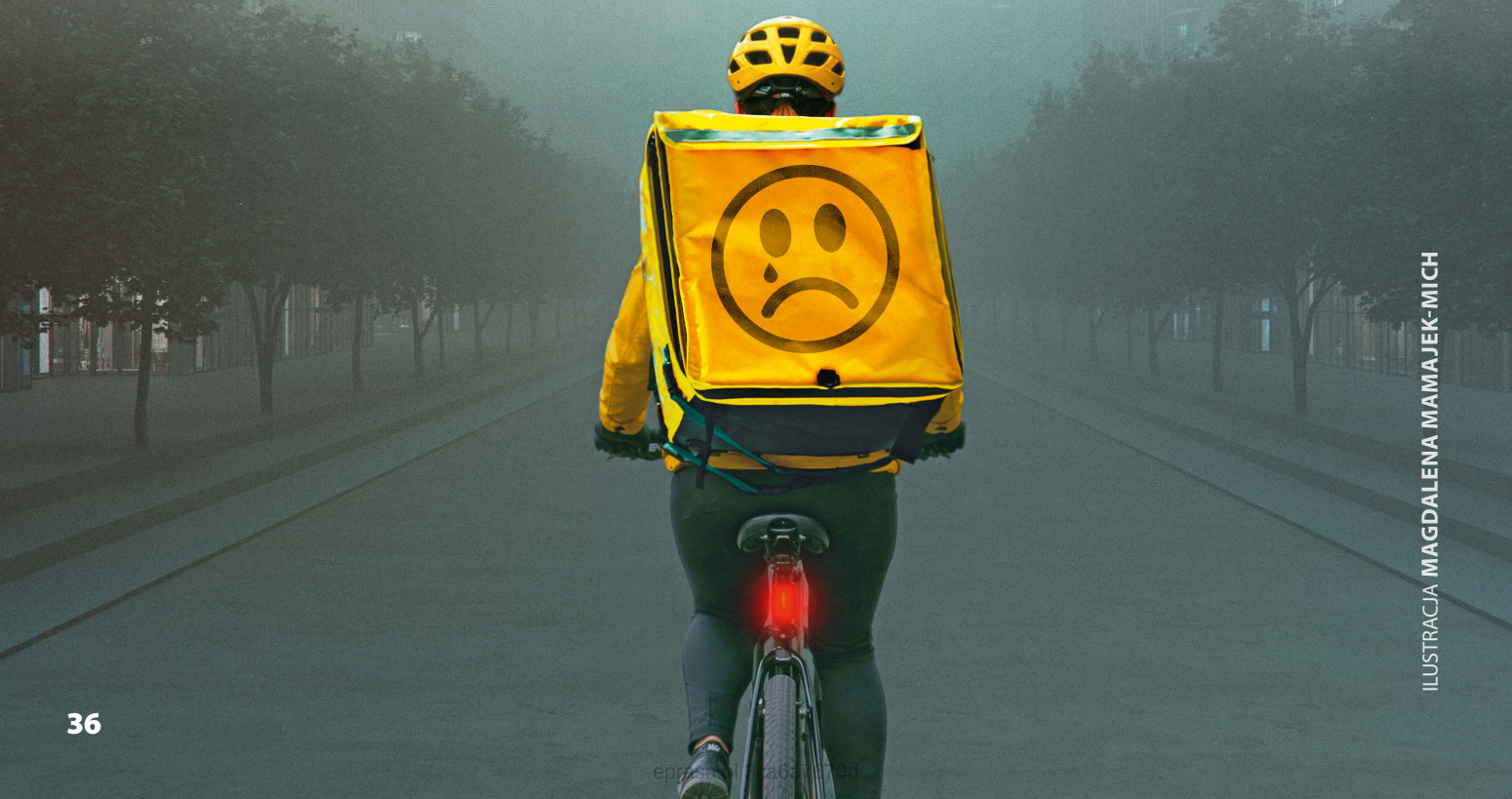
Reformy na platformach

Ucywilizowanie zawodowej sytuacji kurierów rozwożących posiłki wpisuje się w szerszy rządowy projekt walki z patologiami w tej branży i na rynku pracy. Od ostatecznego kształtu przepisów zależy, ile dopłacimy do rachunków za dostawy.

MARCIN PIĄTEK

„Kurierzy na bruku", „Dramat dostawców jedzenia", „Bezlitosna korporacja" – tak brzmiał ton nagłówków i komentarzy, które zalały media na początku lipca. Powodem były zwolnienia 4,5 tys. kurierów dostarczających posiłki pod szyldem pyszne.pl. Akcja wygaszania umów cywilnoprawnych trwała do końca sierpnia, a zainteresowanym zaproponowano kontynuowanie działalności, ale za pośrednictwem tzw. partnerów flotowych. Masowe cięcia wymierzone w kurierów wydawały się dla pyszne.pl wizerunkowym harakiri. Na początek grudnia tego roku ustalono bowiem wejście w życie przepisów wprowadzających unijną dyrektywę o tzw. pracy platformowej, której głównym celem jest zerwanie z fikcją umów cywilnoprawnych albo tzw. kontraktów b2b. I domniemanie stosunku pracy.

Po co więc zwalniać w lipcu, skoro wiele wskazuje, że w grudniu trzeba będzie znów zatrudniać na bardziej korzystnych dla pracowników zasadach, na dodatek ryzykując starcie z uzbrojoną w nowe narzędzia Państwową Inspekcją Pracy? – *Wcześniej*



ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH

istnienie przesłanek świadczących o tym, że mamy do czynienia z etatem, ustalano na drodze sądowej. Obecnie może to stwierdzić sam kontroler, wydając decyzję administracyjną. A ciężar udowodnienia, że nie mamy do czynienia ze stosunkiem pracy, spoczywa na platformie – mówi Michał Lewandowski z OPZZ Konfederacja Pracy.

W Polsce usługi za pośrednictwem platform internetowych świadczy 2,6 mln osób. Jest więc kogo sprawdzać i dla kogo walczyć. Paradoks polega na tym, że najmocniej oberwała firma, która oferowała kurierom najbardziej cywilizowane warunki. – *Pracowali wprawdzie na umowach-zleceniach, ale mając gwarantowaną stawkę godzinową* (ok. 31 zł – przyp. red.). *Plus bonusy uzależnione od liczby zrealizowanych dostaw albo podejmowania zleceń w niepogodę. Naiwnie sądziliśmy, że nasza konkurencja, mając na myśli dobro kurierów, pójdzie tą samą drogą. Płaciliśmy naszym dostawcom stawkę godzinową, ponosiliśmy w związku z tym adekwatne koszty publicznoprawne, a konkurencja zatrudniała ich przez pośredników, skazując na zarabianie na akord. Nie można prowadzić biznesu, piłując gałąź, na której się siedzi* – opisuje Aleksander Rosa, rzecznik prasowy pyszne.pl.

Względnie przyzwoite warunki pracy w pyszne.pl potwierdza Stanisław Kierwiak. Pracuje dla firmy jako kurier, działa również w OPZZ Konfederacji Pracy. – *Oprócz stawki godzinowej przysługiwał nam ryczałt za używanie własnego roweru: 55 gr za każdy przejechany w trakcie realizowania dostaw kilometr. Każdy kurier dostał również plecak termiczny i porządną kurtkę, niezbędną w okresie jesienno-zimowym* – opowiada.

U konkurencji – Uber Eats, Glovo, Bolt Food, Wolt – o takich „luksusach" można było pomarzyć. Te międzynarodowe korporacje, tnąc koszty, wystrzegają się umów bezpośrednio z kurierami. Od tego mają pośredników zwanych partnerami flotowymi. A umowy same w sobie były jazdą po bandzie, drwiną z przepisów prawa pracy oraz z państwa, które powinno stać na straży przestrzegania tych przepisów.

– *Powszechną praktyką stały się umowy na najem roweru. Czyli jeżdżąc dla Glovo albo Ubera, podpisuję taką umowę i na jej podstawie co miesiąc dostaję określoną kwotę. Nie odprowadza się od niej składek na ZUS, a podatkowy ryczałt wynosi 8,5 proc. Trudno to nazwać inaczej niż okradaniem państwa* – uważa Kierwiak. Jeśli przy okazji podpisywano umowę-zlecenie, to na symboliczną kwotę rzędu 200 zł, i tylko od niej pośrednik odprowadzał ryczałt i składki. – *Oszczędności związane z tego typu praktykami oczywiście zasilały konto pośredników i samych platform. Całemu procederowi zaczął się przyglądać ZUS i w końcu go ukrócono* – dodaje Kierwiak.

Temat warunków pracy kurierów żywnościowych z merytorycznego stał się polityczny. Odpowiadająca za resort pracy Lewica, która ma na sztandarach walkę z fikcyjnym zatrudnieniem na podstawie umów cywilnoprawnych, korzysta z okazji i grzmi: etaty albo kraty! – *Jeśli faktycznie doszłoby do wstecznego przekwalifikowania umów-zleceń na etaty, dla firmy oznacza to koszt idący w dziesiątki milionów złotych. Tymczasem już przed nowelizacją przepisów o Państwowej Inspekcji Pracy mieliśmy kontrole. I za każdym razem stwierdzano, że umowy-zlecenia są OK* – mówi Aleksander Rosa.

W ministerialnym projekcie ustawy wprowadzającej unijną dyrektywę nie ma precyzyjnej definicji sprawowanego przez pracodawcę (platformy) kierownictwa i kontroli, co miałoby przesądzać o zaistnieniu stosunku pracy. Zdaniem przedstawicieli platform działających w sektorze *food delivery* nie przesądza. Kurier samodzielnie może decydować, czy zlecenie otrzymywane poprzez aplikację przyjąć. Zdarza się, że odmawia, jeśli uzna, że zaproponowana stawka jest nieatrakcyjna. Poza tym nie można też mówić o „wyznaczonym czasie", skoro to kurier sam decyduje, w jakich godzinach chce się podjąć dostaw, i może skończyć swoją zmianę przed uprzednio zadeklarowaną dostępnością.

W branży jest wielu studentów, którzy po prostu chcą dorobić i samodzielnie decydować o czasie pracy. – *Z 4,5 tys. kurierów, którzy dla nas jeździli, trzy czwarte deklarowało, że nie mają nic przeciwko umowom-zleceniom. Bo dostaną więcej do kieszeni* (studenci do 26. roku życia nie płacą od umów-zleceń składek na ZUS – przyp. red.) *i sami decydują o swoim czasie pracy. Przymusowe etaty mogą sprawić, że w deszczowy, listopadowy niedzielny wieczór zostaniemy zasypani zwolnieniami lekarskimi* – mówi Aleksander Rosa.

O tym, że projekt ustawy o pracy za pośrednictwem platform cyfrowych jest napisany na kolanie, mówią wszyscy zainteresowani – pracodawcy, pracownicy i związki zawodowe. Kilkunastostronicowe uwagi przekazała też Branża Handel i Usługi OPZZ. – *Jeśli chodzi o sprawowanie kierownictwa i kontroli, zapisy Kodeksu pracy są niejasne. Wymieniliśmy kilkanaście okoliczności, które powinny wskazywać na sprawowanie przez platformę kontroli* – dodaje Michał Lewandowski.

Wśród czynników, które należałoby w tym kontekście brać pod uwagę, OPZZ podał m.in.: zautomatyzowany przydział zleceń, odgórnie ustalone wynagrodzenie i brak możliwości negocjacji, monitorowanie realizacji zleceń, określanie czasu na ich wykonanie, zawieszanie kursów, stosowanie kar. – *Ale katalog jest otwarty* – dodaje Michał Lewandowski. Wypracowanie ostatecznych rozwiązań trudno sobie wyobrazić bez dialogu z udziałem głównych zainteresowanych, w tym firm z branży *food delivery*. To jednak idzie jak po grudzie.

– *Pani minister Dziemianowicz-Bąk wystosowała do premiera pismo o objęciu prac nad ustawą szczególną ochroną antylobbingową. Wypracować rozwiązania, nie rozmawiając z samymi zainteresowanymi, to wyjątkowy absurd. Pani minister nas atakuje, a urzędnicy Państwowej Inspekcji Pracy straszą wynikami kontroli, zanim dojdzie ona do skutku. Taki mamy klimat* – opowiada Aleksander Rosa.

Jeśli Państwowa Inspekcja Pracy faktycznie obierze ostry kurs i wymusi etaty, branża dostawców jedzenia szacuje, że koszt jednego zlecenia wzrośnie średnio o 15 zł. – *Dla naszych klientów może być nie do udźwignięcia. I rynek siądzie* – uważa Rosa. Takie są czarne prognozy branży, ale z drugiej strony ma ona w Polsce wielkie perspektywy. Wskaźnik tzw. *customer penetration*, który należy rozumieć jako ogół osób mających dostęp do aplikacji i znajdujących się w zasięgu dostawców, to 11 proc. Tymczasem w Niemczech – ponad 50.

Zmiany w przepisach – niezależnie od tego, jaki ostatecznie przybiorą kształt – mają ustandaryzować zasady funkcjonowania branży. Na rynku dostawców jedzenia mówi się, że pyszne.pl obrywało za swoją względnie propracowniczą postawę. Kurier pracujący dla firmy miał gwarantowaną stawkę godzinową, więc nie przeszkadzało mu, że może poczekać na odbiór zamówienia jakiś czas. W efekcie zdarzało się, że klienci pyszne.pl dostawali ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ zamówienie z poślizgiem i wystygnięte. Aleksander Rosa przyznaje, że skarg przybywało. – *Tymczasem korzystanie z kurierów znajdujących się w bazie pośredników skróciło średni czas dostaw o ponad jedną trzecią. Klienci są zadowoleni.*

Czy po prawie trzech miesiącach działania nowego systemu – za pośrednictwem partnerów flotowych – zadowoleni są kurierzy? Niespecjalnie. – *Zarobek w całości zależy teraz od obrotów, od liczby zleceń. Dostajemy wiele sygnałów, że poza stolicą zarobki się pogorszyły* – mówi Stanisław Kierwiak. Poza tym dochodzą koszty. – *Za aktywację konta, wystawienie umowy, wypłatę wynagrodzenia, słyszałem też o pobieraniu przez pośredników opłat za odpowiedź na pismo, np. od komornika. Miesięcznie takie dodatkowe opłaty mogą sięgać 200 zł. Przy niezbyt wygórowanych zarobkach kurierów te wydatki są odczuwalne. No i plecak termiczny, ubranie, serwis roweru – to wszystko jest obecnie na głowie kuriera* – opowiada.

Jedną z najpilniejszych kwestii, którą ustawa powinna ucywilizować, jest zakres odpowiedzialności platform w rodzaju pyszne.pl oraz pośredników ułatwiających im korzystanie z kurierów. – *Pośrednicy są od tego, aby te platformy, czyli wielkie korporacje, mogły na nich przerzucać ryzyko prawne związane z zatrudnianiem kurierów. Formalnie rzecz biorąc, moim pracodawcą jest ten pośrednik, ale przecież wszystkie szczegóły związane z organizacją pracy to dzieło platformy, ona jest też płatnikiem. Ale gdy pojawiają się jakieś problemy z wypłatami, platforma mówi nam: idźcie do pośrednika. Chodzi o to, żeby ta odpowiedzialność była solidarna – w razie niewypłacalności pośrednika niech roszczenia kurierów zaspokoi platforma. A w tej kwestii w ustawie jest dziura* – tłumaczy Stanisław Kierwiak.



© ALEKSIEJ WITWICKI/FORUM

Międzynarodowe korporacje, tnąc koszty, wystrzegają się umów bezpośrednio z kurierami

Na rynku działa kilku dużych i względnie stabilnych pośredników. Ale jest też morze planktonu. – *Firm krzaków z wirtualnym biurem, znikających, gdy tylko pojawiają się problemy. Kiedy zgłaszamy sprawy do inspekcji pracy, słyszymy od kontrolerów, że poszli pod wskazany adres, ale nikogo nie zastali, a telefony i maile pozostały bez odpowiedzi* – opowiada Kierwiak.

Bywa też, że platforma ustala wynagrodzenie za zlecenia, czas pracy określa pośrednik i trudno określić zakres odpowiedzialności wobec kuriera. Twórcy przepisów z Ministerstwa Pracy najwyraźniej nie wczytali się w zalecenie dyrektywy. – *Nakłada ona na państwa członkowskie obowiązek wprowadzenia odpowiedzialności solidarnej* – dodaje Michał Lewandowski.

Pracą kuriera rządzi algorytm. Zaprojektowany w taki sposób, by maksymalizować zyski platform, przy jednoczesnej minimalizacji kosztów. – *Algorytm przydziela zlecenia, ustala stawki, decyduje również o dostępności zleceń, która, jak się okazuje, nie jest sprawiedliwa. Jak działa algorytm? Nie jest jasne. Nie ma przepisów, które pozwalałyby pracownikowi albo związkowi zawodowemu na wgląd w ten mechanizm zarządzania pracą* – mówi Stanisław Kierwiak.

Firmy odpowiadają: zaprojektowanie algorytmu i sposób jego działania to wewnętrzne know-how, tajemnica przedsiębiorstwa. Ale wiadomo, że algorytm służy też do ocen pracy kurierów – bierze pod uwagę m.in. czas realizacji dostaw, wskaźnik akceptacji zleceń, oceny wystawione przez klientów – i na tej podstawie nagradza tych najbardziej efektywnych wcześniejszym dostępem do grafiku ze zleceniami.

Firmy z branży *food delivery* twierdzą, że jednym z kryteriów stosowanych przy ocenach pracy kurierów jest kultura ich jazdy. Skargi albo zawiadomienia składane przez policję w związku z wykroczeniami, jakich dopuścił się przyłapany na gorącym uczynku kurier, często poruszający się przerobionym rowerem elektrycznym ze zdjętą fabryczną blokadą prędkości, obniżają ocenę. Stanisław Kierwiak mówi, że nie słyszał jednak o takich przypadkach, a skoro najważniejszym wyznacznikiem jakości pracy kuriera jest czas realizacji zlecenia, można się spodziewać, że na łamanie przepisów platformy przymykają oczy.

Kurierzy podejrzewają również, że algorytm niesprawiedliwie wycenia zlecenia. Dostawcy mający do pokonania identyczną trasę dostają różne propozycje, a algorytm bada próg zarobkowego bólu. Gdy dojdzie do wniosku, że przybywa tych akceptujących niższe ceny, będzie równał w dół. Te podejrzenia są słuszne. Takie praktyki stały się standardem na rynku taksówek na aplikację. I w końcu sprowokowały zbiorowy pozew przeciw Uberowi. Ponad 240 tys. kierowców z siedmiu państw, w tym z Polski, zarzuca amerykańskiej korporacji nielegalne profilowanie behawioralne oraz zaniżanie wynagrodzeń.

– *Algorytm sprawdzał, którzy kierowcy byli w stanie realizować zlecenia za niższą stawkę, co doprowadziło do spadku wycen. A marża Ubera poszła w górę: z 25 do nawet 50 proc. Gdy w aplikacji pojawia mi się propozycja zlecenia, nie wiem, ile ostatecznie zostanie mi w kieszeni. Okazuje się to dopiero po skończonym kursie* – opowiada Tomasz Wójcik, członek Stowarzyszenia Kierowców Aplikacji. W efekcie zarobki kierowców znacząco spadły. – *Nawet o połowę. Jeszcze parę lat temu jeździłem sześć dni w tygodniu, omijając godziny szczytu, i byłem w stanie co miesiąc odłożyć. Teraz jeżdżę codziennie, średnio po 10 godzin, i wystarcza mi tylko na bieżące wydatki. Bo w Polsce też trzeba odpalić dolę pośrednikowi* – dodaje Wójcik. Odrzucenie zleceń jest karane. – *Trzy odmowy i na pół godziny mam zablokowany dostęp do kursów* – opowiada.

Pozew trafił do sądu w Amsterdamie, a roszczenie obejmuje również rekompensatę za utracone przez kierowców dochody. Uber odrzuca wszelkie oskarżenia, co nie zmienia faktu, że po wprowadzeniu tzw. dynamicznych wycen kursów np. w Wielkiej Brytanii 82 proc. kierowców tej firmy doświadczyło spadku stawki godzinowej, a ich roczne zarobki poszły w dół średnio o ponad 5 tys. funtów. Jednocześnie zysk Ubera wzrósł z 1,1 mld dol. w 2023 r. do 5,6 mld rok temu. Przypadek? Kierowcy mówią, że nie sądzą.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 3ca6a7670d



Liderem w produkcji AGD w Polsce jest spółka BSH, dziś należąca do niemieckiego koncernu Boscha. Na fot. jej fabryka we Wrocławiu.

SOS dla AGD

Polska to europejski lider w produkcji dużych sprzętów gospodarstwa domowego. Jednak miejscom pracy w naszych fabrykach mocno dziś zagraża agresywna konkurencja z Chin. Ale czy można się obronić przed Chińczykami?

CEZARY KOWANDA

Prawie 6 mln pralek, ponad 5 mln zmywarek, niemal 4 mln kuchenek, piekarników i płyt do gotowania. Do tego po 3 mln okapów i suszarek do ubrań oraz 2,5 mln chłodziarek. Tyle sprzętu powstaje każdego roku w polskich fabrykach AGD. Ok. 85 proc. urządzeń produkowanych w naszym kraju trafia na eksport – głównie do Europy Zachodniej. Największy odbiorca to Niemcy, poza nimi sporo AGD „Made in Poland" sprzedawane jest też we Włoszech, Wielkiej Brytanii i Francji. W segmencie dużych urządzeń gospodarstwa domowego Polska to niekwestionowany europejski lider. Powstaje u nas niemal 40 proc. takiego sprzętu produkowanego na kontynencie, a pod względem wartości eksportu dużego AGD zajmujemy drugie miejsce na świecie.

Ale chociaż wciąż jesteśmy potęgą, mamy poważnego konkurenta na najważniejszych dla nas rynkach zbytu. To Chińczycy, którzy zyskują coraz silniejszą pozycję na naszym kontynencie i osłabiają w ten sposób fabryki działające w Polsce. Import z Chin do Unii Europejskiej rośnie w tempie kilkunastu procent rocznie, a dostawy z naszego kraju powoli, ale systematycznie maleją. Niższy popyt oznacza ▶

© TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 3ca6a7670d

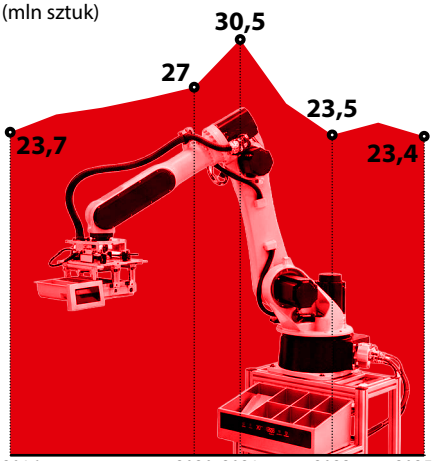
▶ niższą produkcję. W poprzedniej dekadzie z roku na rok powstawało u nas coraz więcej dużego sprzętu AGD. Rekord został ustanowiony w 2021 r., gdy przekroczyliśmy poziom 30 mln sztuk. To przede wszystkim zasługa pandemii, w czasie której konsumenci w całej Europie dużo inwestowali w swoje domy i mieszkania, skoro musieli w nich spędzać więcej czasu niż dotąd.

Kolejne lata przyniosły spadki. W ubiegłym roku we wszystkich zakładach w Polsce wyprodukowano już tylko 23,4 mln sztuk dużego AGD (oraz ok. 3 mln małego), a w tym roku wynik prawdopodobnie będzie jeszcze gorszy. Spadliśmy do poziomu produkcji sprzed ponad dekady.

Efekty już widać – w poprzednim roku zniknęło pięć z 35 działających dotąd w Polsce fabryk sprzętu gospodarstwa domowego. Bardzo dużych cięć dokonała spółka Beko Europe, która zamknęła zakłady w Łodzi produkujące kuchenki i suszarki do ubrań oraz fabrykę lodówek we Wrocławiu. Zwolnienia objęły łącznie 1,8 tys. osób. Działalność w Polsce ograniczył też koreański LG, likwidując dział produkcji lodówek pod Wrocławiem. Łącznie we wszystkich fabrykach AGD w Polsce pracuje ok. 25 tys. osób. Im mniejszy popyt na nasze produkty w innych krajach, tym większe ryzyko kolejnych zamknięć i zwolnień.

Zadyszka czy poważne kłopoty?

Produkcja dużego sprzętu AGD w Polsce
(mln sztuk)



Źródło: APPLiA



Polska ma długą tradycję produkcyjnego potentata AGD. Jej źródeł można szukać w PRL, gdy naszemu krajowi przypisano taką rolę w ramach ówczesnego bloku wschodniego. To wówczas dominowały marki świetnie znane przez starsze pokolenie, jak Polar, Zelmer, Amica czy Wrozamet. Po upadku komunizmu do Polski weszło wielu zagranicznych inwestorów, przejmując istniejące zakłady, ale też budując od podstaw nowe.

Co nam pomogło w zbudowaniu potęgi AGD? – *Na pewno korzystna lokalizacja i fakt, że sami jesteśmy dużym rynkiem zbytu. Poważnym atutem były niskie koszty pracy, ale także świetne zasoby inżynierskie dzięki uczelniom technicznym. W Polsce powstały nie tylko fabryki AGD, lecz również działy badań i rozwoju w wielu koncernach, a także centra obsługujące księgowość czy systemy informatyczne* – mówi Wojciech Konecki, prezes APPLiA Polska, związku producentów sprzętu AGD. – *Teraz zagraniczni inwestorzy widzą jako zaletę nasze położenie obok Ukrainy, bo zakładają, że będziemy ważnym hubem podczas jej odbudowy.*

Sprzęt AGD powstaje w różnych częściach Polski, chociaż dwa najmocniejsze punkty to aglomeracje łódzka i wrocławska. W naszym kraju największe zakłady mają dziś głównie gracze pochodzący z innych państw. Liderem w produkcji AGD w Polsce jest spółka BSH, kiedyś wspólny projekt niemieckich koncernów Bosch i Siemens, obecnie będąca wyłączną własnością tego pierwszego. Duże znaczenie mają też u nas Beko Europe (w trzech czwartych należące do tureckiego koncernu Arçelik, a w jednej czwartej do amerykańskiego Whirlpoola), koreański Samsung i szwedzki Electrolux. Jedynym dużym producentem kontrolowanym przez polski kapitał pozostała Amica. We Wronkach ma ona fabrykę urządzeń grzewczych, takich jak kuchenki i płyty. Natomiast lodówki czy pralki sprzedawane pod własną marką sprowadza z Azji. Amica stara się rozwijać na innych rynkach poza polskim. Niedawno kupiła prawa do francuskiej marki Sauter, od wielu lat kojarzonej nad Sekwaną ze sprzętem do gotowania i pieczenia.

Rywalizacja z Chińczykami jest dla europejskich koncernów coraz trudniejsza, bo potentaci z Państwa Środka przyjęli strategię podwójnego uderzenia. Z jednej strony sprzedają u nas coraz więcej sprzętu importowanego z Chin. Z drugiej – kupują europejskie marki (pozostawiając je na rynku z powodu dobrej rozpoznawalności wśród klientów) i budują fabryki na naszym kontynencie. Na przykład Haier przejął w ostatnich latach włoską grupę Candy, a Hisense – słoweńskie Gorenje.

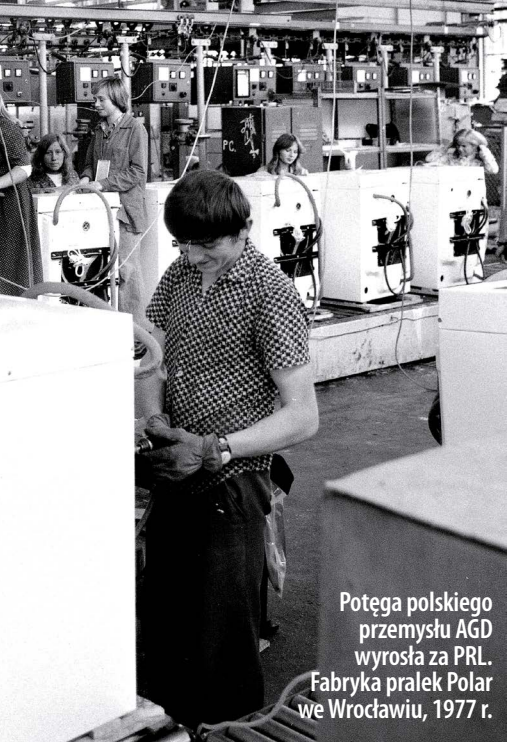
Na razie chińscy gracze nie produkują jeszcze sprzętu AGD w Polsce, ale nie przeszkadza im to sprzedawać nam go coraz więcej. Szacuje się, że w niektórych kategoriach (jak pralki i lodówki) już co piąty kupowany przez Polaków produkt pochodzi z Chin.

Co ważne, Chińczycy rywalizują nie tylko ceną. Stawiają również na nowinki technologiczne i coraz odważniej wchodzą w droższe segmenty rynku. Mają zatem ofertę zarówno dla osób szukających najtańszych produktów, jak i dla tych, które są skłonne wydać więcej.

Tymczasem wielu konsumentów nie preferuje wcale produktów powstających w polskich fabrykach. Liczą się przede wszystkim cena, technologia i efektywność energetyczna. Za oznaczenie „Made in Poland" nie jesteśmy skłonni zapłacić więcej, nawet jeśli często deklarujemy patriotyzm konsumencki. Poza tym klienci narzekają, że dzisiaj trudno ustalić, co jest tak naprawdę polskie. I co o tym decyduje – miejsce produkcji, kapitał właściciela, historia marki? Bo przecież bywa, że zagraniczna firma wytwarza w Polsce, a polska sprowadza z zagranicy.

Co zatem może nas uratować? Przede wszystkim specjalizacja. Chociaż wśród dużych graczy poza Amicą nie

eprasa.pl 3ca6a7670d



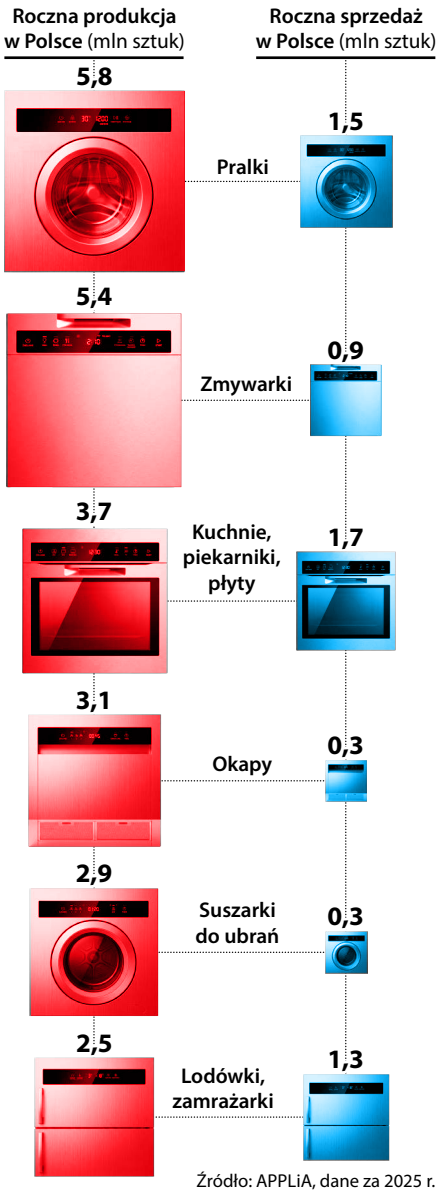
Potęga polskiego przemysłu AGD wyrosła za PRL. Fabryka pralek Polar we Wrocławiu, 1977 r.

© MICHAŁ BROWARSKI/FORUM, LECH MAZURCZYK (2)

ma już polskich spółek, znajdziemy je bez problemu w gronie mniejszych producentów AGD. W Sanoku od trzech dekad istnieje firma Ciarko, specjalizująca się w okapach. Część sprzedaje pod własnymi markami, inne produkuje w swojej fabryce na zlecenie różnych koncernów, które potem oferują je pod swoim logo. To częsta praktyka w branży AGD. W Rzeszowie spółka Zelmotor zaopatrywała kiedyś rzeszowski Zelmer w silniki. Dziś Zelmer to już tylko marka – najpierw kupiona przez BSH, a teraz należąca do hiszpańskiej grupy B&B Trends (produkty powstają w Azji). Natomiast Zelmotor działa dalej i stworzył własną markę małego sprzętu AGD o nazwie SMAPP. Firma przekonuje, że stawia na produkty o długiej żywotności, a dzięki lokalnej produkcji gwarantuje łatwy dostęp do części zamiennych i chce się wpisać w coraz popularniejszy trend naprawiania.

Pomóc mogą też innowacyjne rozwiązania, jak w przypadku firmy Solgaz ze Świdnicy. Opatentowała technologię gazu pod szkłem i oferuje unikatowe płyty do gotowania, wytwarzane w naszym kraju. – *Nie konkurujemy z chińskimi producentami z prostego powodu. Żaden z nich nie ma w ofercie takiego rozwiązania jak nasze* – podkreśla Paweł Dominik, prezes zarządu Solgaz. – *Najwyraźniej uznali, że nie opłaca im się w nie inwestować, skoro nie będą mogli produkować takich płyt w bardzo dużych ilościach. Szansą dla polskiego biznesu jest właśnie specjalizacja i znalezienie niszy, co nam się udało. Większość wyrobów sprzedajemy w Polsce, ale eksport stopniowo rośnie. Nasze rozwiązanie pozwala równocześnie ograniczyć zużycie gazu oraz ułatwia utrzymanie kuchni w czystości. Łączymy tradycyjne gotowanie na gazie z nowoczesnym designem płyt indukcyjnych.*

Więcej produkujemy, niż kupujemy



Źródło: APPLiA, dane za 2025 r.

Choć często traktujemy Chiny jako największe zagrożenie dla polskiego zagłębia produkcyjnego AGD, są też inni rywale. Najpoważniejszy z nich to Turcja – jest dużo bliżej europejskich rynków niż Chiny, więc ma nad nimi przewagę w logistyce. A równocześnie może zaoferować tańszą siłę roboczą i niższe koszty produkcji dzięki słabej walucie. Europejskie firmy wskazują na nierówną konkurencję. Muszą kupować stal czy aluminium, obciążone kosztami systemu ETS, podczas gdy ich rywale z fabrykami na innych kontynentach nie mają takich problemów.

Unia jednak zamierza rozszerzyć wprowadzony już mechanizm CBAM, który działa jak graniczny podatek węglowy. Nakłada on na importerów opłaty wyrównujące koszty za emisję dwutlenku węgla, jakie ponoszą europejscy producenci. Jednak CBAM w przypadku sprzętu AGD ma zacząć działać dopiero w 2028 r. i na początku obejmie tylko pralki oraz lodówki importowane do Unii (branża apeluje, aby dotyczył całego sprzętu AGD). Wówczas wyroby sprowadzane z Chin powinny nieco podrożeć.

Nie wiadomo, czy ta metoda uratuje miejsca pracy w Europie, w tym w Polsce. Scenariusz pesymistyczny zakłada, że z dużym AGD stanie się to, co z małym, którego produkcja nie tylko w Polsce, ale też na całym naszym kontynencie jest niewielka, a zdecydowaną większość urządzeń sprowadzamy z Azji.

Na szczęście na naszą korzyść może działać jeden istotny element. – *Z powodów strategicznych przeniesienie całej produkcji w tak ważnej branży poza nasz kontynent byłoby bardzo nierozsądne. Widzimy, że koncerny biorą to pod uwagę i wiedzą, że z powodu różnych zagrożeń wygaszanie zakładów w Europie i całkowite uzależnianie się od importu z innych części świata nie byłoby dobrym rozwiązaniem* – mówi Wojciech Konecki, prezes APPLiA Polska.

Organizacja ta zachęca do stworzenia w Polsce – na wzór włoski czy chiński – systemu wsparcia dla producentów i jednocześnie konsumentów. Bon na AGD mógłby jednocześnie premiować europejskie produkty i zachęcać konsumentów do wymiany starych, bardzo energożernych sprzętów na nowe, pozwalające obniżyć rachunki za prąd. Ale w budżecie z ogromnym deficytem raczej nie znajdzie się miejsce na taki wydatek. Mimo że dzisiaj waży się przyszłość branży, która jest jednym z filarów polskiego eksportu.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl 3ca6a7670d

Powrót dobrego

Rozmowa z amerykańskim dyplomatą **Kurtem Volkerem** o tym, czy nowy Kongres powstrzyma Donalda Trumpa, co dalej z amerykańskimi wojskami w Polsce i czy będzie inwazja na Iran.



TOMASZ ZALEWSKI: **– Po klęsce Republikanów w wyborach cząstkowych do Kongresu Donald Trump niewiele będzie mógł zrobić w kraju. A na arenie międzynarodowej?**

KURT VOLKER: – Prezydent USA kieruje polityką zagraniczną. A Trump się nie zmieni i na świecie będzie robił to, co dotychczas. Z kolei kontrolowany przez Demokratów Kongres będzie miał zasadniczo inną perspektywę na świat niż prezydent – pomoc dla Ukrainy, sceptycyzm wobec Rosji. Nowy Kongres nie będzie chciał dużej redukcji amerykańskich wojsk w Europie, wycofania się USA z NATO ani wznawiania wojny z Iranem. Prawdopodobnie ograniczy Trumpa, zablokuje jego najbardziej skandaliczne posunięcia. Ale nie zmieni kierunku jego polityki zagranicznej.

Pod koniec swych rządów prezydenci USA, zwłaszcza przy opozycyjnym Kongresie, energię zwracają zwykle ku sprawom międzynarodowym. A Europejczycy niepokoją się, że sfrustrowany Trump może zrobić coś szalonego. Czy np. uderzy na Kubę?

To możliwe. Zrobił to już w Wenezueli i był szczęśliwy z tego powodu. Użył siły w Iranie i nie bardzo mu wyszło. Może więc szukać czegoś szybkiego i łatwego. Kuba byłaby logistycznie łatwiejsza, inwazja miałaby spore szanse powodzenia.

Trump już teraz jest bardzo aktywny za granicą. W zeszłym tygodniu w Abu Dhabi jego ludzie negocjowali zakończenie wojny w Ukrainie. Czy to się może udać?

Ależ skąd. Władimir Putin próbuje skłonić Trumpa, aby ten wywarł większą presję na Ukrainę, żeby pogodziła się z utratą terytoriów. Ale Trump nie będzie w stanie przekonać do tego Wołodymyra Zełenskiego.

W Polsce obawiamy się, że Trump dąży do porozumienia z Putinem w stylu drugiej Jałty, do dealu dzielącego świat

eprasa.pl 3ca6a7670d

szeryfa?



Polscy i amerykańscy żołnierze na poligonie niedaleko Rzeszowa

© ARTUR WIDAK/NURPHOTO/GETTY IMAGES

na strefy wpływów trzech mocarstw: Europa – co najmniej Wschodnia – dla Rosji, Azja dla Chin, półkula zachodnia dla USA.

To straszny pomysł. Trump myśli w ten sposób, ale to nie znaczy, że będzie mógł wprowadzić go w życie. Nie sądzę, aby ktokolwiek w USA poza nim popierał taką koncepcję. Nie ma ona poparcia nawet obecnego Kongresu, mediów, ekspertów. Poza tym nic nie upoważnia go do negocjowania w imieniu Europy czy NATO. Nie wiem, czy on to w pełni rozumie.

Chyba nie rozumie, bo mówi teraz o budowie nowej europejskiej architektury bezpieczeństwa z udziałem Rosji.

Nie ma niczego złego w obecnej architekturze bezpieczeństwa Europy. Opiera się na respekcie dla integralności terytorialnej i suwerenności państw, powstrzymaniu się od użycia siły i prawie państw do wyboru ich własnych układów bezpieczeństwa i sojuszy. Jeżeli Rosja ma problem z tymi zasadami, to pytanie: dlaczego? Czy zamierza grozić Europie? Zdobywać terytoria siłą? Ingerować w wewnętrzne sprawy innych krajów? Ograniczać ich suwerenność? Administracja Trumpa chce teraz jakiegoś udziału Unii Europejskiej w rozmowach na ten temat, ale Unia przecież nie ustąpi w sprawach swojego bezpieczeństwa. To jest dyskusja nieprowadząca w żadnym pożytecznym kierunku.

Trwają spekulacje o redukcji wojsk amerykańskich w Europie.

I nie będzie w tym niczego złego. Nawet jeśli Trump ostatecznie zarządzi redukcję, sprawie przyjrzy się jeszcze dowództwo. A wtedy wojskowi zadadzą sobie pytania: jakie misje armia amerykańska ma wykonywać, jakie wymagania musi spełniać, żeby móc je wykonywać? Jakie jest idealne miejsce do ich wykonywania? I przede wszystkim: jak kosztowne będzie przerzucanie sił na bardziej pożądane pozycje? Wtedy okaże się, że obecne rozmieszczenie wojsk nie różni się za bardzo od takiego, którego chcemy.

Czyli nie ma się czym martwić?

Wojskowi prawdopodobnie powiedzą: nie potrzebujemy tak wiele piechoty, a więcej obrony powietrznej, systemów bezzałogowych i ekspertyzy w zakresie wojny elektronicznej. Będziemy zapewne potrzebowali większego rozmieszczenia wojsk na wysuniętych, frontowych pozycjach. Polska jest zatem dobrym przykładem kraju, gdzie powinno się zwiększyć obecność naszych wojsk. Nie należy jednak mówić tylko o ich liczbie. Trzeba mówić o zdolnościach. Wojskowi przyjrzą się, jakie zdolności są potrzebne w Europie, i mogą dojść do wniosku, że ich posiadanie będzie wymagało mniejszej liczby żołnierzy. Ale też inne zdolności mogą być bardziej potrzebne niż te, które są tam dziś rozmieszczone. Na przykład drony, które wymagają operatorów, ale już niekoniecznie licznej piechoty.

Trump obiecał stałą bazę wojskową USA w Polsce. Nadal jednak niczego nie wiemy na pewno – kiedy ani gdzie taka baza miałaby powstać i ilu będzie w niej żołnierzy. A może Trump się rozmyśli?

Baza będzie. Nasze wojsko jej chce, Polska jej chce, Trump lubi Polskę i lubi jej prezydenta. Po zeszłotygodniowym spotkaniu z szefem polskiego MON sekretarz wojny Pete Hegseth nie wspomniał o bazie, bo USA nie podjęło jeszcze formalnej decyzji w tej sprawie, ale wszystko zmierza do tego, że baza powstanie. Przechodzimy teraz niefortunny etap negocjacji z Rosją o jej pragnieniu narzucenia swej woli Europie. Musimy przez to przejść, ale nie widzę, by ktokolwiek w Europie zgodził się na te żądania. Trump też się nie zgodzi, bo gdyby się zgodził, wywołałoby to ogromny sprzeciw w USA. Ale w ciągu dwóch lat, przed końcem jego rządów, zobaczymy stałą bazę amerykańską w Polsce.

Co może zrobić Kongres, żeby wpłynąć na decyzje Trumpa w sprawie obecności amerykańskich wojsk w Europie?

Każde przemieszczenie wojsk kosztuje. Kongres nadzoruje budżet, dostarcza wojskom funduszy, i to w dość szczegółowy sposób. Zorganizuje przesłuchania w tej sprawie, wysłucha, co dowódcy mają do powiedzenia. Zada im pytania, czy to lub tamto zwiększy bezpieczeństwo kraju. I wyasygnuje lub nie fundusze. Może więc po prostu nie przyznać ich na przemieszczenie wojsk z jednego do drugiego kraju.

W ustępującym Kongresie Demokraci, bardziej niż Republikanie, popierali pomoc dla Ukrainy i sankcje wobec Rosji. W nowym, zdominowanym przez Demokratów, Kongresie szanse Ukrainy wzrosną?

Ja to widzę inaczej. Większość w obu naszych partiach popiera Ukrainę i sankcje wobec Rosji. Za ustawą Grahama (nazwaną ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

imieniem zmarłego w tym roku republikańskiego senatora, jastrzębia w polityce wobec Rosji – przyp. red.), wprowadzającą nowe sankcje, w 100-osobowym Senacie głosowało ponad 80 senatorów. Republikańscy przewodniczący kluczowych komisji popierali wzmocnienie NATO. Kiedy Partia Republikańska miała większość w obu izbach Kongresu, jej przywódcy ociągali się z procedowaniem niektórych antyrosyjskich czy proukraińskich ustaw, bo nie chcieli się narażać Trumpowi. W końcu jednak te ustawy przechodziły. Po zmianie kierownictwa w Kongresie będzie łatwiej nadawać bieg tym ustawom.

Problem w tym, że Trump często zwleka lub odmawia wprowadzenia w życie proukraińskich ustaw. Albo nie nakłada zarządzonych przez Kongres sankcji na Moskwę.

Obecne przepisy sankcyjne przewidują odstąpienie od ich realizacji z powodu „interesów bezpieczeństwa narodowego". Trump często się na to powoływał. Jeżeli nadal będzie to robił, Kongres może uchwalić legislacje nieposiadające takiego zapisu. Trump może je wetować, ale Senat przełamie weto, jeśli tylko 10–12 republikańskich senatorów zagłosuje razem z Demokratami. A to może się czasem udać, szczególnie w sprawie sankcji wobec Rosji.

W USA nasilają się jednak głosy, że trzeba „zwrócić się ku Azji". Ma to być reakcja na wzrost potęgi Chin.

Tak, to jeden z istotnych czynników. Stoimy wobec rosnącego zagrożenia z Azji i musimy sobie z tym poradzić. Ale mamy też zagrożenia w Europie i na szeroko rozumianym Bliskim Wschodzie. Obecność naszych sił w Europie jest bardzo ważna dla jej bezpieczeństwa i bezpieczeństwa naszych sojuszników. Podobnie projekcja naszej siły militarnej na Bliskim Wschodzie. Musimy stawić czoła wszystkim tym wyzwaniom.

Nowo wybrani członkowie Kongresu to przeważnie dość młodzi politycy, często o korzeniach z kontynentów innych niż Europa. Nie znają z własnego doświadczenia zimnej wojny i nie mają emocjonalnego stosunku do Pax Americana, który nastąpił później. Czy w ogóle będą się przejmować Europą?

Jak najbardziej. Siły amerykańskie w Europie służą interesom bezpieczeństwa USA. Niektórzy się z tym nie zgadzają, ale ze względów merytorycznych, nie z powodu swego etnicznego pochodzenia. Większość członków Kongresu i większość Amerykanów zdaje sobie sprawę, że posiadanie wojsk w Europie oraz silnego i solidnego NATO służy naszym narodowym i globalnym interesom. Bez tego świat byłby o wiele bardziej niebezpieczny.

Pan jest atlantystą, zwolennikiem bliskiego sojuszu USA i Europy. Ale takich jak pan jest w Ameryce coraz mniej.

To prawda. Jednak historycznie rzecz biorąc, za każdym razem, kiedy odwracaliśmy się od świata i wycofywaliśmy za ocean, kończyło się to źle. I w rezultacie znów musieliśmy gdzieś daleko wysyłać nasze wojska.

Ale powrót Ameryki do roli dobrego szeryfa na świecie zależy m.in. od tego, czy Demokraci i Republikanie odtworzą globalną koalicję w takich kwestiach jak NATO, Ukraina i Rosja. Czy to w ogóle możliwe?

Zwycięscy Demokraci ograniczą to, co Trump może robić jednostronnie, okiełznają jego najgorsze impulsy. W Kongresie będzie to przebiegało przy współdziałaniu obu partii. Ale nie będzie to proces harmonijny, konstruktywny. Wszystko będzie się dziać w atmosferze kłótni, walk między Kongresem i prezydentem, w trakcie śledztw kongresowych w sprawie jego korupcji, czystek w resortach itp.



Kurt Volker (rocznik 1964) – amerykański analityk i dyplomata związany z Republikanami. Za prezydentury George'a W. Busha był ambasadorem USA przy NATO. Podczas pierwszej kadencji Trumpa został specjalnym wysłannikiem Białego Domu do Ukrainy. Jest blisko związany z Europą Wschodnią, mówi po węgiersku, a jego żona jest Gruzinką.

Do ostatniej porażki Republikanów decydująco przyczyniła się inflacja, zwłaszcza zwyżka cen paliw, spowodowana wojną z Iranem. Prezydent próbuje ją zakończyć. Czy to mu się uda? Czy będzie mógł odtrąbić sukces?

Trump zawsze powie, że odniósł sukces, niezależnie od tego, czy to prawda. Problemem jest to, co pozostawimy za sobą w Zatoce Perskiej. Trump próbuje znowu przeformułować cel wojny, twierdząc, że chodzi o irańską broń nuklearną. Jeśli uda mu się uzyskać coś od Iranu – jakąś wiarygodną deklarację, że nie będą jej produkować – podda się w sprawie cieśniny Ormuz i powie, że przynajmniej Irańczycy nie będą mieli broni atomowej. Wielu ludzi to jednak nie zadowoli. Swoboda nawigacji na morzach i dostawy energii są niezmiernie ważne dla świata. Wielu Amerykanów to wie, więc na Trumpa spadnie wtedy krytyka za nierozwiązanie problemu swobody żeglugi. Rzecz w tym, że nikt nie wie, jak zmierzyć się z problemem Ormuzu ani ze sprawą irańskiej broni nuklearnej inaczej niż przez wojnę na pełną skalę.

Czy więc możliwa jest jeszcze lądowa inwazja na Iran?

Ponieważ wynik wyborów połówkowych był reakcją na wojnę, nie sądzę, by Trump zdecydował się na pełnoskalową inwazję.

Co zatem zrobi?

Będzie utrzymywał blokadę ekonomiczną, może z pokazowymi bombardowaniami od czasu do czasu, i próbował skłonić Irańczyków, żeby zrobili z bronią nuklearną coś, co będzie się starał sprzedać jako zwycięstwo.

A jak w końcówce rządów Trumpa ułożą się stosunki z Izraelem? W USA spada poparcie dla tego kraju, a Trump oświadczył, że nie będzie już wysyłał Izraelowi corocznych 4 mld dol. wsparcia?

To sporo pieniędzy, ale nie za dużo, Izrael może sobie pozwolić na ich utratę. Relacje będą zależały głównie od tego, czy w Izraelu zmieni się władza. Jeśli tak, to nowy rząd będzie się starał zakończyć konflikt w Gazie, z Hezbollahem i Iranem. Zmniejszy to napięcia w relacjach z USA.

Wróćmy jeszcze do Europy. Czy Putin – wiedząc, że nie znajdzie nigdy w Białym Domu tak przyjaznego mu prezydenta jak obecny – nie zaryzykuje w ciągu najbliższych dwóch lat jakiejś inwazji w Europie Wschodniej? Czy możemy wtedy liczyć na Amerykę?

Tak. W razie realnego ataku na naszych sojuszników w Europie będzie nasza odpowiedź. Jest wprawdzie możliwość różnego rodzaju ataków hybrydowych: z dronami, podpaleniami i cyberataków. Mówimy o tzw. szarej strefie, niepełnoskalowej inwazji, niekonwencjonalnym ataku – nie pociąga to więc za sobą automatycznej odpowiedzi z tytułu art. 5. Traktatu Północnoatlantyckiego. Tak widzi to wielu w USA i Europie, mamy zatem pewien problem. Ale w razie konwencjonalnego ataku USA odpowie. Proszę pamiętać, że po ostatnich wyborach do Kongresu najważniejszym przesłaniem dla naszych sojuszników jest komunikat, że Trump to nie to samo co Stany Zjednoczone. One są większe, bardziej zróżnicowane, bardziej stabilne. I jest tu szeroka baza poparcia dla NATO i bezpieczeństwa Europy.

ROZMAWIAŁ W WASZYNGTONIE TOMASZ ZALEWSKI

© NINA LYASHONOK/UKRINFORM/FUTURE PUBLISHING/ GETTY IMAGES

eprasa.pl 3ca6a7670d

ŻYWOT PANÓW BRACI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 3ca6a7670d



Pozostało spakować rzeczy... Zespół opuszcza redakcję po ostatnim kolegium 9 listopada.

Ostatnia gazeta

Gasimy światło, wyłączamy serwery, odchodzimy. Nie ma już „Nowej Gaziety". Zostaliśmy zamordowani – napisał zespół legendarnego pisma, które przez 33 lata starało się być głosem przyzwoitej Rosji.

TIMUR OLEVSKY, PAWEŁ RESZKA

„Nowaja Gazieta" przez ostatnie pięć lat w warunkach wojennej cenzury próbowała zachować niezależność. – *Nigdy nie postąpiliśmy wbrew sumieniu* – mówi POLITYCE Siergiej Sokołow, ostatni redaktor naczelny pisma. – *Ani trochę nie żałuję, że pracowaliśmy w Rosji tak długo.* Historia „Nowej" trwała 33 lata i nie będzie trwać ani dnia dłużej. W zeszłym tygodniu zespół skończył składanie ostatniego numeru i zaczął zbierać rzeczy do kartonowych pudeł, bo redakcja została zmuszona do opuszczenia budynku. Przez dekady pracowali niedaleko Czystych Prudów, przy Zaułku Potapowskim, czyli w tej części starej Moskwy, gdzie więcej jest krętych cichych uliczek niż wielopasmowych prospektów.

Kiedyś przed tym budynkiem można było spotkać Annę Politkowską, która męczyła się z zaparkowaniem auta. Na korytarzu – wpaść na Michaiła Gorbaczowa. Ostatni gensek ZSRR był współwłaścicielem, a co ważniejsze: patronem i protektorem „Nowej". Wieloletni redaktor naczelny Dmitrij Muratow był z nim zaprzyjaźniony, mógł do Gorbaczowa dzwonić o każdej porze i prosić o pomoc.

„Nowa" chwaliła się, że pierwsze komputery kupiła za środki z Pokojowej Nagrody Nobla, którą dostał Gorbaczow. Kiedy na początku lat 90. gazecie skończyły się pieniądze, ten sam Gorbaczow przyprowadził bogatego biznesmena i bankiera Aleksandra Lebiediewa. Redakcja zachowywała niezależność, pozostawiając pisanie o interesach Lebiediewa innym mediom. Później ten model mecenatu stał się powodem zarzutów: w ostatnich latach „Nowa" trwała dzięki pieniądzom oligarchy Siergieja Adonjewa. To człowiek bliski Siergiejowi Czemiezowowi, szefowi państwowego koncernu zbrojeniowego Rostiech i dawnemu koledze Władimira Putina z KGB.

Głos przyzwoitych

„Nowa" powstała z buntu przeciw banalizacji. Jej trzon stanowili dziennikarze „Komsomolskiej Prawdy", która na początku lat 90. była z nakładem grubo ponad 20 mln egzemplarzy. „»Komsomołka« szła w stronę tabloidu, a my nie chcieliśmy robić tabloidu" – mówił Muratow, który kierował w KP działem newsów. „Komsomołka" istnieje do dziś i cieszy się popularnością. Jest prokremlowska i dumna z dokonań rosyjskiej armii. „Nowa" starała się pisać o sprawach ważnych: motywowane politycznie zabójstwa, korupcja, rozkradanie państwowego majątku, przemoc policji i służby więziennej, oszustwa wyborcze, fabryki trolli. Jeśli Rosję coś bolało, dziennikarze z Zaułka Potapowskiego o tym opowiadali, nie licząc się

© ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

z tym, że może to się nie spodobać władzy albo publiczności.

Tak było z wojną w Czeczenii. Reporterzy Wiaczesław Izmaiłow i słynna na całym świecie Anna Politkowska pisali o przemocy, jakiej dopuszczają się ludzie w rosyjskich mundurach. O tajnych więzieniach, gwałtach, porwaniach i zabójstwach. O pułkowniku rosyjskiej armii, który zgwałcił i zabił młodą Czeczenkę. O tym, w jak krwawy sposób uwalniano zakładników ze szkoły w Biesłanie. Taka postawa była coraz mniej popularna. Władzę przejmowali ludzie służb – na czele z Putinem. Społeczeństwo zaś było coraz bardziej zachwycone, że Rosja wstaje z kolan. Wolność ograniczano po kawałku. A „Nowa" z krytycznego wobec władzy pisma stawała się coraz częściej osamotnionym głosem demokratów i porządnych ludzi.

Śmierć

Za swoje zasady „Nowa" zapłaciła ogromną cenę. Lista zabitych dziennikarzy i współpracowników redakcji to krótka historia narodzin rosyjskiego autorytaryzmu.

Igor Domnikow zmarł w 2000 r. po pobiciu młotkiem przez członków gangu Eduarda Tagirjanowa. Według śledczych napad był zemstą za artykuły krytykujące Siergieja Dorowskiego, wiceszefa administracji obwodu lipieckiego.

Jurij Szczekoczichin tropił korupcję z udziałem wysokich funkcjonariuszy FSB i prokuratury. W 2003 r. nagle zachorował i zmarł. Wypadały mu włosy, schodziła skóra, kolejne narządy przestawały pracować. Lekarze rozpoznali ciężką reakcję alergiczną, ale nie ustalili, co ją wywołało. Rodzinie odmówiono dostępu do wyników badań. Jego bliscy i redakcyjni koledzy podejrzewali, że został otruty, żeby przerwać prowadzone przez niego śledztwo dziennikarskie.

Anna Politkowska i Natalia Estemirowa dokumentowały zbrodnie w Czeczenii: porwania, tortury i zabójstwa, także te przypisywane ludziom Ramzana Kadyrowa, namiestnika Kremla w Groznym. Politkowską zastrzelono w Moskwie w 2006 r. Estemirową porwano w Groznym i zamordowano w 2009 r.

W tym samym roku w Moskwie neonaziści zamordowali dziennikarkę Anastazję Baburową i adwokata Stanisława Markiełowa. Strzelał Nikita Tichonow, jeden z założycieli Bojowej Organizacji Rosyjskich Nacjonalistów. Podczas procesu pojawiły się zeznania o jego kontaktach z ludźmi prezydenta Putina.

Ataki na dziennikarzy stały się codziennością i nie ustały nigdy. – *Ostatnio napadli na Dmitrija Muratowa. Lenę Miłaszynę porwano w Czeczenii i pobito niemal na śmierć. Innego naszego dziennikarza aresztowano, właśnie czeka na proces* – mówi naczelny Sokołow. Tym ostatnim dziennikarzem jest Oleg Rołdugin, który zajmował się otoczeniem Putina i jego majątkiem. Niedawno FSB przeprowadziła rewizję w mieszkaniu samego Sokołowa.

Można powiedzieć, że ostatnia w szeregu zgonów była śmierć samej „Nowej Gaziety".

Nagroda i kara

Dmitrij Muratow – podobnie jak jego przyjaciel i patron Gorbaczow – dostał Pokojową Nagrodę Nobla. Stało się to tuż przed wielką inwazją Rosji na Ukrainę, jesienią 2021 r. Zaraz pojawiły się pytania: dlaczego Muratow, skoro to Aleksiej Nawalny siedzi w putinowskim łagrze? Muratow mimo wyróżnienia nie zmienił się. Odbierał telefony, udzielał wywiadów. „Nie tylko znasz laureata Nagrody Nobla, ale z nim piłeś" – odpowiadał na gratulacje.

Pieniądze z Nobla Muratowa przedłużyły życie „Nowej". W ostatni etap działalności gazeta wchodziła z szeroko otwartymi oczami. Publicyści pisali, że nadchodzą represje w stalinowskim stylu. Liberałowie – dziś trzon rosyjskiej emigracji – mówili, że to przesada. Na niepotrzebną histerię zżymali się także ludzie ze świata kultury, którzy swoją twórczość opłacali z państwowych grantów. Głos „Nowej" był irytujący. Nie wierzono w jej kasandryczne przepowiednie. Tuż przed wojną Muratow w nieformalnych rozmowach „przy koniaku" mówił ze smutkiem, że Kreml uśpił społeczeństwo narkotykiem sukcesu. Ludzie wokół robili kariery, zarabiali pieniądze, mimo że kraj pogrążał się w totalitaryzmie i gotował do agresji.

24 lutego 2022 r., czyli w dniu pełnoskalowego ataku na Ukrainę, w „Nowej Gaziecie" ukazał się tekst „Czyżby wojna stała u progu?", który Paweł Felgenhauer przysłał do redakcji poprzedniego dnia. Ten spec od armii z niepokojem pisał, że wojna, w którą nie chce się wierzyć, jest nieunikniona. Artykuł ukazał się, kiedy na Kijów spadały już rosyjskie rakiety, a na przedmieściach trwały walki. Specjalna korespondentka „Nowej" Jelena Kostiuczenko wyruszyła w reporterską podróż do okupowanego przez rosyjską armię Chersonia. Z tej wyprawy nie mogła już wrócić do ojczyzny ze względu na groźbę zabójstwa, pozostała na emigracji.

Wojna

Kiedy wielu krytyków „Nowej" wyjeżdżało za granicę, redakcja zastanawiała się, co dalej. Kreml wprowadził cenzurę, zakazane było nawet słowo „wojna", więzienie groziło za krytykę armii i „rozpowszechnianie fałszywych informacji" na temat Specjalnej Operacji Wojskowej. Za kraty trafiało się nawet za notatkę w mediach społecznościowych, nie mówiąc o artykule w prasie.

Czy w takich warunkach da się wydawać niezależną gazetę? Na jakie kompromisy można pójść, by się w nich nie zatracić? „Nowa" od początku była instytucją demokratyczną – redaktor naczelny pochodził z wyboru, głosowali dziennikarze. Dmitrij Muratow pozostawał liderem środowiska, ale w chwili wybuchu wojny naczelnym był inny weteran pisma Siergiej Sokołow.

Opowiada nam, że gazeta miała w 2022 r. dwie możliwości: – *Albo kończymy działalność, ponieważ nie podporządkujemy się cenzurze, która zabrania relacjonowania najważniejszego wydarzenia. Albo zostajemy w Rosji i dokumentujemy, co się tutaj dzieje. Zdania były podzielone, zapytaliśmy więc czytelników. To nie jest figura retoryczna: naszym głównym źródłem dochodów były wpłaty czytelników, którzy de facto byli naszymi akcjonariuszami. Ponad 90 proc. uczestników ankiety odpowiedziało, że powinniśmy kontynuować pracę.*

Część zespołu wyjechała. Stworzyła niezależną od moskiewskiej redakcji „Nową Gazietę. Europa". Reszta próbowała wydawać pismo w Rosji. – *Wolność to nie tylko to, co na zewnątrz. Być może ważniejsze jest to, co wewnątrz człowieka* – opowiada jeden z członków redakcji, który pozostał w Moskwie. „Nowa" na pewien czas przestała pisać o wojnie, odmawiając używania oficjalnej terminologii. Jednak 16 marca tego roku redakcja ogłosiła, że wznawia relacjonowanie wydarzeń w Ukrainie z uwzględnieniem wymogów cenzury. „Obiecaliśmy, że nauczymy się żyć i pisać w kleszczach cenzury wojennej i że wrócimy. No więc wróciliśmy!" – napisał wtedy szef działu informacji „Nowej Gaziety" Nikita Kondratjew. ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶W niektórych liberalnych mediach, które przeniosły się na Zachód, zarzucano „Nowej", że poszła zbyt daleko. Że była uzależniona od pieniędzy z putinowskiego otoczenia i stała się listkiem figowym dla dyktatury. Redakcja rzeczywiście nie mogła pisać wszystkiego, ale starała się pokazać Rosjanom cenę wojny: opowiadała o liczbie poległych, o losach mieszkańców „nowych terytoriów" poddanych represjom rosyjskich służb, o problemach gospodarczych i o więźniach politycznych, którzy trafili do aresztów za sprzeciw wobec inwazji. Dopóki ukazywała się papierowa wersja, więźniowie mogli ją prenumerować, bo pismo było oficjalnie zarejestrowane. – *Choćby dlatego było warto* – mówi jeden z dziennikarzy. Muratow, który ciągle jest liderem środowiska, pomagał negocjować wymiany jeńców, a także jeździł po koloniach karnych, gdzie odwiedzał więźniów politycznych.



Dmitrij Muratow, współzałożyciel i były redaktor naczelny pisma, laureat Pokojowej Nagrody Nobla

Koniec

Ostatnie lata były historią zaciskania pętli. W marcu 2022 r. kioski przestały przyjmować „Nową" do sprzedaży. W 2023 r. w wyniku dekretu Putina drukarnie „Nowej" przejęło państwo, co położyło kres wersji papierowej. Zaczęto blokować stronę internetową, serwisy społecznościowe i YouTube. – *Władza zrobiła wszystko, żeby zniszczyć kanał komunikacji między dziennikarzami a czytelnikami* – mówi Sokołow.

Zbiegło się to z uznaniem Muratowa za „zagranicznego agenta". W końcu za „agenta" uznano całą redakcję. Sokołow: – *Status „zagranicznego agenta" to nie tylko etykietka. Pociąga za sobą ogromną liczbę konsekwencji. Przede wszystkim oznacza śmierć obywatelską i społeczną. Człowiek uznany za „agenta" zostaje faktycznie pozbawiony prawa do wykonywania zawodu. Traci prawo do zarabiania własną pracą, ponieważ nie może otrzymywać honorariów, wszystkie trafiają na specjalne konto. Nie może rozporządzać swoim majątkiem, nie może prowadzić działalności gospodarczej. Analogiczne ograniczenia dotyczą także organizacji, np. redakcji.*

Ostatnim akordem była decyzja banków, że przestają obsługiwać płatności redakcji, co odcięło ją od wpłat od czytelników, które były w zasadzie jedynym źródłem dochodu. Towarzyszył mu nakaz opuszczenia lokalu, tj. budynku redakcji przy Potapowskim. – *O tak, spędziliśmy tu kawał życia. Teraz pakujemy rzeczy, szukamy jakiegoś miejsca, żeby je przechować* – mówił Sokołow.

Sokołow uważa, że zespół postąpił słusznie, wydając „Nową" w warunkach cenzury: – *Im dłużej człowiek przebywa z dala od przedmiotu swoich badań, tym trudniej mu obiektywnie oceniać. My znajdowaliśmy się wewnątrz, żyliśmy tu, rozmawialiśmy z ludźmi. Jeździliśmy w teren. Mogliśmy opowiadać o rzeczywistym życiu kraju, a nie o tym, jak widać je zza granicy, poprzez informacyjne bariery. Wydaje nam się też, że dzięki nam czytelnicy podzielający nasze poglądy nie czuli się samotni.*

Czego dziś żałują? – *Że w naszym kraju wprowadzono cenzurę i nie mogliśmy w pełni opowiadać czytelnikom o tym, co się dzieje. Musieliśmy przestrzegać wszystkich, nawet najbardziej potwornych i idiotycznych praw ustanawianych przez władzę. Ale to raczej nie nasza wina, tylko nieszczęście całego rosyjskiego społeczeństwa. Osobiście ani trochę nie żałuję, że pracowaliśmy tak długo. Publikowaliśmy materiały, które uważaliśmy za wartościowe. Ani razu nie postąpiliśmy wbrew sumieniu. Ani razu nie sprzeniewierzyliśmy się własnym przekonaniom. I właśnie za to nas zamknięto.*

„Nowa" zamieściła pożegnalny list do czytelników, w którym informuje o swojej śmierci: „Przestańcie mówić, że to nie stalinowski rok 1937. W celach umierają ludzie, nie cyfry". Redakcja ma nadzieję, że w miejscu, gdzie zmagazynuje pozostałe po „Nowej" rzeczy, znajdzie się też przestrzeń, by się spotkać i porozmawiać. Zastanowić się, co dalej i czy da się ocalić coś z „Nowej" poza wspomnieniami i historią. – *Niekoniecznie pod jedną nazwą, niekoniecznie w ramach jednego projektu, niekoniecznie szybko. Ale będziemy o tym rozmawiać* – mówi Sokołow.

Dziennikarka „Nowej": – *Będę tu, jak długo się da, bo to mój kraj.*

Co dalej?

Redakcja „Nowej" wyprowadziła się z budynku przy Zaułku Potapowskim w poniedziałek 9 listopada. – *Posiedzieliśmy ostatni raz jak za dawnych czasów* – opowiada jedna z reporterek. – *Nikt nie wie, co będzie dalej, ale chyba mało kto myśli, że to koniec. Nie było poczucia beznadziei. Ale smutno też oczywiście było. Obejmujesz przyjaciół, a tymczasem po korytarzach uwijają się robotnicy z wózkami i pudłami. Można było wziąć sobie coś na pamiątkę. Mam zdjęcia i plakat. Wszyscy składaliśmy podpisy na tabliczkach „Nowaja Gazieta" i planie ewakuacji. Wieczór był ciepły, serdeczny. Po korytarzu biegały trzy psy.*

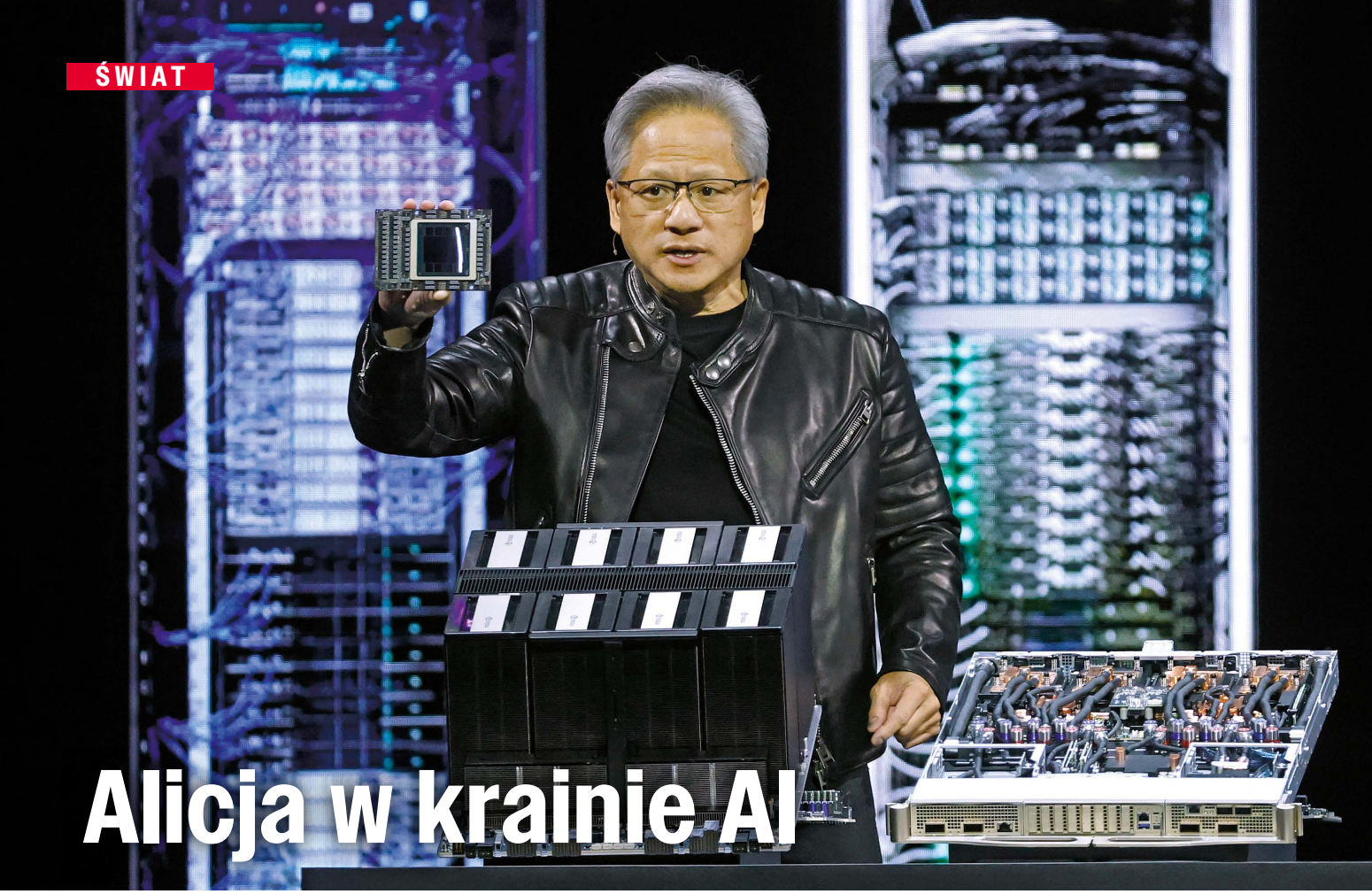
Dziennikarz „Nowej": – *Niektórych rzeczy celowo nie zdejmowaliśmy ze ścian. Tych, które były mocno przyklejone. Muratow powiedział: „Nie róbmy tu pobojowiska. Zostawimy im na stole butelkę szampana. Trzeba odejść z klasą".*

Na pożegnanie członkowie zespołu zabrali portrety zamordowanych kolegów. A zamiast szyldu z nazwą powiesili tabliczkę: „Tu była Nowaja Gazieta". Przy tablicy upamiętniającej Annę Politkowską zostawili kwiaty.

TIMUR OLEVSKY, PAWEŁ RESZKA

© IMAGO/MIKHAIL VOSKRESENSKIY/IMAGO STOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d



Alicja w krainie AI

Upadek kapłana sztucznej inteligencji i szefa Nvidii Jensena Huanga to opowieść o triumfie odwiecznych ludzkich słabości nad ultratechnologią przyszłości.

ŁUKASZ WÓJCIK

W starotestamentowej Księdze Sędziów Samson, obdarzony przez Boga nadprzyrodzoną siłą, szczególnie odznaczył się w walkach z Filistynami. Zabijał masowo, niszczył miasta, własnoręcznie wyrwał i uniósł bramy Gazy, ich stolicy. Gorzej radził sobie z Filistynkami. Jedna z nich, piękna Dalila, skradła mu serce, z początku nawet ze wzajemnością. Wówczas jednak perfidni Filistyni srebrem przekupili Dalilę, aby skradła Samsonowi również tajemnicę jego potęgi. A ten, z maślanymi oczami, usypiając na jej kolanach, wyznał, że moc tkwi w jego włosach – jeśli się je zetnie, stanie się zwykłym człowiekiem.

A teraz robimy skok w przyszłość o jakieś 22 stulecia i okazuje się, że niewiele się zmieniło. W zeszłym tygodniu, 12 listopada, ze stanowiska dyrektora zarządzającego Nvidii, najwyżej wycenianej spółki publicznej w historii, zrezygnował wszechmocny – jak się wydawało – Jensen Huang, kapłan kościoła sztucznej inteligencji (AI). Nazbierało mu się. Cztery dni wcześniej przyznał się do pozamałżeńskiego romansu z Alice Huang (zbieżność nazwisk przypadkowa), która według wszelkich znaków na niebie była chińskim szpiegiem. Akcje Nvidii zapikowały, firma zapowiedziała wewnętrzne śledztwo, a pomnik Huanga zaczął się chwiać. I gdy 11 listopada media opisały kolejny jego romans – tym razem z podwładną z Nvidii, Kimberly Powell – pomnik runął z piedestału.

Układy w szafach

Nie był to zwykły pomnik. Stephen Witt tak opisuje Huanga w książce „Maszyna myśląca": to globalny celebryta, 63 lata, legendarna skórzana kurtka. Gdy przylatywał na Tajwan, skąd jako dziecko wyjechał do Stanów Zjednoczonych i gdzie powstaje większość chipów Nvidii, przyjmowany był jak gwiazda rocka, a jednocześnie „dostępny miliarder", którego można spotkać w zwykłym barze przy piwie. Na konferencjach Nvidii przeistaczał się w kapłana panującego nad tłumem szalejących programistów.

Miał nieszablonowy sposób kierowania firmą. Jej struktura była wybitnie horyzontalna, Huang zarządzał poprzez spotkania poświęcone konkretnym projektom, w których brali udział pracownicy wszystkich szczebli – od świeżych absolwentów uczelni po najwyższą kadrę kierowniczą. Huang musiał wszystko kontrolować. Twierdził, że każdego dnia czytał kilka tysięcy e-maili od pracowników.

– *Trudno przecenić rolę Huanga w rewolucji AI* – mówi Peter Mattis, były analityk kontrwywiadu CIA, dziś niezależny badacz. – *Przez ostatnie lata był uważany za jednego z najważniejszych dyrektorów zarządzających (CEO) na świecie. Charyzmatyczny, z wielką wizją, a jednocześnie chorobliwie skupiony na detalach. W Nvidii zajmował się wszystkim: od architektury chipów, przez politykę cenową, po geopolityczne sojusze i doradzanie prezydentowi* ▶

© JUSTIN SULLIVAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ *USA. Był w stanie przekonać światowych przywódców, że chipy Nvidii są niezbędne dla ich państw.*

Bo właśnie chipy są jądrem tej rewolucji. Pierwotnie znane jako procesory graficzne (GPU) zostały zaprojektowane z myślą o obsłudze właśnie grafiki w grach komputerowych. Okazało się jednak, że ich zdolność do szybkiego wykonywania ogromnej liczby rachunków jest niezwykle przydatna w tworzeniu i szkoleniu tzw. dużych modeli językowych (LLM), trzonu trwającej właśnie rewolucji AI.

Nvidia to jednak nie tylko chipy. Firma najwięcej zarabia na sprzedaży całych układów. Montowane w dwumetrowych szafach o wadze dochodzącej do dwóch ton, składają się z ponad miliona części od 80 kontrahentów z całego świata. Wartość każdego takiego układu to miliony dolarów. A Nvidia w zasadzie nie ma w tej dyscyplinie konkurencji – opanowała prawie 90 proc. globalnego rynku.

Bez Huanga, który rządził firmą nieprzerwanie od jej powstania w 1993 r., to wszystko byłoby niemożliwe. Za jego sprawą w lipcu 2025 r. Nvidia została pierwszą publicznie notowaną spółką, której wycena przekroczyła 4 bln dol. Zaledwie kilka miesięcy później przebiła już 5 bln. Odkąd jednak media, a szczególnie „The New York Times", zaczęły pisać o romansie Huanga z Alice i jej powiązaniach z chińskim wywiadem, Nvidia straciła już ponad bilion dolarów wartości.

Na ostrzu łoża

Firma Alice to zapewne chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (MBP). Przez lata to była „szuflandia" – niewielka grupa analityków stosowała metodę „przesiewania tysiąca ziaren piasku", czyli studiowania tysięcy niepozornych informacji i dokumentów, aby w końcu na coś trafić. Za prawdziwy wywiad odpowiadały urzędy związane z wojskiem lub partią. To się jednak zmieniło za wczesnego Xi Jinpinga, a dziś MBP ma prawdopodobnie cztery razy więcej pracowników niż CIA, w zasadzie nieograniczony budżet i wykorzystuje AI do selekcji i profilowania celów.

Chińskie MBP działa niestandardowo. Mniej skupia się na szkoleniu kolejnych Bondów, a więcej szuka osób z pozycją w różnych środowiskach skłonnych do współpracy albo takich, które tej współpracy nie mogą odmówić. Mają prawdziwe biografie, własne osobowości, prawie nie muszą udawać. A pula wśród chińskiej diaspory jest naprawdę liczna. Poza tym chodzi tylko o długodystansowców. – *Gdy wyobrażamy sobie szpiega pod postacią uwodzicielki, to raczej chodzi o szybką akcję: kolacja, seks, chwila nieuwagi i wszystkie hasła z komputera skopiowane* – przekonuje Mattis. – *Chińczycy z MBP działają inaczej, ich agenci wchodzą w wieloletnie związki, nierzadko małżeństwa, aby latami pozyskiwać informacje. Taka miała być Alicja w krainie AI.*

Chińczycy tego nie wymyślili. W latach 60. XX w. głośna była sprawa Maurice'a Dejeana, ambasadora Francji w Moskwie. Żeby go dopaść, KGB zmobilizowało ponad setkę agentów, w tym kilka specjalnie przeszkolonych tzw. jaskółek. Najpierw podsunęli mu rozwódkę mówiącą po francusku, a następnie piękną aktorkę filmową. Dejean miał życzliwego rosyjskiego przyjaciela, który wyciszył sprawę. Ów przyjaciel był jednak generałem KGB, który nadzorował całą operację. W 1964 r. Dejean został odwołany ze stanowiska. Już w Paryżu prezydent Charles de Gaulle miał mu powiedzieć „Alors, Dejean, on baise?" (w wolnym tłumaczeniu „No co, Dejean, sypiasz z kim popadnie?").

Tę listę można ciągnąć. W latach 80. głośny był przypadek izraelskiego sygnalisty Mordechaja Vanunu, który ujawnił szczegóły tajnego programu nuklearnego Izraela. Vanunu został zwabiony w ręce porywaczy przez kobietę znaną jako „Cindy". Namówiła go, by dołączył do niej w Rzymie, gdzie został uprowadzony przez Mosad i wywieziony do Izraela.

Klasyka gatunku to Romeo z NRD. Szef tamtejszego wywiadu, legendarny Markus Wolf, doszedł do dość oczywistego wniosku, że jeśli w zachodnich Niemczech po wojnie jest ogromny deficyt mężczyzn, to trzeba wysłać tam przeszkolonych dżentelmenów z NRD, aby bałamucili samotne sekretarki i urzędniczki z Bonn czy Hamburga i wyciągali od nich tajne informacje.

Na tym ostatnim przykładzie widać, jak ważne w tym fachu jest wykrycie deficytów i adekwatne ich zaspokojenie. Bo można się srogo pomylić. Tak jak KGB, które na początku lat 60. przemyciło grupę atrakcyjnych „stewardes" do prywatnego gabinetu Sukarno, prezydenta Indonezji. Kiedy pokazano mu nagranie jego igraszek, był zachwycony i poprosił o dodatkowe kopie, by móc pochwalić się przed kolegami.

O samej Alice niewiele wiadomo. Urodzona w latach 80. w prowincji Hunan jako Huang Le, już w szkole średniej miała się wyróżniać przebojowością i intelektem. Skończyła studia dziennikarskie i szybko trafiła do najważniejszej telewizji państwowej CCTV – nie dostają się tam osoby niechętne władzy, wręcz przeciwnie. Potem, wraz z ówczesnym partnerem, kontrowersyjnym inwestorem Kang Wei, zajęła się biznesem gier komputerowych.

Aż postanowiła wyjechać z kraju i zacząć nowe życie, m.in. zmieniając pisownię nazwiska z mandaryńskiej na kantońską – tak robi wielu Chińczyków próbujących ukryć swoje kontynentalne pochodzenie. Dodała też sobie obco brzmiące imię Alice. A także nową firmę, zarejestrowaną w Singapurze, formalnie wyodrębnioną z chińskiej korporacji 7Road, w praktyce zaś wydmuszkę, której biura – jak sprawdził „The Wall Street Journal" – zieją pustką.

Z Tajwanu do Chin przez USA

Megaspeed, bo o tej firmie mowa, w Azji Południowo-Wschodniej wybudowała kilka centrów danych i nawiązała współpracę z Alibabą, czyli chińskim Allegro. To była przepustka do Nvidii – Alice potrzebowała układów chipów sprzedawanych przez firmę Jensena. Doszło do pierwszego spotkania w Singapurze, potem był Tajwan. Najpierw formalne negocjacje, potem nieformalne spotkania, restauracje, alkohol. Umowy się posypały, w sumie Megaspeed kupiła od Nvidii chipy na łączną wartość prawie 4 mld dol.

To musiało uruchomić alarm w Waszyngtonie. W 2022 r. za prezydentury Joe Bidena Kongres przyjął tzw. Chips Act, który zabrania eksportu zaawansowanych chipów m.in. do Chin. A w przypadku tych słabszych nakazywał kontrole ich ostatecznego przeznaczenia, żeby nie trafiały np. do chińskich firm zbrojeniowych. Z tej perspektywy Megaspeed to świetnie wymyślony interes. Amerykańskie przepisy ograniczają sprzedaż bardziej zaawansowanych chipów do Chin, ale nie zabraniają ich użyczania chińskim firmom. A można je „wynająć" np. w centrum danych w Malezji wybudowanym przez Megaspeed. Amerykanie od dawna wiedzą o tej luce, ale jakoś nie palą się do jej zatkania.

To konsekwencja fundamentalnego założenia, do którego Huang zdołał przekonać Donalda Trumpa i część jego otoczenia. Chińczycy mają swoje chipy, choćby od Huawei – może nie takie dobre jak te

eprasa.pl 3ca6a7670d



Zbieżność nazwisk przypadkowa, ale znajomość już nie. Jensen Huang i jego ówczesna klientka Alice Huang na kolacji w Tajpej w 2025 r. Od spotkań formalnych przeszli do nieformalnych...

od Nvidii, ale to tylko kwestia czasu. W dodatku do korzystania z nich Pekin usilnie zachęca chińskie firmy w ramach budowania technologicznej suwerenności. I tu Huang przekonywał, że jeśli Waszyngton zupełnie zakaże eksportu Nvidii, to proces „suwerenizacji" Chin tylko przyspieszy, a Ameryka straci nie tylko rynek, ale też wpływy. A jeśli Ameryka oficjalnie nie może pozwolić na eksport chipów do Państwa Środka, to niech przynajmniej przymyka oko na modele biznesowe w stylu Megaspeed.

Trump w drugiej kadencji postanowił to wykorzystać. Tym bardziej że Huang stał się jego nieformalnym doradcą w zakresie sztucznej inteligencji. Na początku 2025 r. zezwolił na eksport bardziej zaawansowanych chipów Nvidii – pod warunkiem że zanim trafią z Tajwanu do Chin, przejdą przez amerykański obszar celny i Nvidia zapłaci od ich 15 proc. „cła". Kilka miesięcy później zielone światło dostały drugie pod względem zaawansowania chipy Nvidii, „oclone" już jednak na 25 proc.

Problem polega na tym, że po kontroli wysłanej m.in. do Malezji przez amerykański Departament Handlu okazało się jednak, że w centrach danych Megaspeed zainstalowano tylko część układów od Nvidii, reszta zniknęła. To wtedy prawdopodobnie Alicją zaczął interesować się amerykański wywiad i już jesienią 2025 r. Trump dostał od sekretarza stanu Marco Rubio pierwszą notatkę stwierdzającą, że jest ona chińskim szpiegiem i najwyraźniej pośredniczy w przemycie chipów Nvidii do Chin. A może wpływa nawet na biznesowe decyzje Jensena Huanga.

Amerykańska administracja zaczęła tu działać dwutorowo. Departament Stanu był coraz bardziej zaalarmowany – gdy w marcu Trump zaprosił Jensena na pokład Air Force One w drodze na spotkanie z Xi, Rubio jeszcze raz ostrzegł prezydenta, że szef Nvidii zadaje się z wrogiem. Jednocześnie Departament Handlu kierowany przez Howarda Lutnicka, bliskiego znajomego Trumpa z branży nieruchomości, od ponad roku blokował wpisanie Megaspeed na czarną listę podmiotów, z którymi Amerykanie nie mogą robić biznesów.

I tu już można Trumpowi przypisywać przeróżne intencje. Po pierwsze, skoro Amerykanie wiedzieli o szpiegu, to nie stanowił on już zagrożenia. Po drugie, wizja relacji USA–Chiny Trumpa i Huanga do pewnego stopnia pokrywa się z tą pekińską – handlujemy, zarabiamy, a Amerykanie nie powinni przejmować się przyszłością. Po trzecie, Trump znany jest z uległości wobec dyktatorów (przykład Putina) i bał się zaogniać sytuację. Ale też nie da się ukryć, że Nvidia dała ponad 20 mln dol. na trumpowską salę balową przy Białym Domu.

Bańka ostateczna

Zdecydowanym przegranym tego największego od lat skandalu szpiegowskiego jest Jensen Huang, który już w tym tygodniu ma zeznawać w swojej sprawie w Kongresie. Ale kto wygrał? – Każdy ujawniony szpieg to porażka i w tym przypadku przegrane są Chiny – mówi Nicholas Eftimiades, amerykański ekspert od chińskiego wywiadu. – Teraz każdy liczący się amerykański biznesmen dwa razy się zastanowi, zanim zwiąże się z atrakcyjną Chinką. Poza tym Pekinowi jeszcze trudniej będzie przekonywać świat, że Chiny to „przyjazne mocarstwo", które pragnie tylko uczciwej konkurencji, podczas gdy cały model chiński w ostatnich latach był oparty na kradzieży własności intelektualnej i kopiowaniu cudzych pomysłów. Tylko w ostatnich czterech latach kongresowa komisja ds. wywiadu odnotowała w USA ponad 60 przypadków szpiegostwa na rzecz Chin.

Na rezultaty tej afery można jednak też spojrzeć z innej perspektywy. Rozwój AI może zwycięzcom tego wyścigu dać władzę nad światem w sensie dosłownym. Dlatego największe mocarstwa biją się o tę technologię i bronią do niej dostępu – jak Amerykanie, którzy wokół AI budują mur przepisów, kontroli eksportu, licencji, czarnych list. Jak go przebić? Wydawało się, że zdolna jest do tego tylko superzaawansowana siła wywiadowcza, jakiś skoordynowany atak hakerski, zabójczy algorytm. A wystarczyło kilka kobiecych gestów, przypadkowy dotyk, miła kolacja, chwila rozmowy. I katastrofa gotowa.

Rewolucja AI już wcześniej miała swoje problemy. Od ponad roku eksperci alarmują, że ta technologia jest przeinwestowana. Wielkie firmy i rządy włożyły w nią krocie, obawiając się, że wypadną z wyścigu, a wkrótce może się okazać, że AI nie przyniesie oczekiwanych zwrotów. Wątpliwości przybyło po zwycięstwie Demokratów w wyborach do Kongresu, bo wielu z nich chce zablokować budowę kolejnych centrów danych w swoich stanach. W takich warunkach panikę może wywołać jedno nieprzewidziane wydarzenie, które wstrząśnie branżą na tyle, że inwestorzy nagle uznają to wszystko za bańkę pustych oczekiwań. A bańka w końcu pryśnie, pogrążając giełdy i gospodarki kolejnych państw. Czy ustąpienie kapłana AI, Jensena Huanga, jest takim wydarzeniem?

Stary Testament nie napawa tu optymizmem. Gdy Dalila dowiedziała się, co jest źródłem mocy Samsona, kazała ściąć mu włosy. Filistyni pojmali go i wyłupili mu oczy. Zakuli w kajdany i zmusili do niewolniczej pracy. Pewnego razu urządzili wielkie święto boga Dagona i do świątyni sprowadzili niewidomego Samsona, aby się z niego naigrywać. Gdy zostawili go w spokoju, poprosił Boga o siły ten ostatni raz i obalił kolumny podtrzymujące świątynię. Cały świat Filistynów zawalił się im na głowy, grzebiąc ich (nas?) wszystkich.

ŁUKASZ WÓJCIK

© AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d



Wizja artystyczna przedstawiająca sondę kosmiczną Voyager 1 przelatującą obok Saturna w zewnętrznych rejonach Układu Słonecznego, około 1980 r.

Podróż poza kres

Sonda kosmiczna Voyager 1 18 listopada znalazła się w odległości jednego dnia świetlnego od Ziemi. Leci z nią płyta, na którą wgrano dźwięki i zdjęcia – autoportret ludzkości sprzed pół wieku. Jego twórca, astronom Carl Sagan, ostrzegał: to może być ostatnia taka wiadomość.

MARCIN ŻYŁA

Rok 1985 był dość ponury. Wiosną brytyjscy badacze ogłosili, że nad Antarktydą drastycznie spada poziom ozonu – gazu, który chroni przed powodującym raka promieniowaniem UV. W lecie magazyn „Time" straszył na okładce słabo znaną chorobą o akronimie AIDS. Jesienią meteorolodzy konferujący w austriackim Villach wydali pierwsze ostrzeżenie przed skutkami efektu cieplarnianego.

Może dlatego 10 grudnia w Waszyngtonie pustawa zwykle sala posiedzeń senackiej podkomisji ds. substancji toksycznych i nadzoru nad środowiskiem pękała w szwach. Zeznawał dr Carl Sagan, astronom z Cornell University, milionom Amerykanów znany z popularnego serialu edukacyjnego „Kosmos".

Tłum, który niszczy

„Skutki efektu cieplarnianego dotyczą więcej niż jednego pokolenia, jesteśmy więc skłonni mówić, że to nie nasz problem – mówił tamtego dnia Sagan. – Ale jeśli nie zaczniemy się nimi martwić teraz, w przyszłości będzie za późno". Jego krótkiego, rzeczowego wystąpienia słuchał senator Al Gore – najmłodszy członek komisji. 12 lat później, już jako wiceprezydent, pomógł on uzgodnić tekst protokołu z Kioto o redukcji emisji gazów cieplarnianych.

eprasa.pl 3ca6a7670d

Dziś – gdy ocieplająca się planeta stała się osią ideologicznego sporu, a w Ankarze kończy się już 31. konferencja klimatyczna – obraz polityka słuchającego naukowca wydaje się nierealny. Również wtedy nie był oczywisty. W latach 80. w USA triumfy święciła pseudonauka. Pastorzy grzmieli, że AIDS to kara za grzech sodomii. Czytano książki Ericha von Dänikena, który utrzymywał, że w czasach przedhistorycznych kontakt z ludzkością nawiązała obca cywilizacja. A prezydent Ronald Reagan rozpoczął urzędowanie od demonstracyjnego pozbycia się paneli słonecznych, które na dachu Białego Domu zamontował Jimmy Carter. Nastał czas deregulacji i rozwoju gospodarki bez ograniczeń.

Brzmi znajomo? – *Są takie chwile w historii ludzkości, gdy „przychodzi tłum" i niszczy część jej dorobku. Podobnie jak teraz, w latach 80. amerykańscy politycy miewali kłopoty z akceptacją faktów naukowych. Co więcej, wielu Republikanów okazywało badaczom wyższość* – mówi Ann Druyan, współscenarzystka „Kosmosu", prywatnie żona Sagana.

Serial zadebiutował w telewizji kilka miesięcy przed objęciem władzy przez Reagana. Jednym z jego wątków była opowieść o upadku Biblioteki Aleksandryjskiej. Ile wieków do przodu byłaby ludzkość, gdyby nie ciosy zadawane nauce w imię wojen, religii czy zabobonów? Może zamiast szkicować swoje śmiałe projekty, Leonardo da Vinci mógłby je po prostu realizować? Sagan zadawał z ekranu te pytania, lecz nie tracił nadziei.

Ann Druyan: – *Carl miał świadomość, że człowiek nie jest istotą doskonałą – ma inklinację do przemocy i myślenia w krótkiej perspektywie. Fakt, że od tysiącleci chce wiedzieć, jak działa przyroda, napawał go jednak optymizmem. Widział podobieństwo między nauką a Kartą praw Stanów Zjednoczonych. Sądził, że jeśli znajdzie sposób, aby przekonać jak najwięcej obywateli do metody naukowej, przyszłość będzie jeszcze do uratowania.*

Istoty, które mają poznawać

O Saganie większość Amerykanów usłyszała późnym latem 1977 r., gdy z przylądka Canaveral na Florydzie wystartowały dwie bliźniacze sondy kosmiczne Voyager 1 i Voyager 2. Ich celem było zbadanie zewnętrznych planet Układu Słonecznego – Jowisza i Saturna. Próbniki sprawowały się jednak na tyle dobrze, że jeden przeprogramowano później tak, aby przeleciał jeszcze obok Urana i Neptuna.

Sagan, Druyan oraz astronom Frank Drake – autor słynnego równania mającego przybliżyć hipotetyczne prawdopodobieństwo istnienia we Wszechświecie innych cywilizacji – chcieli, aby obok magnetometru czy odbiornika fal plazmowych na sondach umieszczono coś jeszcze: winylową, pozłacaną płytę, na której zapisano zdjęcia, dźwięki i muzykę – swoisty autoportret ludzkości sprzed pół wieku.

– *Carl Sagan zaproponował wyjaśnienie efektu cieplarnianego na Wenus, wytłumaczył zmiany w ubarwieniu powierzchni Marsa, zasugerował, że niektóre księżyce Jowisza i Saturna są częściowo zbudowane z lodu* – wylicza dr Tomasz Rożek, fizyk i popularyzator nauki, prezes fundacji Nauka. To Lubię. – *Były to rewolucyjne odkrycia. Znany jest jednak głównie z działalności popularyzatorskiej – i umieszczonej na Voyagerach „złotej płyty".*

Na płycie zapisano m.in. pozdrowienia w kilkudziesięciu językach („Witajcie, istoty z zaświatów" – mówi polska lektorka), dźwięki burzy, wulkanu i zwierząt. Muzykę Bacha i saharyjskich Tuaregów, odgłosy pulsara i małego dziecka. Zdjęcia przedstawiające ludzi różnych kultur.

Prasa okrzyknęła ją „wiadomością dla innych cywilizacji". Dla Carla Sagana miała być też jednak zapisem niezwykłego momentu w historii ludzkości. „Kilka milionów lat temu nie było ludzi – pisał w towarzyszącej serialowi »Kosmos« książce pod tym samym tytułem. – Kto będzie tu za kilka następnych milionów lat? W trwającej 4,6 mld lat historii naszej planety nie opuścił jej nikt ani nic. Obecnie Układ Słoneczny przemierzają zaś małe bezzałogowe statki badawcze. (...) Jeżeli przetrwamy, nasza epoka zyska sławę z dwóch powodów. Że w tak niebezpiecznym wieku technologicznego dojrzewania zdołaliśmy uniknąć samozagłady. Oraz że właśnie teraz rozpoczęliśmy naszą podróż do gwiazd".

Czas, który nie wróci

Na przełomie lat 1986 i 1987 Sagan wziął udział w protestach przeciw broni nuklearnej w stanie Nevada. Dwukrotnie go aresztowano.

Tomasz Rożek: – *Uważał, że to właśnie broń atomowa może spowodować kres cywilizacji człowieka. Obecnie jest to mniej prawdopodobne niż w latach 80. Ważne jest jednak coś innego: Sagan – naukowiec, który budował najbardziej wtedy zaawansowane sondy kosmiczne – równocześnie apelował: „Uważajcie na nowe technologie".*

– *Myślę, że dziś Carl ostrzegałby nas przed sztuczną inteligencją. Przed „wandalizacją" technologii i oddawaniem jej – podobnie jak badań kosmicznych – w ręce takich ludzi jak Elon Musk* – mówi Ann Druyan. I dodaje, że w obliczu tak ostatecznych dla naszego gatunku zagrożeń jak kryzys klimatyczny czas tracony za sprawą takich polityków jak Trump czy sceptyczny wobec ▶

© SPACE FRONTIERS/GETTY IMAGES

REKLAMA

TERENCE TAO – jeden z najwybitniejszych matematyków naszych czasów i LAUREAT MEDALU FIELDSA – zaprasza nas do podróży przez niesamowity świat matematyki: pełen piękna, kreatywności, niespodziewanych powiązań i zaskakujących pomysłów.



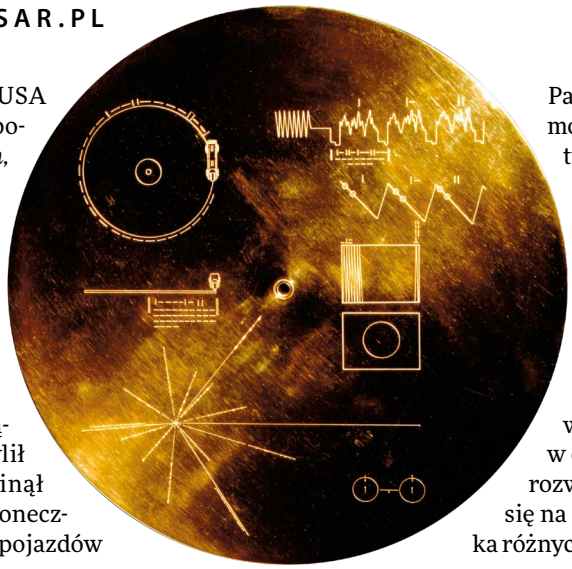
[Czytać tę książkę] to jak oglądać piłkę nożną oczami Messiego – Ben Orlin, autor bestsellera *Math with Bad Drawings*

Mamy ogromne szczęście, że człowiek, który jest być może najwybitniejszym żyjącym matematykiem na świecie, ma również tak niezwykły dar popularyzowania nauki – Brady Haran, twórca kanału Numberphile

przeczytaj fragment

insignis

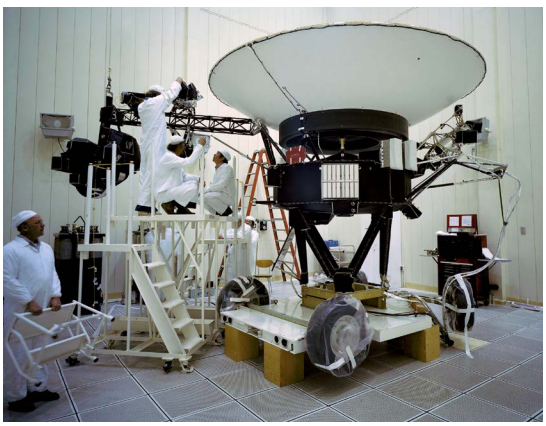
eprasa.pl 3ca6a767od



▶ szczepionek sekretarz zdrowia USA Edward Kennedy, liczy się niejako podwójnie: – *Marzyliśmy z Carlem o tym, aby historycy i politycy zaczęli myśleć w tej samej, wielkiej skali czasu, którą posługują się nauki ścisłe. Nie o kolejnych wyborach. Bardziej o tym, że żyjemy w całkiem szczęśliwym okresie między kolejnymi zlodowaceniami. I że powstrzymanie emisji gazów cieplarnianych naprawdę jest możliwe.*

Gdy w Białym Domu Reagana zastąpił George Bush, a mur berliński chylił się już ku upadkowi, Voyager 2 minął Neptuna, ostatnią planetę Układu Słonecznego. Obie sondy, dziś już o statusie pojazdów międzygwiezdnych, same stały się w pewnym sensie podróżnikami w czasie. Znajdująca się na ich pokładach technologia z połowy lat 70. do dziś umożliwia łączność z Ziemią.

W drugiej połowie lat 80. świadomy swojej popularności Carl Sagan sięgał po tematy uznawane wcześniej za tabu bądź niepoważne, wręcz ośmieszające naukę. Pisał nie tylko o poszukiwaniu inteligentnego życia poza Ziemią, ale i wynikających z dziedzictwa Einsteina pytaniach o naturę czasu i przestrzeni. Poświęcona temu zagadnieniu powieść science fiction „Kontakt" – jedyna fikcja, jaką stworzył – skłoniła znanego fizyka Kipa Thorne'a do wysunięcia hipotezy o mogących się znajdować w pobliżu czarnych dziur tunelach czasoprzestrzennych. W Hollywood książkę wziął na warsztat Robert Zemeckis, reżyser „Forresta Gumpa" i „Powrotu do przyszłości", mistrz filmowych historii o czasie.



Budowa Voyagera 1. U góry: **pozłacana miedziana płyta umieszczona na pokładzie sondy z graficzną instrukcją, jak odtworzyć nagranie, oraz informacją, skąd pochodzi sonda.**

Walka, która się nie kończy

Ann Druyan ucieszył wynik wyborów połówkowych do Kongresu. Mówi, że podobnie jak zmarły przed 30 laty Carl Sagan wciąż wierzy w naukę i demokrację. A o podróży Voyagerów myśli codziennie. Na „złotej płycie" znajduje się zapis jej fal mózgowych w chwili, gdy mąż poprosił ją, by pomyślała, jak to jest być zakochaną.

– *Kiedy w 1977 r., po trudnej erze prezydentów Nixona i Forda, startowały Voyagery, naprawdę czuliśmy, że robimy coś w imieniu całej planety – i dla wszystkich ludzi* – opowiada Druyan. – *Całe zespoły inżynierów wspólnie pracowały po to, by rozszerzyć naszą wiedzę o wszechświecie. Te sondy funkcjonują na wielu poziomach. Nie chodzi wyłącznie o pierwsze przeloty i badania zewnętrznych planet i księżyców. Za rok minie pół wieku od ich startu. W teorii przed Voyagerami jest niekończący się lot. Pomysł, by w tę podróż – czyli właściwie w daleką przyszłość – wysłać zbiorowy portret ludzkości, pokazuje, jak bardzo nauka może być częścią kultury i historii. Jak pięknie może współistnieć z muzyką, emocjami i tym wszystkim, co intymne.*

Patrząc na historię ludzkości, Voyagery można też uznać za pewnego rodzaju „rytuał przejścia". Przecież każda cywilizacja marzyła o odkryciach, o odkryciu sensu i sekretu istnienia. Człowiek dopiero w 1957 r. wysłał na orbitę Sputnika. Już 12 lat później chodził po Księżycu. Teraz organizuje bezzałogowe misje międzyplanetarne. Dla wielu pracujących przy tej misji Voyager pokazuje nasze miejsce we własnej historii. To, jak stroma stała się w ostatnich latach na wykresie naszego rozwoju reprezentująca go linia. A tocząca się na Ziemi od początku trwania misji walka różnych ideologii z nauką – to już dopowiada Ann Druyan – jak bardzo bystry i niemądry zarazem potrafi być człowiek.

Czy Carl Sagan zgodziłby się z historykiem Francisem Fukuyamą, że żyjemy w czasach końca historii? Zapewne nie – człowiek był dla niego tylko mikroskopijną częścią kosmosu. Czy gdyby dziś żył, powtarzałby opinie o erze postprawdy? I to jest wątpliwe. Fakty pozostaną przecież faktami i nie zmienią tego politycy ani media uparcie podtrzymujący, że nie da się ich weryfikować. W swoim stylu, prosto i zwięźle, Sagan nazwał takie kłamstwa „bzdurami".

18 listopada o godz. 11.16 czasu polskiego Voyager 1 – wraz z wymyśloną przez Carla Sagana „złotą płytą" – znalazł się w odległości jednego dnia świetlnego od Ziemi. Dzień świetlny to ok. 26 mld km. Sonda jest więc najdalej znajdującym się obiektem, jaki stworzył człowiek.

Sagan zmarł w 1996 r. Doczekał doniesień o tym, że dzięki międzynarodowemu porozumieniu zahamowano ubytek ozonu w atmosferze. I tego, że AIDS przestało być utożsamiane z wyrokiem śmierci. Nawet efekt cieplarniany wydawał się jeszcze do opanowania.

Kropka, która jest domem

W Stanach Zjednoczonych ukuto później termin „saganizm". Opisuje on rygorystyczną postawę naukową, która łączy się jednak z metafizycznym zachwytem – skalą czasu i przestrzeni, pięknem kosmosu. Jego symbolem jest pewna fotografia.

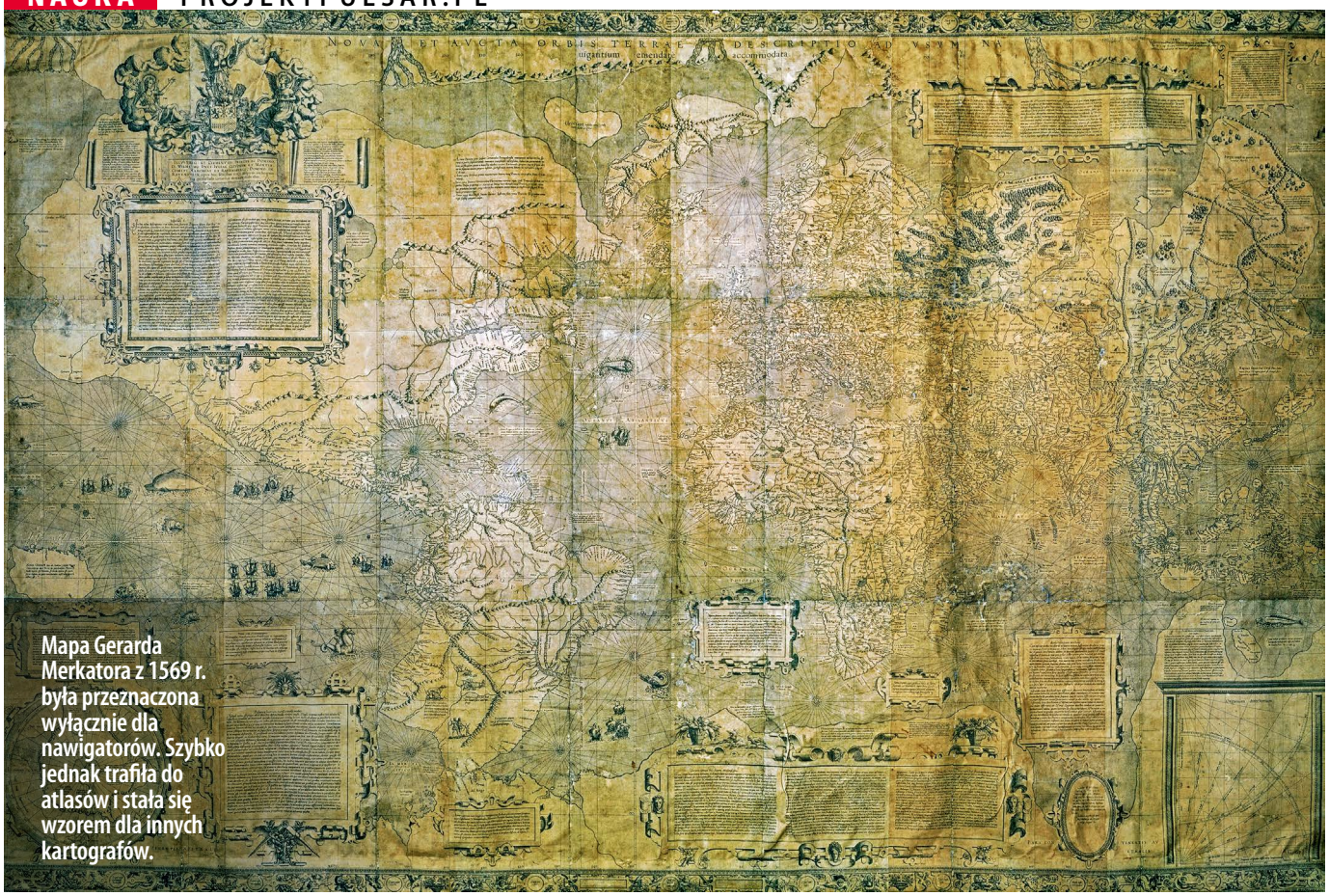
Gdy w 1990 r. Voyager 1 minął orbitę Neptuna, Carl Sagan przekonał sceptyczne kierownictwo NASA, aby sonda na chwilę skierowała obiektyw jednej z kamer w stronę Ziemi. Powstało tak zdjęcie, na którym nasza planeta ma rozmiar kilku pikseli. Zatytułowano je *Pale Blue Dot* – Błękitna kropka.

„Spójrz ponownie na tę kropkę – napisał Sagan w jednej ze swoich ostatnich książek. – To Nasz dom. To my. Na niej wszyscy, których kochasz, których znasz. (...) To suma Naszych radości i smutków".

MARCIN ŻYŁA

© NASA (2)

eprasa.pl 3ca6a7670d



Mapa Gerarda Merkatora z 1569 r. była przeznaczona wyłącznie dla nawigatorów. Szybko jednak trafiła do atlasów i stała się wzorem dla innych kartografów.

Wyrok na Merkatora

ANDRZEJ HOŁDYS

Wypaczony obraz Ziemi, wykreowany w XVI w. przez flamandzkiego kartografa, utrwalał kolonialny obraz świata. I za to właśnie ONZ postanowiła się z nim rozprawić.

Gerard Merkator w 1569 r. stworzył arcydzieło. Miało rozmiary 202 x 102 cm i nie zmieściłoby się do żadnego atlasu. Był to miedzioryt zatytułowany „Nova et aucta terrae descriptio ad usum navigantium emendate accommodata" („Nowe i obszerniejsze opisanie świata dla nawigatorów"). Własne odwzorowanie kartograficzne flamandzkiego matematyka i geografa, którego celem było takie przeniesienie trójwymiarowej kuli ziemskiej – czy raczej jej obrazu – na płaską powierzchnię, by żeglarze mogli na nim wyrysować prostą linię wyznaczającą drogę do celu – tzw. loksodromę. Nie najkrótszą, ale najłatwiejszą do wyznaczenia, ponieważ przecina południki i równoleżniki pod tym samym kątem.

Pomysł był w swojej prostocie genialny. Na tej mapie można błyskawicznie odnaleźć współrzędne geograficzne danego punktu oraz wyznaczać kierunek drogi względem bieguna północnego (z uwzględnieniem korekt wprowadzonych później, ponieważ dwa ziemskie bieguny – geograficzny i magnetyczny – nie pokrywają się ze sobą). Wyznaczanie takich kierunków, czyli azymutów, było jednym z obowiązków nawigatorów i dowódców podczas rejsów. Nic dziwnego, że taka wiernokątna mapa zaczęła się cieszyć olbrzymią popularnością. Jej skala była oczywiście za mała, by nadawała się do użytku w jakimś konkretnym rejonie świata, ale błyskawicznie stała się wzorcem, na podstawie którego zaczęto tworzyć bardziej szczegółowe mapy. W XVII w. stały się one standardem w nawigacji. I właściwie są nim do dziś wszędzie tam, gdzie liczą się kierunek do celu i czas dotarcia do niego.

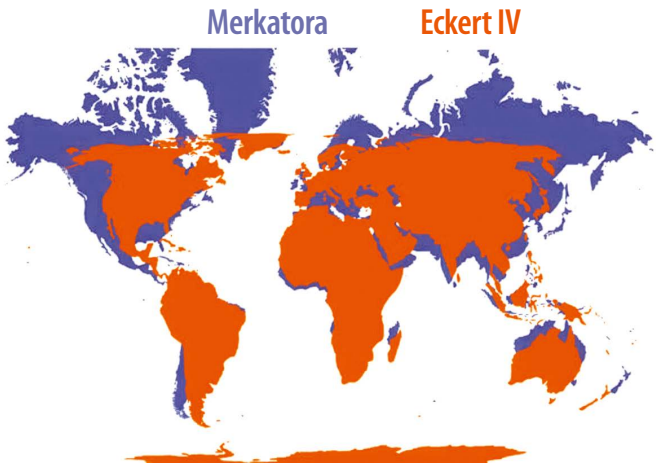
Aby jednak uzyskać efekt wiernokątności, Merkator dokonał zafałszowania. Na kuli ziemskiej najdłuższym równoleżnikiem jest równik (w przybliżeniu ok. 40 tys. km). Pozostałe równoleżniki są tym krótsze, im bardziej zbliżają się do biegunów. Merkator wszystkie wydłużył, zrównując z równikiem. Bieguny geograficzne, które są przecież punktami, stały się liniami, a lądy położone z dala od równika znacznie urosły względem tych w strefie tropikalnej. Im bliżej bieguna się znajdowały, tym bardziej zostały nadmuchane. Europa dorównała wielkością Afryce, a Skandynawia stała się większa od Indii. Z kolei na półkuli południowej Terra Australis – wielki podbiegunowy ląd naniesiony na mapy przez Ptolemeusza w II w. i wymazany z nich dopiero w XIX w. – urosła u Merkatora do takich rozmiarów, że odciął kawałek globu, darując sobie nanoszenie wielkiej białej plamy w dolnej ▶

© DEA PICTURE LIBRARY/DE AGOSTINI/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3ca6a7670d



Wiernopowierzchniowa mapa Equal Earth, propagowana m.in. przez Unię Afrykańską. Poniżej: **projekt Maxa Eckerta z 1906 r., poparty we wrześniu tego roku przez rząd Francji.**



▶ części mapy. W rezultacie północna połówka globu jest u niego wyraźnie większa od południowej.

Wszystko to miało dla Flamanda znaczenie drugorzędne. Liczyła się tylko łatwość nawigacji, co podkreślił w tytule. Tyle że jego dzieło zaczęło żyć własnym życiem. Mapy świata w odwzorowaniu mistrza wieszano na ścianach i umieszczano w atlasach.

Kolumb w ułudzie

Średniowieczna mentalna mapa globu stopniowo odchodziła za sprawą żeglarzy oraz poprzedników Merkatora z przełomu XV i XVI w. A było ich wielu. Dwa lata przed pierwszą wyprawą Krzysztofa Kolumba w 1492 r. niemiecki kartograf Martellus przedstawił mapę, na której rozciągnął równoleżnikowo Azję, jakby była z plasteliny, i przeniósł jeszcze dalej na wschód wyspę Cipangu (Japonię). W tej wersji świata Atlantyk jest niezbyt szerokim oceanem oddzielającym Europę od wyśnionych krain Dalekiego Wschodu. Kolumb dał się uwieść temu obrazowi świata i popłynął na zachód. Można powiedzieć, że era odkryć geograficznych rozpoczęła się od ułudy, której najpierw ulegli kartografowie, a potem wierzący im żeglarze. Kolumb natrafiał na nowe lądy niemal dokładnie w miejscach wskazanych przez Martellusa. Tyle że to nie były te lądy.

Jako pierwszy podejrzeń nabrał kartograf Amerigo Vespucci, który na przełomie XV i XVI w. kilka razy wyprawił się za Atlantyk. Doszedł do wniosku, że odnalazł jakiś duży nieznany ląd. W 1507 r. kartograf Martin Waldseemüller naniósł go na swojej mapie świata. Nadał mu nazwę „America" na cześć Vespucciego, a za nim umieścił morze, wykazując się intuicją i śmiałością. Wówczas bowiem uważano, że Kolumb dotarł do Azji od drugiej strony. Kartograf sugerował zaś coś innego: na jego mapie świat znacznie się powiększył – o nowy ląd i schowane za nim nowe morze. Sześć lat później zobaczyli je pierwsi Europejczycy. Byli to konkwistadorzy, którzy przebyli Przesmyk Panamski. Dowodził nimi Vasco Núñez de Balboa, a towarzyszył mu Francisco Pizarro, późniejszy pogromca imperium Inków.

Nie wiedziano jednak, jakie są rozmiary tego morza nazwanego przez Hiszpanów „południowym". Gdy w 1519 r. Ferdynand Magellan wyruszał w podróż dookoła świata, zakładał, że pokonanie tego akwenu zajmie mu parę dni. A płynął ponad trzy miesiące. Sam zginął, ale część jego żeglarzy powróciła do Hiszpanii. Na podstawie ich relacji kolejny sławny kartograf – Diogo Ribeiro – stworzył w 1529 r. wspaniałą „Carta Universal", na której pierwszy raz pokazano olbrzymi Pacyfik, zajmujący mniej więcej jedną trzecią mapy, tak jak na to zasługuje.

Północ z otyłością

Nowa mentalna mapa globu, która utrwaliła się w głowach Europejczyków na setki lat, także nie była wolna od zafałszowań. Przyczynił się do tego w dużym stopniu Merkator. Dlaczego właśnie jego dzieło zyskało taką popularność? Cóż, Hiszpanie nie zamierzali dzielić się z nikim wiedzą geograficzną. Oryginały map trzymali pod kluczem w Sewilli, a kopie udostępniali jedynie swoim żeglarzom i sporadycznie obdarowywali nimi zaprzyjaźnionych władców. Tymczasem mapa Merkatora była powszechnie znana. Założone przez niego wydawnictwo sprzedawało jej odbitki drukowane z miedzianych matryc. Niestety, tylko kilka z nich przetrwało do naszych czasów.

Ironia losu polega na tym, że Flamand miał w swojej ojczyźnie wielkiego konkurenta Abrahama Orteliusa, twórcę wielu doskonałych atlasów i map świata. Ostatecznie jednak to Merkator wygrał w Europie pojedynek na kartograficzną wizję świata.

Przekonanie, że kraje strefy tropikalnej są znacznie mniejsze niż w rzeczywistości, za to lądy w umiarkowanych szerokościach geograficznych są o wiele większe, miało swoje konsekwencje polityczne. Brytyjczycy snujący plany skolonizowania Indii na początku XVIII w. mogli sądzić, że nie jest to znowu taki wielki kraj. Także Afryka i Brazylia nie prezentowały się aż tak imponująco w oczach Portugalczyków. Dominowało przeświadczenie, że Północ jest generalnie większa (a zatem ważniejsza) od Południa. Na usprawiedliwienie powiedzmy, że rzeczywistych rozmiarów kontynentów i państw wtedy jeszcze nie znano. Dopiero koniec XVIII w. i początek XIX w. przyniosły ze sobą nowinkę w postaci wielkich sieci triangulacyjnych obejmujących całe kraje.

Dziś oczywiście nie brakuje innych wersji świata, ale żadne odwzorowanie nie będzie doskonałe, bo Ziemia jest kulą (nieco

eprasa.pl 3ca6a7670d

spłaszczoną na biegunach), a mapa – kartką. Spróbujcie nadmuchać balon i naszkicować na nim kontynenty, a następnie spuścić z niego powietrze i rozłożyć na stole. No właśnie... Mapy świata zawsze będą tylko jego przybliżonym obrazem. Ich twórcy mogą dziś wybierać między setkami odwzorowań, choć w praktyce wykorzystują kilkadziesiąt. Jedne dochowują wierności powierzchniom, inne – kątom, jeszcze inne – odległościom, a i to nie wszystkim. Żadne nie potrafi wszystkiego naraz. Fałsz jest zatem nieunikniony.

W 1973 r. pojawił się wreszcie pomysł radykalnej rozprawy z postkolonialnym dziedzictwem Merkatora. Wówczas to swoją mapę świata przedstawił niemiecki filmowiec i artysta Arno Peters. W rzeczywistości sięgnął po dzieło XIX-wiecznego szkockiego księdza i astronoma Jamesa Galla. Afryka, Ameryka Południowa i Australia są tu nieproporcjonalnie długie. Z kolei regiony podbiegunowe zostały mocno rozciągnięte równoleżnikowo.

Chociaż mapa Galla-Petersa – jak ją zaczęto nazywać – przypomina raczej karykaturę świata, nieoczekiwanie zrobiła sporą karierę, bo wiernie pokazuje rozmiary lądów i państw. Równocześnie Peters wytoczył ciężkie działa przeciw zachodniej kartografii, uznając ją za „imperialną", „niesprawiedliwą" i „europocentryczną. Swoje dzieło określał jako jedyne obiektywne i egalitarne. Poprawna politycznie mapa Galla-Petersa zaczęła być promowana m.in. przez UNESCO i wprowadzana do szkół w niektórych krajach. Korzysta z niej wiele organizacji humanitarnych.

Kartografowie jej jednak nie lubią. Nie przepadają też za mapą Merkatora, wciąż używaną m.in. przez Google Maps – kto stamtąd czerpie wiedzę o wielkości kontynentów, nadal będzie uważał, że Grenlandia ma rozmiary Afryki, chociaż jest mniejsza od Algierii, największego afrykańskiego państwa. Jakie może być trzecie wyjście? Trzeba znaleźć taki sposób, żeby skala zniekształceń była jak najmniejsza. Dlatego kartografowie często wybierają odwzorowania, które zafałszowują wszystko po trochu: powierzchnie, kąty (kształty) i dystanse. Nic tu nie jest prawdziwe, ale całość jest dość bliska rzeczywistości.

Kampania z sukcesem

Na początku lat 60. XX w. Arthur H. Robinson z University of Wisconsin–Madison zaproponował mapę, na której równoleżniki nadal przebiegają poziomo, jak u Merkatora i Galla-Petersa, ale południki zakrzywiają się łagodnie, tworząc łuki przecinające się z południkami pod zmiennymi kątami. Takie odwzorowanie, zwane pseudowalcowym, wymyślono już wcześniej, ale Robinsonowi udało się wyjątkowo dobrze zachować kształty i rozmiary kontynentów, choć nie oddaje wiernie powierzchni lądów.

W 2008 r. Tom Patterson z US National Park Service przedstawił mapę Natural Earth. Przypominała dzieło Robinsona, ale łuki południków były nieco łagodniejsze. W 2018 r. Patterson oraz Bernhard Jenny z politechniki ETH w Zurychu i Bojan Šavrič z Univerza v Ljubljani opublikowali wiernopowierzchniową mapę Equal Earth. Jako jeden z pierwszych sięgnął po nią NASA Goddard Institute for Space Studies, przedstawiając rozkład temperatur na Ziemi. Później zaczęły z niej korzystać internetowe bazy danych kartograficznych, a w 2025 r. ruszyła wspierana przez Unię Afrykańską kampania na rzecz jej wprowadzenia do szkół, instytucji i organizacji. Pomysł podchwyciło Zgromadzenie Ogólne ONZ. We wrześniu przyjęło rezolucję „Poprawić mapę", popartą przez 164 państwa, Dokument nie jest wiążący, ale wskazuje drogę. Bez mapy Merkatora w ręku.

ANDRZEJ HOŁDYS

© TOM PATTERSON, MINISTERSTWO EUROPY I SPRAW ZAGRANICZNYCH

REKLAMA

10

Śląski Festiwal Nauki Katowice

Inteligencje

5–7 grudnia 2026 | MCK Katowice

www.slaskifestiwalnauki.pl

Czy **życie bez mózgu** może być *inteligentne?*

Jak **taniec** ludowy **zapisuje** *inteligencję pokoleń?*

Czy **AI diagnozuje szybciej** niż *lekarz?*

Czy **Twój kot** jest *ekstrawertyczny?*

Czy **roboty mogą czytać** *nasze myśli?*

eprasa.pl/3ea6a7670d

Nowoczesna chemia to klocki Lego

Jak się tworzy molekularne roboty? Co można zrobić w zwykłej wodzie? I dlaczego warto być chemikiem? Odpowiada prof. Morten Meldal, duński laureat Nagrody Nobla, którą otrzymał za stworzenie chemii kliknięć.

Wizyta prof. Mortena Meldala odbyła się w ramach Nobel Prize Inspiration Initiative, wieloletniego programu realizowanego przez Nobel Prize Outreach i AstraZeneca. Jest to międzynarodowy program, dzięki któremu laureaci Nagrody Nobla mogą dzielić się inspirującymi historiami i spostrzeżeniami ze środowiskiem akademickim, a zwłaszcza z młodymi badaczami i studentami.

„Nagroda zostaje przyznana za genialne narzędzie do budowy nowych molekuł" – mówił w 2022 r. Hans Ellegren z Królewskiej Szwedzkiej Akademii Nauk. Na czym polega innowacyjność pana metody syntezy cząsteczek?

Przez lata chemicy poświęcali mnóstwo czasu na tworzenie cząsteczek, które dziś stosujemy jako leki. Stawały się one coraz bardziej złożone, co ma związek z ich selektywnością: bardziej skomplikowana struktura daje większą szansę na precyzyjne oddziaływanie np. z konkretnym receptorem.

Synteza takich związków wymagała ogromnego nakładu pracy. I tu z pomocą przychodzi chemia kliknięć: pozwala selektywnie i wydajnie łączyć np. substancje lecznicze czy cząsteczki wykazujące powinowactwo do konkretnych receptorów. A nawet dwie odrębne funkcje, które działają niezależnie! Możemy niczym z klocków Lego budować „molekularne roboty", zdolne do zwalczania chorób w zupełnie nowy sposób.

Co to oznacza dla leczenia nowotworów?

Możemy umieścić jeden z elementów układu typu „klik" na przeciwciele, które selektywnie rozpoznaje komórki nowotworowe. Następnie wprowadzamy drugi, który reaguje z tym pierwszym – już przyłączonym do komórki za pośrednictwem przeciwciała – uwalniając lek cytotoksyczny w bezpośrednim sąsiedztwie guza.

Tworzymy cząsteczki wielofunkcyjne. Jedna z ich funkcji może polegać na rozpoznawaniu określonego typu komórek lub konkretnego miejsca w obrębie guza. Kolejna – na transporcie cząsteczek do wnętrza komórki nowotworowej. A trzecia – na uwalnianiu cytotoksyny, która selektywnie ją eliminuje. Substancja aktywna uwalniana jest tylko wtedy, gdy cząsteczka połączy się z celem występującym na komórkach nowotworowych. Taka terapia prawdopodobnie niemal całkowicie eliminuje skutki uboczne.

Łatwość syntezy pozwoli robić to na bardzo dużą skalę, co czyni tę metodę korzystną finansowo. Pracujemy nad tym, podobnie jak wiele innych osób na świecie. Mam nadzieję, że to zadziała. Prawdopodobnie jednak minie 10–20 lat, zanim leki tego typu trafią do pacjentów.

Leki to najważniejszy obszar wykorzystania chemii kliknięć. Istnieją inne?

Znam zespoły pracujące nad samonaprawiającymi się powłokami malarskimi – na przykład do samolotów – wykorzystującymi takie reakcje. W razie powstania pęknięcia materiał nie ulega korozji, lecz sam ją zwalcza. Kolejnym obszarem jest nanotechnologia. Reakcje „klik" służą do tworzenia funkcjonalnych nanostruktur – nanocząstek czy nanowłókien.

Wykorzystujemy jednak chemię kliknięć także w inny sposób. Wyobraźmy sobie długi, wiotki łańcuch – na przykład peptyd przypominający sznurowadło – który swobodnie się porusza i wygina. Jeśli połączymy go w kilku miejscach, uzyskamy strukturę znacznie stabilniejszą.

W ten sposób stabilizujemy konkretne struktury białek, które sami projektujemy. W chemii wszystko opiera się na statystyce. Jeśli tylko niewielki ułamek cząsteczek białka przyjmuje aktywną konformację, tracimy ogromną część potencjalnej aktywności. Kontrolując strukturę, możemy uzyskać znacznie większą skuteczność.

Skąd dana cząsteczka „wie", że ma połączyć się z tą, a nie z inną?

Przypomina to zasadę klucza i zamka. Tworzy się cząsteczkę o powierzchni idealnie pasującej do powierzchni docelowego białka, przy czym w miejscach styku występują przeciwstawne gęstości ładunku.

Jeśli w danym punkcie jednej powierzchni gęstość elektronów jest niska, w odpowiadającym mu miejscu drugiej powinna być wysoka. I odwrotnie. Ładunki dodatnie przyciągają ujemne. Potrafimy już precyzyjnie obliczyć rozkład ładunku na powierzchni. Kluczowe znaczenie mają zatem zarówno sposób, w jaki powierzchnie do siebie przylegają, jak i komplementarność ładunków. Na tym polega cały sekret.

Czy AlphaFold – system AI, za który Nobla w 2024 r. dostali Demis Hassabis i John M. Jumper – może pomóc w projektowaniu cząsteczek?

Owszem. Często z niego korzystamy do generowania struktur naturalnych białek, określania stopnia ich uporządkowania oraz identyfikowania miejsc, w których można zaprojektować cząsteczki oddziałujące z białkami o nieznanej strukturze. Mimo to wolę mieć w ręku strukturę krystaliczną białka. AlphaFold dobrze

eprasa.pl 3ca6a7670d



odwzorowuje jego ogólne zwinięcie, ale nie zawsze precyzyjnie rozmieszcza poszczególne elementy struktury. A jedna zmiana wystarczy, żeby całkowicie zmieniły się powierzchnia cząsteczki, sposób jej oddziaływania oraz podejście do projektowania. Czy cała struktura jest poprawna? Nie mam pewności.

Słowem, to niezwykłe osiągnięcie, ale nie jest doskonałe. Nie pozwala nam zajrzeć w sam proces zwijania się białka. Otrzymujemy jedynie wyniki. W jaki sposób program do nich dochodzi, pozostaje tajemnicą.

Na jakie potrzeby odpowiada chemia minimalistyczna?

Umożliwia prowadzenie zrównoważonych procesów chemicznych. Łączymy dwie cząsteczki, zamiast prowadzić syntezę od początku do końca. Ograniczamy zużycie rozpuszczalników oraz ilość zanieczyszczeń powstających przy wytwarzaniu związków farmakologicznie czynnych.

Opracowaliśmy też metodę syntezy peptydów w wodzie. Planuję całkowicie przekształcić tę dziedzinę chemii, opracowując nową, zrównoważoną metodę syntezy peptydów.

Tegoroczne Noble z fizjologii lub medycyny, chemii i fizyki przyznano za badania podstawowe. Czy w świecie nastawionym na szybkie cele komercyjne jest jeszcze na nie miejsce?

Wszystko, co w naszym społeczeństwie przedstawia wartość, ma źródło w badaniach podstawowych. Absolutnie wszystko.

I przecież Noble przyznawane są w zasadzie za odkrycia nowych zjawisk. Owszem, odkrycia znajdują później praktyczne zastosowanie, ale to program badań podstawowych zostaje uhonorowany. Czy mowa o chemii kliknięć, czy o penicylinie – mamy do czynienia z zaobserwowaniem czegoś nieoczekiwanego. To daje początek nowej dziedzinie badań i całemu wachlarzowi zastosowań. Powiem więcej: w kontekście Nobla kwestia praktycznego zastosowania jest nieistotna. Najpierw trzeba coś zrozumieć, a dopiero potem podjąć działanie.

A co pan chce jeszcze zrozumieć w chemii?

Bardzo wiele rzeczy. Chciałbym poczynić postępy w zrównoważonym rozwoju w obszarach: tworzyw sztucznych, polimerów, paliw kopalnych oraz katalizatorów, które można wykorzystać w cyklu energetycznym.

Weźmy katalizatory zdolne do bezpośredniego wychwytywania fotonów światła, koncentrowania energii i rozbijania wody na tlen i wodór – bez elektrolizy. Byłoby to niezwykle użyteczne. Rozdzielenie tlenu od wodoru, a następnie wykorzystanie tego drugiego do katalitycznej produkcji metanolu – paliwa zrównoważonego – stanowiłoby ogromny krok naprzód. Zapewniłoby alternatywne źródło energii, tworząc gospodarkę o obiegu zamkniętym, w której do atmosfery nie trafia dwutlenek węgla. Obecny zwrot ku paliwom kopalnym prowadzi do katastrofy. Krótkoterminowe zyski finansowe czy korzyści polityczne tracą na znaczeniu, jeśli spojrzymy na ogromne szkody, jakie takie działania wyrządzają klimatowi.

Globalne ocieplenie stanowi największy kryzys egzystencjalny, z jakim kiedykolwiek przyszło się zmierzyć ludzkości. Nie chodzi tylko o pieniądze, lecz o podstawy naszego bytu: możliwość uprawy roślin, miejsce do życia, dostęp do świeżej wody czy zdrowie. W ciągu najbliższych 30–40 lat wiele aspektów naszego życia zmieni się na gorsze, a my wciąż robimy zbyt mało, by temu przeciwdziałać.

Co powiedziałby pan młodym ludziom, którzy rozważają studiowanie pana dziedziny?

Że nie można dokonać lepszego wyboru. Jako chemicy mieliby mnóstwo pracy, bo właśnie w tej nauce musimy szukać rozwiązań naszych problemów.

Weźmy ubiegłoroczną Nagrodę Nobla dla Omara Yaghiego za MOF, czyli struktury metaloorganiczne. Omar zajmuje się także produkcją COF, czyli kowalencyjnych szkieletów organicznych – na wielką skalę. Wykorzystuje ogromne zbiorniki z tymi krystalicznymi materiałami porowatymi, przez które przepuszcza się powietrze. COF wychwytują CO_2, a następnie – po podgrzaniu – go uwalniają. Dzięki temu można go skoncentrować.

Obliczono, że gdyby każde duże miasto zainwestowało w taką instalację – a mowa o naprawdę potężnych systemach – moglibyśmy utrzymać obecny poziom CO_2, nawet przy dalszym zużyciu paliw kopalnych. Jeśli zaś ograniczymy ich wykorzystanie, będziemy mogli doprowadzić do spadku stężenia CO_2 do poziomu akceptowalnego dla klimatu. Jest to możliwe, ale wymaga właściwych decyzji politycznych. I będzie kosztowne – każdy odczuje to w swoim portfelu.

Takie rozwiązanie nie jest popularne, dlatego potrzebna jest edukacja, dzięki której młodzi ludzie zrozumieją, jak ważne jest dokonywanie właściwych wyborów. Naprawdę, chemia może nas wszystkich uratować.

Rozmawiała
Margit Kossobudzka-Lipińska

Morten Meldal, duński chemik, profesor na Wydziale Chemii Uniwersytetu Kopenhaskiego, kierownik Center for Evolutionary Chemical Biology. W 2022 r. otrzymał (wspólnie z Carolyn Bertozzi i Barrym Sharplessem) Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za rozwój chemii „click", umożliwiającej szybkie i efektywne łączenie cząsteczek, oraz chemii bioortogonalnej.

© MICHAŁ TEPEREK

Materiał powstał we współpracy z AstraZeneca

eprasa.pl 3ca6a7670d



Przystań nad Amurem w Błagowieszczeńsku w 1909 r.

Fale w kolorze

Rosjanie i Chińczycy zamiatają pod dywan niewygodną historię w imię

ALEKSANDER R. MICHALAK

Amur nosi w Chinach nazwę Rzeki Czarnego Smoka. Jej ciemnym falom w 1909 r. rosyjski kompozytor poświęcił słynnego nostalgicznego walca. Jego melodia stała się później muzycznym symbolem rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Zaledwie kilka lat przed skomponowaniem tej muzyki w falach rzeki śmierć znalazły tysiące Chińczyków wpędzonych do niej siłą przez Rosjan.

Oficjalnie znakomicie

Obserwując obecne stosunki Rosji i Chin, można odnieść wrażenie, że są więcej niż dobre. W tym roku minęło 25 lat od podpisania pomiędzy nimi Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Władimir Putin i Xi Jinping określają swój sojusz jako „niezniszczalny". Analitycy często wspominają jednak, że Chiny są w tym związku stroną silniejszą, że Rosja staje się państwem klienckim i prawdopodobnie w przyszłości przypadnie jej rola wasala, a mieszkańcy Państwa Środka skolonizują Syberię.

Cokolwiek w przyszłości się zdarzy, obecnie nie jest interesem ChRL ani Rosji przypominać niewygodną przeszłość. Co więcej, w Rosji funkcjonuje mit unikatowych, przyjacielskich historycznych relacji między ich krajem a Państwem Środka. Owszem, w Moskwie pewne wzburzenie wywołała wydana w Chinach mapa, na której podano m.in. chińską nazwę Władywostoku oraz innych pobliskich miejscowości. W 2025 r. wyciekł raport FSB, który wskazywał, że Rosja traktuje Chiny jako poważne zagrożenie w regionie Syberii. Jednak oficjalnie relacje są znakomite.

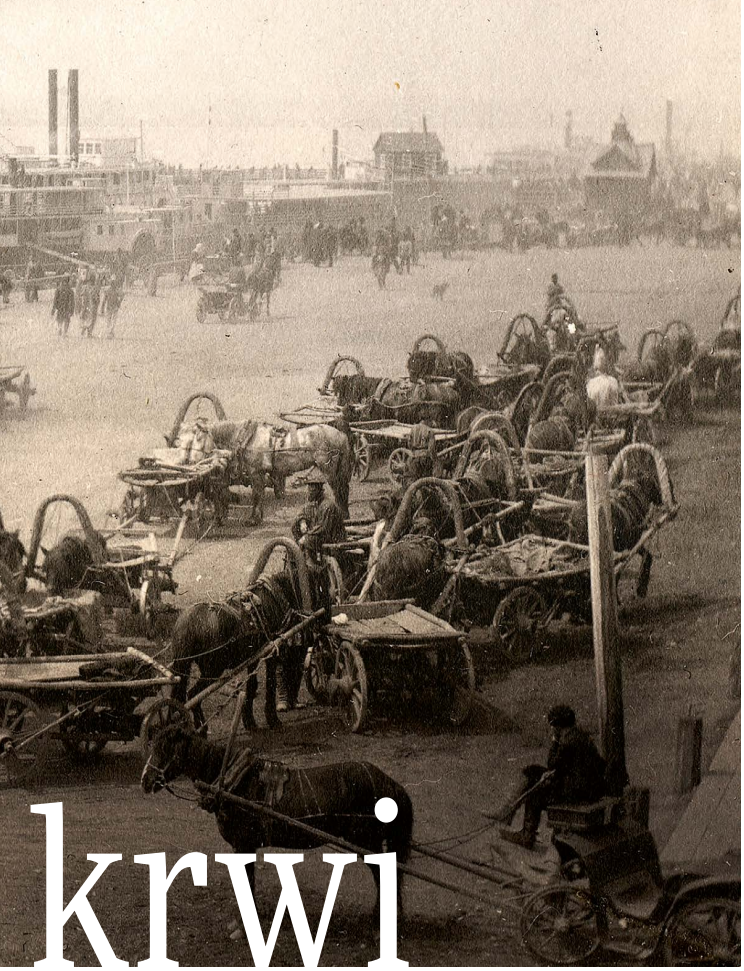
O trudnej przeszłości przypominał już wcześniej tajwański prezydent Lai Ching-te. Polityk ten oświadczył, że jeśli Chińska Republika Ludowa domaga się wyspy Tajwan jako integralnej części swojego terytorium, to powinna również odzyskać olbrzymie terytoria utracone w XIX w. na rzecz Rosji. Rosja jest bowiem jedynym państwem, które wciąż posiada chińskie ziemie uzyskane na mocy tzw. traktatów nierównoprawnych. W ludowych Chinach o dawnych terytoriach zdają się pamiętać tylko skrajni nacjonaliści, natomiast Republika Chińska (Tajwan) głośno podkreśla prawo do tych ziem i nadal pojawiają się one na mapach Chin wydawanych w Tajpej.

Traktat nierównoprawny

Rosyjski Błagowieszczeńsk, stolica obwodu amurskiego, oraz chińskie miasto Heihe są bliskie jak Zgorzelec i Görlitz. Można pomiędzy nimi podróżować bez konieczności posiadania wizy. Trwają zaawansowane prace nad mającą je połączyć kolejką linową. Rosjanie studiują i osiedlają się w Heihe, a Chińczycy chętnie zamieszkują i uczą się po rosyjskiej stronie. W przeszłości, nie tak różowej, po stronie chińskiej podpisano traktat, dzięki któremu Rosja zagarnęła wielki obszar cesarskich Chin. A w Błagowieszczeńsku rozpoczęła się masakra, w której zamordowano co najmniej kilka tysięcy Chińczyków.

© HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES, DP

eprasa.pl 3ca6a7670d



krwi

obecnej dobrej współpracy.



Zdjęcie wykonane podczas pogromu Chińczyków w Błagowieszczeńsku, 1900 r.

Rosja od czasów Katarzyny Wielkiej pragnęła osadzić się mocno nad Pacyfikiem. Jej zainteresowanie budziła więc rzeka Amur, którą można było dotrzeć aż do Morza Ochockiego.

W drugiej połowie XIX w. Chiny ponosiły klęski w drugiej wojnie opiumowej i Petersburg skorzystał z tej szansy – zagarnął część ich terytorium, tzw. Mandżurię Zewnętrzną. Te uzyskane bez walki zdobycze zostały zatwierdzone na mocy traktatu w Ajgun w 1858 r. oraz późniejszej o dwa lata konwencji pekińskiej. Na mocy tej ostatniej Rosja zyskała jeszcze dalsze terytoria Kraju Nadmorskiego i Kraju Ussuryjskiego. W rezultacie Chiny dynastii Qing utraciły na rzecz Rosji ponad milion kilometrów kwadratowych.

Nowa granica pomiędzy cesarstwami przebiegała na rzece Amur, która miała pozostać dostępna dla żeglugi obu krajów. Ta wodna granica była, nomen omen, płynna, bo koryto rzeki ulegało zmianom, a wyspy na rzece pojawiały się i znikały w zależności od poziomu wód.

Po stronie rosyjskiej pozostały duże skupiska ludności chińskiej, a także Mandżurów i Dagurów. Pod koniec XIX w. było to kilkanaście tysięcy ludzi w 64 wsiach. Mimo że leżały one w części rosyjskiej, ich mieszkańcy na mocy traktatów podlegali administracji Chin.

Zyskane przez Rosję olbrzymie połacie dalekowschodnich ziem były w dużej mierze dzikie i rzadko zamieszkane przez ludzi. Gęsta tajga stanowiła siedlisko zwierząt cenionych dla futer, jak tygrysy, pantery czy najbardziej wartościowe sobole. Myśliwi i handlarze spotykali się w tajdze, aby dokonywać transakcji. W samym Amurze nie brakowało słynnej kaługi, łososi i wielu endemicznych gatunków. Był to także region, gdzie roiło się od rozmaitych band chętnie atakujących kupców.

Ponieważ ani Chiny, ani Rosja nie znały wystarczająco terenu Zewnętrznej Mandżurii, niezbędne okazało się wyrysowanie map, aby bardziej precyzyjnie wyznaczyć terytorium. Począwszy od 1860 r., wyruszyło kilkadziesiąt rosyjskich wypraw naukowych badających topografię, klimat i zbierających informacje etnograficzne.

Chińczycy jak Żydzi

W ciągu dwóch dekad rosyjskiego panowania rozwinęły się miasta Błagowieszczeńsk, Chabarowsk i Władywostok. Poza nimi rosyjska kolonizacja nie należała do imponujących. Przybrała na sile, kiedy budowano Kolej Transsyberyjską, ale nawet wtedy nie osiągnęła oczekiwanych rozmiarów. Rozbudowa południowej odnogi kolei (Wschodniochińskiej), strategicznego skrótu do Pacyfiku, wymagała zatrudniania chińskich robotników i wojskowej ochrony. Było to kosztowne dla państwa, ale carowi Mikołajowi II marzyła się rosyjska potęga na Dalekim Wschodzie.

W regionie Zewnętrznej Mandżurii powstała sieć posterunków kozackich. Błagowieszczeńsk stał się przez pewien okres centrum gorączki złota. Poszukiwania cennego kruszcu przeprowadzano półamatorsko, bez zaangażowania większych środków. Ubóstwo i zacofanie regionu sprawiały, że był on zależny od chińskich robotników i kupców, a strefa przygraniczna – bezcłowa.

Relacje pomiędzy Rosjanami i Chińczykami opierały się na wzajemnych interesach, ale poza tym obie grupy nie były sobą zainteresowane. Wyjątek stanowił Ji Fengtai, chiński kupiec, naturalizowany Rosjanin z Chabarowska. Zorganizował on wyprawę handlową parowcem w górę rzeki Sungari. Celem ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ było wspieranie rosyjskich interesów handlowych w Mandżurii. Parowiec powrócił wraz z barką oraz chińskimi dżonkami załadowanymi bydłem, zbożem, wełną i tytoniem, co zachęciło do podobnych działań innych rosyjskich kupców. Ci ostatni coraz niechętniej patrzyli na chińskich konkurentów.

W latach 80. XIX w. władze rosyjskie przyznały sobie prawo kontroli Chińczyków i Koreańczyków – żądały od nich paszportów, pozwoleń na pracę i podatków. Wraz z dążeniem do większej rusyfikacji terenów Dalekiego Wschodu zaczęła się pojawiać nacjonalistyczna, antychińska retoryka. Mikołaj II mówił z patosem o rosyjskich twierdzach, które mają strzec cesarstwa przed zalewem żółtej rasy. Chińczyków zaczęto porównywać do Żydów, a był to okres, kiedy w cesarstwie trwały pogromy tych ostatnich.

W 1900 r. w Chinach wybuchło powstanie bokserów, przejaw sprzeciwu wobec zachodnich ingerencji w sprawy Państwa Środka. Bokserzy zaatakowali m.in. rosyjskich pracowników Kolei Wschodniochińskiej. W rezultacie na różnych odcinkach doszło do starć pomiędzy Chińczykami a Rosjanami oraz ataków na parowce. 2 lipca bokserzy ostrzelali miasto Błagowieszczeńsk, które w tym czasie oprócz Rosjan zamieszkiwało kilka tysięcy Chińczyków. Obawiając się, że staną się oni piątą kolumną (krążyły plotki o ich zamiarze podpalenia miasta), 16 lipca rosyjski gubernator regionu Gribski zdecydował się ich wysiedlić.

Czystka etniczna

Czy pierwotnym celem rosyjskich władz była eksterminacja Chińczyków? Zdania historyków są podzielone, ale wybór ustronnego miejsca przemawia za tym, że od początku liczono się z taką możliwością. Gubernator zapowiedział: „Imię Kozaków Amurskich będzie rozbrzmiewało w całej Mandżurii i wzbudzało postrach wśród ludności chińskiej". Jeden z najwyższych rangą wojskowych oznajmił, że nie stanie się nic wielkiego, jeśli wszyscy Chińczycy po rosyjskiej stronie Amuru zostaną zabici.

Podczas wyprowadzania z miasta poddani dynastii Qing, wśród których były również kobiety i dzieci, byli lżeni przez rosyjskich mieszkańców. Chińczyków zapędzono 10 km od Błagowieszczeńska. Tam wedle niektórych relacji zażądano dla nich łodzi od miejscowego Kozaka, sołtysa. Urzędnik miał odmówić, argumentując, że Chińczycy mogą je wykorzystać, żeby przepłynąć z powrotem i zaatakować posterunki. Ludności chińskiej kazano więc udać się na drugą stronę wpław. Większość nie potrafiła pływać, nie na tyle, żeby przebyć szeroką rzekę z bystrym nurtem. Wchodzących do wody przynaglano, strzelając w powietrze i chłoszcząc batem. Maruderów mordowano. Zastraszano tych Rosjan, którzy nie chcieli przyłożyć ręki do masakry. Z ok. 3,5 tys. wepchniętych do rzeki (Chińczycy podają wyższą liczbę) przeżyło tylko 160.

Podobne akcje miały miejsce w następnych dniach. Ciała potopionych pływały przez kolejne dni w rzece obserwowane przez pasażerów parowców. Historyk Victor Zatsepine w monografii poświęconej granicy na Amurze przytoczył wspomnienia jednego z pisarzy, który podróżował w tym czasie po regionie: „Nasz parowiec mija martwe ciało. (...) Fale z łodzi wstrząsają nim, sprawiając, że znika w wodzie... Pojawiają się kolejne ciała Chińczyków, które teraz unoszą się po szerokości Amuru, jakby nas prześladowały. Pasażerowie wychodzą ze swoich kabin, aby zobaczyć tak rzadki widok. Na zawsze zostanie on w mojej pamięci. To prawdopodobnie ci nieszczęśnicy, którzy utonęli w pobliżu Błagowieszczeńska".

Kiedy między bokserami i Rosjanami trwały walki, w Rosji dochodziło do ataków na ludność chińską, chociaż ta zachowywała się pokojowo. Kozacy zamordowali kilkudziesięciu chińskich kupców płynących parowcem z towarami. Kozacy i chłopskie milicje spaliły mandżurskie wioski położone przy rzece Zeja, zabijając Chińczyków, Mandżurów i Dagurów. Ponownie wiele ciał ofiar zostało wrzuconych do Amuru i – jak wspominał jeden z ocalałych – ich krew zabarwiła wodę rzeki.

W mordach mieli swój udział przedstawiciele państwowej administracji. Jedno ze śledztw wykazało, że miejscowy prystaw (komisarz policji) zapytany przez chłopskich przywódców, jak mają postępować z Chińczykami, odpowiedział: „Unicestwić". Podobnie jak w przypadku wielu innych czystek etnicznych, podczas masakr nad Amurem znaczącą rolę odgrywały także interesy ekonomiczne – zgarniano dobra zabitych. Według relacji świadka, opublikowanej w dalekowschodniej prasie, ludzie wydobywali nawet ciała z rzeki, żeby je obrabować.

Jedna z gazet, „Amurski Kraj", ośmieliła się podjąć kwestię moralnej odpowiedzialności za zbrodnie, pytając: „Co powiemy cywilizowanym ludziom? (...) Jesteśmy podłymi ludźmi; zabiliśmy tych, którzy się u nas ukrywali, szukając naszej opieki".

W 1909 r. Chiny chciały uzyskać zwrot terytorium i odszkodowania za straty majątkowe, ale rosyjski przedstawiciel dyplomatyczny odmówił, argumentując, że dawni mieszkańcy opuścili to miejsce, więc utracili prawa własności, a Rosjanie przekazali już te ziemie swoim obywatelom.

Wyciszanie masakry

Jedną z konsekwencji powstania bokserów było zajęcie przez Rosję całej Mandżurii. Tym samym Rosja była jedynym państwem antychińskiej koalicji, które zajęło i zatrzymało chińskie terytorium. Co prawda na mocy porozumienia z 1902 r. Petersburg zadeklarował wycofanie się z Mandżurii, ale ociągał się, stawiając kolejne warunki.

Rosja starała się wyciszyć kwestię masakry chińskiej ludności. Dyskretnie przeprowadzano lokalne śledztwa i kilku wojskowym wymierzono niewielkie kary. Gubernator obwodu amurskiego Konstantin Nikołajewicz Gribski został pozbawiony urzędu. Większość uczestników masakry uniewinniono. Petersburskie i moskiewskie gazety milczały o tej zbrodni aż do 1910 r. Przegrana przez Rosję wojna z Japonią położyła na jakiś czas kres snom o dalekowschodniej potędze.

Niedługo później upadł carat, ale imperium rosyjskie utrzymało się w nowym, komunistycznym wcieleniu. Podobnie przeobraziło się imperium chińskie obejmujące nadal Tybet, Sinciang i Mongolię Wewnętrzną (bez Zewnętrznej). Niezwykle krwawe wojny z Japonią zatarły pamięć o zbrodni w okolicy Błagowieszczeńska. Chyba nieprzypadkowo w Chinach przypomniano sobie o niej dopiero w okresie napięcia między oboma komunistycznymi państwami, które w 1969 r. starły się o jedną z wysp na Ussuri.

Podejście do trudnej przeszłości jest różne w obu krajach. W muzeum w Błagowieszczeńsku zdarzenia 1900 r. ukazane są pobieżnie. Natomiast w muzeum w pobliskim chińskim Ajgun (włączonym jako dystrykt do Heihe) diorama szczegółowo ukazuje masakrę. To muzeum przypomina Chińczykom dawne upokorzenia ze strony Rosji, jak i to, że wciąż posiada ona ziemie, które niegdyś należały do Państwa Środka. O ile miasto dostępne jest dla Rosjan, o tyle do muzeum nie mają wstępu.

ALEKSANDER R. MICHALAK

eprasa.pl 3ca6a7670d



Zbigniew Brzeziński i Jimmy Carter (stoi) na pokładzie Air Force One, 1977 r.

Niebezpieczny Zbig

Stosunki amerykańsko-polskie bywały różne. Znakomite za czasów tandemu Jimmy'ego Cartera i Zbigniewa Brzezińskiego. O doradcy prezydenta USA opowiada autor jego biografii, Edward Luce z „Financial Timesa".

TOMASZ TARGAŃSKI: **– Zbigniew Brzeziński to jeden z najbardziej wpływowych Polaków w XX w., zgadza się?**

EDWARD LUCE: – Z pewnością. Sądzę, że można postawić go na równi z Józefem Piłsudskim, Lechem Wałęsą czy Janem Pawłem II. Jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta USA Zbigniew Brzeziński uzyskał bezprecedensową możliwość kształtowania polityki globalnego supermocarstwa. Kiedy Piłsudski zatrzymał pochód rewolucji bolszewickiej na Zachód, zmienił dzieje XX w. Brzeziński z kolei wpłynął na przebieg zimnej wojny, przestawiając zwrotnicę amerykańskiej polityki względem Związku Radzieckiego z ugodowej na bardziej konfrontacyjną.

Urodził się w Polsce, ale jako dziecko dyplomaty opuścił kraj przed wybuchem drugiej wojny światowej. Jak określiłby pan jego tożsamość?

Zdefiniowało go poczucie zranionej polskiej dumy. Całą wojnę spędził w Montrealu. Bardzo głęboko przeżył upadek II RP i jej podział między Niemcy i Związek Radziecki. Mieszała się w nim młodzieńcza złość, poczucie goryczy i niezgoda na los, jaki przypadł Polsce po wojnie. Miał już w dużej mierze ukształtowany światopogląd, kiedy w wieku 21 lat ukończył pracę magisterską na Uniwersytecie McGill w Montrealu. Napisał w niej, że Związek Radziecki – wyjąwszy ideologiczną „nadbudowę" – jest przedłużeniem rosyjskiego imperium, dlatego też strategia pokonania go powinna opierać się na wspieraniu niepodległościowych aspiracji narodów poddanych rosyjskiej dominacji. Ta teza niezwykle śmiała jak na początek lat 50. nie powstałaby, gdyby nie specyficznie polski sposób patrzenia na Rosję. Po uzyskaniu amerykańskiego obywatelstwa, kiedy postanowił zrobić karierę w administracji państwowej, musiał stać się „czystym" Amerykaninem. Umiał jednak pogodzić ze sobą bycie amerykańskim i polskim patriotą jednocześnie.

Pisze pan, że jego polskość stanowiła mimo wszystko polityczne obciążenie w kręgach amerykańskiej administracji. W jakim sensie?

Po pierwsze, Brzeziński nigdy nie brzmiał jak prawdziwy Amerykanin. ▶

© EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ Mocny polski akcent odbierano jako coś dziwnego, szczególnie wśród WASP-ów, czyli białych, protestanckich, anglosaskich elit, które dominowały w Waszyngtonie do późnych lat 60. Po drugie, uważano, że jest „niebezpieczny", bo jako Polak jest z natury antyrosyjski, co może doprowadzić Amerykę do konfrontacji z ZSRR. Trzecim elementem były oskarżenia o antysemityzm, wysuwane przez izraelskie lobby i wprost powiązane z jego polskim pochodzeniem.

Ile było prawdy w tych oskarżeniach?

Badając życie Zbigniewa Brzezińskiego, nie znalazłem niczego, co uzasadniałoby twierdzenia o uprzedzeniach wobec Żydów. Jego na wskroś analityczny umysł nie byłby zdolny do irracjonalnych uprzedzeń. Jako doradca Jimmy'ego Cartera był zaangażowany w rozmowy pokojowe między Izraelczykami a Egipcjanami i pośrednio Palestyńczykami. Ataki na niego były więc próbą uzyskania przez Izraelczyków przewagi w negocjacjach.

Wspomniał pan o uczuciu „zranionej polskiej dumy" – w jaki sposób przekładało się ono na światopogląd Brzezińskiego?

Myślę, że miał w sobie szczególne wyczucie tragizmu historii. Charakteryzuje ono zresztą nie tylko Polaków, lecz także wszystkie narody Europy Środkowo-Wschodniej, które tyle wycierpiały w XX w. Kissinger, który urodził się w międzywojennych Niemczech i którego rodzina zginęła w Holokauście, również je miał. To poczucie, że katastrofa czai się tuż za rogiem, zdecydowanie odróżniało ich od anglosaskich elit Waszyngtonu. Brzeziński instynktownie czuł, że państwa nie trwają wiecznie, a międzynarodowy porządek może się załamać. Z tego samego powodu po upadku ZSRR odrzucał optymizm Francisa Fukuyamy o „końcu historii".

W jaki więc sposób stał się prezydenckim doradcą ds. bezpieczeństwa?

Droga Brzezińskiego do Białego Domu wiodła przez akademię. Był wykładowcą najpierw na Uniwersytecie Harvarda, a później na Uniwersytecie Columbia. Dał się poznać jako błyskotliwy sowietolog. Dla emigranta w pierwszym pokoleniu przebicie się do akademickiego panteonu było nie lada wyzwaniem. Ale Brzeziński miał jasno określony cel: Waszyngton. Chciał wpływać na wielką politykę. Na początku lat 60. doradzał w kwestiach polityki zagranicznej prezydentowi Kennedy'emu. Za kadencji prezydenta Johnsona pracował w Departamencie Stanu w Biurze Planowania Politycznego, gdzie zajmował się polityką amerykańską wobec Europy Wschodniej. Co ciekawe, Brzeziński wyrobił sobie nazwisko nie tylko w Waszyngtonie, ale też w Warszawie. Komunistyczne przywództwo śledziło jego publikacje, a polska Służba Bezpieczeństwa zgromadziła na jego temat pokaźną teczkę. Według Erwina Weita, tłumacza Władysława Gomułki, pierwszy sekretarz nie znosił Brzezińskiego. Atakował go z nazwiska w swoich przemówieniach i nazywał „psem na posyłki imperialistów". Dla komunistycznych przywódców w Europie Wschodniej Brzeziński stał się szarą eminencją pociągającą za wszystkie sznurki w Waszyngtonie. Była to ocena zdecydowanie na wyrost, ale poziom paranoi na jego punkcie obrazuje fakt, że po wyborze Karola Wojtyły na papieża w 1978 r. radzieckie politbiuro było przekonane, że to wpływy Brzezińskiego w kolegium kardynalskim doprowadziły do wyboru Polaka.

Drogę do Białego Domu otworzyło mu zwycięstwo demokraty Jimmy'ego Cartera w wyborach prezydenckich w 1976 r. Co ich łączyło?

Spotkali się w 1972 r. i odtąd Brzeziński zaczął doradzać Carterowi, który traktował go jako swego nauczyciela w sprawach międzynarodowych. Patrząc z perspektywy, obaj stworzyli jeden z najbardziej egzotycznych duetów w historii amerykańskiej polityki. Plantator orzeszków z Georgii i polski imigrant intelektualista. Chyba tylko w Ameryce dwaj tak różni ludzie mieli prawo spotkać się w Białym Domu. Z jednej strony bogobojny i do szpiku uczciwy Carter. A z drugiej pewny siebie, czasem nawet arogancki Brzeziński. Carter potrzebował u swojego boku kogoś, kto da jego administracji doświadczenie w polityce międzynarodowej, którego sam nie miał. Fundamentem ich relacji było wspólne poczucie, że są outsiderami. Obaj nie pasowali do salonów Georgetown zdominowanych przez anglosaskie elity. Carter gardził waszyngtońskimi przyjęciami, a Brzeziński był dla tamtejszego towarzystwa zbyt szorstki i cudzoziemski.



Edward Luce – brytyjski komentator i publicysta „Financial Timesa". Autor wielu książek, m.in. „The Retreat of Western Liberalism" oraz „Zbig. Życie Zbigniewa Brzezińskiego, proroka czasów zimnej wojny".

Brzeziński w Białym Domu nikogo nie pozostawiał obojętnym. Albo go uwielbiano, albo nienawidzono.

Pisząc książkę, dostrzegłem zadziwiającą sprzeczność w tym, jak go postrzegano. Przeciwnicy zarzucali Brzezińskiemu zbytnią impulsywność. Mówiono, że szczególnie w stosunku do Związku Radzieckiego nie wolno ufać jego osądowi, bo kierują nim uprzedzenia, a nie typowo amerykański pragmatyzm. Tymczasem jego współpracownicy widzieli w nim chłodnego analityka, człowieka, który oddziela nagie fakty od moralnych osądów. Był daleki od idealizmu i wielokrotnie dawał dowody na to, że fundamentalnie nie ufał amerykańskiemu optymizmowi. Nie wierzył też w ideę amerykańskiej wyjątkowości. Pod maską zimnego akademika kryły się jednak dogłębne przekonanie o niemoralności sowieckiego systemu i wiara w to, że ludzie mają w sobie zakodowane pragnienie wolności. Gdyby go spytać, pewnie byłby zdania, że Polacy mają tego pragnienia troszkę więcej niż inni. Czasem przekomarzał się ze swoją żoną, która była Czeszką, krewną prezydenta Edvarda Beneša, że podczas gdy Polacy zawsze chcą walczyć, Czesi wolą się poddać.

Brzeziński nie postrzegał siebie jako polityka, ale jako prezydencki doradca zajmował stanowisko polityczne. Jak radził sobie w zakulisowych rozgrywkach o wpływy?

Zadziwiająco dobrze. Każdy doradca ds. bezpieczeństwa jest skazany na konflikt o wpływy z Departamentem Stanu. W administracji Cartera funkcję jego szefa pełnił Cyrus Vance, fantastycznie ustosunkowany członek biznesowo-politycznej elity Wschodniego Wybrzeża. Stawką w ich rywalizacji był dostęp do ucha prezydenta. I Brzeziński tę walkę bezapelacyjnie wygrał. Pomimo braku doświadczenia zdawał sobie sprawę, jaką funkcję w systemie, w którego centrum stoi prezydent, pełnią prozaiczne kwestie, jak choćby bliskość. Biuro Brzezińskiego w zachodnim skrzydle Białego Domu znajdowało się ledwie kilka metrów od Gabinetu Owalnego. Nieraz bywało tak, że spotykał się z prezydentem kilka, a nawet kilkanaście razy

eprasa.pl 3ca6a7670d



Zbigniew Brzeziński (z prawej) **i premier Izraela Menachem Begin podczas partii szachów w przerwie rokowań z Egiptem w Camp David w 1978 r.**

w ciągu jednego dnia. Tymczasem biura Departamentu Stanu położone były o kilka przecznic dalej i Vance widywał się z szefem najwyżej trzy–cztery razy w tygodniu. Wszystko to nie miałoby jednak znaczenia, gdyby nie zaufanie, jakim Carter obdarzył Brzezińskiego. Ono stanowiło o wyjątkowości ich relacji. Nie było w niej krzty rywalizacji czy dwulicowości. Brzeziński nigdy – ani publicznie, ani prywatnie – nie zachował się wobec Cartera nielojalnie.

Mimo biegłości w wewnętrznych rozgrywkach, był jednym z najbardziej niepopularnych członków administracji Cartera. Dlaczego?

Brzeziński przejawiał niezwykłą umiejętność robienia sobie wrogów. To było jego największą słabością. Mniej więcej w połowie kadencji otwarcie krytykowali go nie tylko Republikanie, ale też Demokraci, którym nie podobał się jego „jastrzębi" kurs w polityce. Nawet w łonie prezydenckiej administracji pełno było ludzi, którzy Brzezińskiego nie znosili. Była to częściowo jego wina, ponieważ nigdy nie chciał nikomu schlebiać, szczególnie politykom na Kapitolu, co stanowi ważny element waszyngtońskiej etykiety. Zawsze walił prawdę prosto z mostu. Powiem więcej, czerpał przyjemność z udowadniania ludziom, że są w będzie. Brzeziński uwielbiał spory i ostre dyskusje. Zbyt często wychodził z niego akademik, a politycy nie lubią, kiedy ktoś ich poucza. Był to także jeden z głównych powodów, dla których Brzeziński po zakończeniu prezydentury Cartera nigdy nie wrócił na eksponowane stanowisko.

Jaki był wpływ Brzezińskiego na politykę Ameryki wobec Polski?

Przemożny. Gdyby nie Brzeziński, planowana na grudzień 1980 r. inwazja Związku Radzieckiego na Polskę mogła dojść do skutku. To on skutecznie przekonał Cartera, że ewentualny atak na Polskę i zgniecenie Solidarności będą dla Ameryki wizerunkową katastrofą. Dzięki jego radom Carter przekonał też wielu europejskich liderów do wysłania Moskwie jednoznacznego ostrzeżenia. Brzeziński działał tu ręka w rękę z dwoma innymi niezwykłymi Polakami. Pierwszy to Jan Paweł II, z którym od razu nawiązali intelektualne porozumienie. Brzeziński i Wojtyła byli chyba najbardziej znienawidzonymi na Kremlu Polakami od czasów Piłsudskiego, a radzieckie biuro polityczne uważało, że wspólnie spiskują na zgubę Związku Radzieckiego. Drugim – przez długi czas nieznanym z nazwiska – partnerem Brzezińskiego był pułkownik Ryszard Kukliński. Jako najwyżej postawiony agent CIA w wojskach Układu Warszawskiego dostarczał Amerykanom bezcennych informacji na temat radzieckich planów. Raporty Kuklińskiego Brzeziński kazał sobie dostarczać bezpośrednio na biurko, po polsku, bez żadnego filtra analitycznego. To dzięki nim mógł radzić Carterowi, co robić, mając pełną świadomość sytuacji. Brzeziński spotkał się z Kuklińskim twarzą w twarz niedługo po ucieczce pułkownika do USA i był to wzruszający dla obu moment.

Jaki był najważniejszy wkład Brzezińskiego w zimnowojenną strategię Ameryki?

Wprowadził do Białego Domu myślenie, że Związek Radziecki jest kolosem na glinianych nogach. Jego diagnoza rozpadającego się po „szwach narodowych" imperium okazała się trafna. Po porażce Cartera w wyborach 1980 r. Brzeziński odszedł ze stanowiska, ale jego koncepcje przetrwały zmianę administracji. Ronald Reagan de facto przejął jego strategię osłabiania ZSRR, zwiększył wydatki na obronność, finansował Radio Wolna Europa i bezwarunkowo wspierał Solidarność. Mało który doradca ds. bezpieczeństwa może się tym pochwalić. Oceniając z perspektywy czasu, nie sposób mówić więc o zwycięstwie w zimnej wojnie, jak i o późniejszym wstąpieniu Polski do NATO, nie wspominając nazwiska Brzezińskiego.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

© PATRICK MCMULLAN/GETTY IMAGES, CNP/GETTY IMAGES

eprasa.pl 3ca6a7670d

film

Z życia agentów 5/6

Dziki Koń Dziewięć (Wild Horse Nine), reż. Martin McDonagh, prod. USA, Wielka Brytania, Chile, 117 min, już w kinach



Polityczna satyra, szpiegowski thriller, kumpelska komedia. Podobnie jak inne filmy Martina McDonagha, tak i „Dziki Koń Dziewięć" zaciera gatunkowe granice. Jest nieprzewidywalny, bardzo zabawny, ironiczny, lecz pod warstwą przedniego humoru skrywa zaskakująco dużo melancholii i sporo goryczy.

Akcja toczy się w 1973 r., gdy dwóch stacjonujących na placówce w Chile agentów CIA, Chris (**John Malkovich**) i Lee (**Sam Rockwell**), szykuje się do obalenia prezydenta Allende. Zanim zaczną działać, lecą na tygodniowy urlop na Wyspę Wielkanocną. Chris początkowo sprawia wrażenie nieobliczalnego: przechwala się swoim udziałem w licznych akcjach agencji (od inwazji w Zatoce Świń po zamach na Kennedy'ego), opowiada obcym ludziom o planowanym przewrocie w Chile i planuje napisanie pamiętników, w których zdradzi sekrety CIA, lecz kiedy indziej sprawia wrażenie, jakby cierpiał na zaawansowaną demencję. Szybko się okazuje, że jest śmiertelnie chory, a relaks na Wyspie Wielkanocnej był jego niespełnionym marzeniem. Tyle że w życiu szpiegów i agentów nie ma miejsca na odpoczynek, a kolejne wydarzenia odsłaniają prawdziwy cel wyjazdu Lee i Chrisa.

Opowieść o męskiej przyjaźni: trudnej, toksycznej, lecz niemniej przez to prawdziwej

McDonagh powadzi tę fabułę z lekkością i precyzją. Jej rytm wyznaczają cięte dialogi, niekończące się wymiany zdań między Chrisem a Lee, czasami dołącza do nich ich zwierzchnik MJ (Steve Buscemi). W znakomitej obsadzie na pierwszy plan wysuwa się jednak John Malkovich, nagrodzony za tę rolę na festiwalu w Wenecji: gra fenomenalnie, jest nieodgadniony i zabawny, irytujący i wzruszający jednocześnie, a im więcej dowiadujemy się o jego bohaterze, tym bardziej przejmujący staje się jego występ. To rzeczywiście rola godna co najmniej oscarowej nominacji, bo także dzięki niej „Dziki Koń Dziewięć" wiarygodnie przesuwa się z rejestrów komediowych w dramatyczne. Choć można go czytać także jako (bardzo aktualną) krytykę wymierzoną w amerykański imperializm, to w gruncie rzeczy jest – podobnie jak poprzedni film McDonagha „Duchy Inisherin" – opowieścią o męskiej przyjaźni: trudnej, toksycznej, lecz nie mniej przez to prawdziwej.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Animki w sądzie 4/6

Struś Pędziwiatr i zemsta Kojota (Coyote vs. Acme), reż. Dave Green, prod. USA, 103 min, w kinach od 20 listopada



Po niezliczonych próbach złapania Strusia Pędziwiatra **Kojot Wiluś** postanawia załatwić sprawy inaczej. Wynajmuje podrzędnego prawnika, by złożyć pozew przeciwko firmie Acme, producentowi tak głośnych (i zawodnych) wynalazków jak odrzutowe rolki czy sprężynowe buty. Żaden z oferowanych przez Acme gadżetów nie pozwolił osiągnąć zamierzonego celu, jakim było oczywiście schwytanie Strusia, za to ich używanie spowodowało uszczerbek na zdrowiu, więc Kojot domaga się pokaźnego odszkodowania, a sądowa batalia będzie starciem korporacyjnego Goliata z animowanym Dawidem. Łącząca animację z filmem aktorskim – tak jak przed laty „Kto wrobił królika Rogera?" – ta komedia to sentymentalny list miłosny do cyklu „Zwariowane melodie" (inspirowany żartobliwym artykułem „New Yorkera" z 1990 r.). Jednak popkulturowa nostalgia jest tu zarazem paliwem dla brawurowo poprowadzonej komedii, która zachowuje tempo i energię oryginalnych kreskówek, lecz ostrze satyry kieruje przeciwko chciwym i bezdusznym biznesom, dla których zysk jest ważniejszy od dobrostanu ludzi (i animków).

Popkulturowa nostalgia jest tu paliwem dla brawurowo poprowadzonej komedii

W przypadku tego filmu antykorporacyjne przesłanie wybrzmiewa szczególnie mocno – początkowo studio Warner Bros. chciało gotową produkcję wyrzucić do śmietnika, aby uzyskać ulgę podatkową. Ostatecznie jednak, z pożytkiem dla widzów, udało się Strusia i Kojota ocalić przed zapomnieniem. JD

© ADRIENN SZABO/SEARCHLIGHT PICTURES, MONOLITH FILMS, APPLE TV, PEACOCK/HBO MAX, VIKTOR PETROV/DIRKSTENGER

eprasa.pl 3ca6a7670d

Łamigłówka, nie wyzwanie 3/6

12 12 12, twórcy serii: Dudi Appleton i Jim Keeble, 8 odc., Apple TV



Liczbowa zagadka jest wyjaśniana na początku każdego odcinka, więc żadna to tajemnica. Chodzi o 12 miesięcy planowania skoku na bank, 12 godzin jego realizacji oraz 12 dni na złapanie sprawców, bo potem, jak uczy doświadczenie FBI, szanse śledczych drastycznie spadają. Akcja każdego z ośmiu odcinków (12 wyglądałoby tu lepiej, ale po pierwsze, osiem to dziś streamingowy standard, a po drugie, w sam raz dla tej – mimo formalnych zabaw – konwencjonalnej historii) skacze między tymi trzema perspektywami czasowymi. Poznajemy ekipę przygotowującą napad na podziemny skarbiec, zegar tyka, jest klasyczna zagadka (kto zdradził?) i dylematy moralne, kobiece postacie na drugim planie, a kradzież usprawiedliwia pochodzenie pieniędzy i skorumpowany szwajcarski system bankowy. Sprawy rozgrywają się głównie w Zurychu i Marsylii, a w retrospekcjach pojawia się New Jersey, gdzie pierwszy raz skrzyżowały się ścieżki pary głównych bohaterów, wrażliwych twardzieli: agenta FBI (**Anthony Mackie**) i złodzieja (Jamie Dornan), po czym ten pierwszy poprzysiągł zemstę drugiemu. Puzzle wskakują na swoje miejsca powoli i to jest główną atrakcją, jednak obrazek, jaki tworzą, nie jest oryginalny. I pewnie też nie miał być, bo „12 12 12" to wytwór swoich czasów (i studia Paramount, dziś Skydance) – dobrze zrobiona rozrywka, zamierzona jako przyjemna łamigłówka, a nie wyzwanie.

ANETA KYZIOŁ

Ofiary i sprawcy 3/6

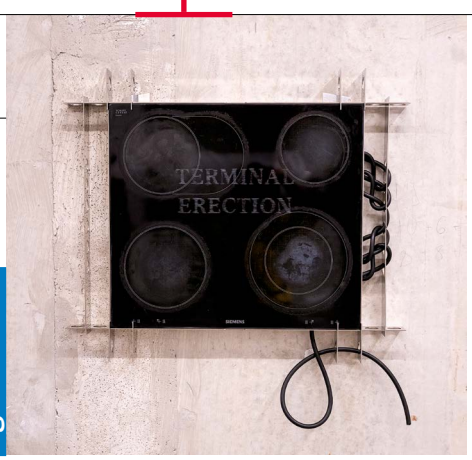
Dobra córka (The Good Daughter), twórczyni serialu: Karin Slaughter, 6 odc., HBO Max



Dwie prawniczki – Charlie Quinn spędziła całe życie w Georgii, jej siostra Samantha uciekła do wielkiego miasta – łączą siły, by przed sądem bronić nastolatki, która w ich rodzinnej miejscowości zastrzeliła dyrektora szkoły i jedną z uczennic. Wina dziewczyny wydaje się oczywista, sama przyznaje się do zbrodni, lecz ukrywa prawdę o tym, co skłoniło ją do ataku. Siostry Quinn angażują się w proces, a przy okazji będą musiały się zmierzyć nie tylko z rodzinną traumą (w dzieciństwie widziały, jak ich matka została brutalnie zamordowana podczas napadu na dom), lecz także z tajemnicami, jakie skrywali przed nimi bliscy i przyjaciele. Podobnie jak w literackim pierwowzorze – Karin Slaughter napisała scenariusz na podstawie własnej powieści – spiętrzenie nieszczęść ma tu wręcz biblijne rozmiary. Niemal każda z postaci jest albo ofiarą, albo sprawcą przemocy, kradzieży lub oszustwa, każdy dusi w sobie sekrety, a ostateczne ujawnienie nawarstwionych tajemnic wydaje się efektem nie tyle prowadzonego przez bohaterki dochodzenia, ile przypadku. Także jako portret współczesnej amerykańskiej prowincji serial sprawia wrażenie układanki wygodnych stereotypów. I choć porusza ważne tematy – od przemocy domowej po szkolne strzelaniny – robi to wyłącznie w sposób pretekstowy. Przed katastrofą ratuje „Dobrą córkę" obsada – **Rose Byrne** i **Meghann Fahy** jako siostry Quinn oraz Brendan Gleeson w roli ich ojca dają postaciom więcej życia, niż pozwalał na to scenariusz. JD

Z kozetki na barykady 4/6

KAF Young Prize 2026, wystawa finałowa, Wrocław, Galeria Krupa, do 31 stycznia 2027 r.

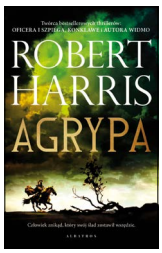


Viktor Petrov, „Scratch Me, Scratch You", 2025 r.

Wśród konkursów artystycznych w Polsce największym prestiżem cieszy się „Bielska Jesień". Ale już o drugie miejsce toczy się zacięta rywalizacja, w której coraz lepiej poczyna sobie wrocławskie przedsięwzięcie. Choć to dopiero druga edycja, KAF Young Prize kilkoma atutami przebija konkurencję: wysokimi nagrodami (3 x 12 tys. euro), otwarciem na wszystkie obszary sztuki, a przede wszystkim – międzynarodowym charakterem. Efekt? Blisko 1,7 tys. zgłoszeń z 38 krajów. Na wystawie znalazły się prace 32 osób wybranych z tego bogactwa. Jakieś tendencje? W obszarze treści: wychodzenie poza bańkę osobistych problemów i psychicznych rozdrapów oraz ciekawe próby zmierzenia się z otaczającym światem: patologiami ery antropocenu, zagrożeniami ekologicznymi, wyzwaniami ze strony makroekonomii i polityki, pułapkami rozwoju technologicznego i cyfrowego (AI). Z wystawy można wynieść przekonanie, że sztuka młodych (cezura wiekowa uczestników to 35 lat) z psychoanalitycznej kozetki znów przenosi się na ustawiane w różnych miejscach barykady, choć w wyborze laureatów zwyciężyła jeszcze perspektywa osobistych lęków. A forma? Swobodna, wykorzystująca wszelkie możliwe środki wyrazu (włącznie z zapachami), sięgająca często po materiały zastane, odpady, produkty recyklingu (np. zużyte akumulatory).

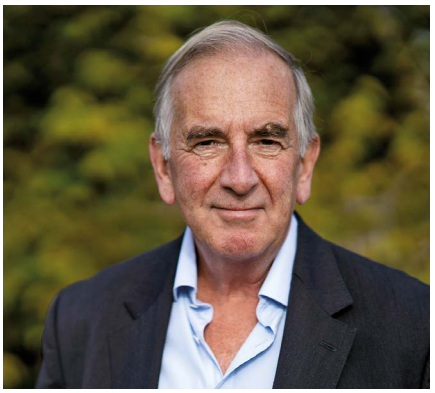
PIOTR SARZYŃSKI

eprasa.pl 3ca6a7670d



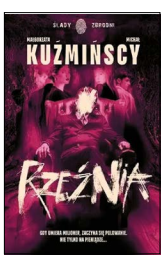
Na chwałę Rzymu 4/6

Robert Harris, **Agrypa**, przeł. Andrzej Szulc, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2026, s. 384



Robert Harris wraca (po „Pompejach" i trylogii poświęconej Cyceronowi) do starożytnego Rzymu, w burzliwym okresie politycznego fermentu i wojen domowych znów odnajdując analogie do współczesności. Powieści nadaje kształt wspomnień spisywanych u schyłku życia przez Marka Agrypę, który przeszedł do historii jako polityk oraz wybitny strateg i dowódca, a także przyczynił się do rozbudowy i unowocześnienia Rzymu. Powieść skupia się jednak na jego relacjach z Oktawianem Augustem, pierwszym cesarzem, spadkobiercą Juliusza Cezara, zmuszonym do krwawej walki o władzę. Brytyjski pisarz śledzi błyskotliwą karierę Agrypy, znaczoną militarnymi sukcesami, lecz również napiętnowaną koniecznością wiecznego wyboru między własną chwałą a lojalnością wobec cezara. Harris jak zawsze pisze ze swadą, imponuje faktograficznym przygotowaniem, lecz czasem gubi go chęć opowiedzenia zbyt bogatej historii w niezbyt przecież obszernej książce. W słabszych momentach „Agrypa" przypomina fabularyzowany dokument, może i zrealizowany z pietyzmem, lecz zamiast emocji dający czytelnikom – także w dialogach – streszczenie wydarzeń. Na szczęście lepszych kawałków jest tu więcej, a Harris przypomina sobie, że jego bohaterowie powinni być jednak postaciami z krwi i kości, a nie sylwetkami z podręcznika historii starożytnej. Opowieść o władzy, potędze i zdradzie staje się wówczas również opowieścią o ludzkich namiętnościach, słabościach oraz niepowstrzymanej chęci zapisania się w pamięci następców.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Nie dla wegetarian 4/6

Małgorzata i Michał Kuźmińscy, **Rzeźnia**, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2026, s. 432

Małżeństwo Kuźmińskich dało się poznać na rynku cyklem etnokryminałów, w których prywatne śledztwa prowadzą dziennikarz Bastian Strzygoń i antropolożka Ania Serafin. Wędrowaliśmy z nimi w Tatry („Śleboda"), na Śląsk („Pionek"), w świat Romów („Kamień") i tematyki żydowskiej („Mara"). „Rzeźnia" to druga część kolejnego cyklu, którego bohaterką jest Sylwia Nowak, była policjantka i agentka ABW, a obecnie prywatna detektywka, z pochodzenia pół-Romka, co też odgrywa pewną rolę. Bohaterowie poprzedniej serii pojawiają się tu również epizodycznie. Sylwia zostaje zatrudniona przez czwórkę potomstwa zmarłego właśnie potentata produkcji mięsnej, który uwłaszczył się na gospodarstwie postpegeerowskim i stworzył rzeźnicze imperium – taka „Sukcesja" na miarę polskiej prowincji. Problem polega na tym, że patriarcha nie zostawił testamentu, a 20 lat wcześniej zaginął bez wieści jeden z jego synów. Sylwia ma odnaleźć ciało Grzegorza, by skrócić proces uznawania go za zmarłego i umożliwić podzielenie się spadkiem. Wywiązuje się z tego zadania z nawiązką, z czego nie wszyscy będą zadowoleni. Po drodze ktoś jeszcze ginie, ktoś zostaje napadnięty – niektórzy nie chcą ujawnić prawdy o szemranych początkach imperium, sięgających dzikich lat 90. i mafii białoruskiej. Kto jest tu podejrzany i o co, można właściwie domyślać się już od początku, ale opis wiejskiego nuworyszostwa jest mocny i zjadliwy. Opisy mięsnych potraw i rzeźniczego rzemiosła są zaś mało strawne dla tych, co mięsa nie jedzą.

DOROTA SZWARCMAN



Ciemna strona mocy 5/6

Łukasz Krukowski, **Kulturysta**, Cyranka, Warszawa 2026, s. 387

Już w poprzedniej książce „Mam przeczucie" Łukasz Krukowski pokazał, że trzyma rękę na pulsie współczesności, wprowadzając do prozy kwestie związane z rynkiem kryptowalut, funkcjonowaniem pieniądza i władzą „technokapitału". A w nowej powieści „Kulturysta" prześwietla współczesny kult ciała, budowanie masy. Jego bohater, cherlawy licealista z małego miasteczka, trafia na siłownię – a jest to rok 2013 – i wkręca się w kulturystykę ekstremalną. Poznaje własne ciało i sposoby na przejęcie nad nim całkowitej kontroli. Ciało się słucha, dostosowuje do precyzyjnie wyliczonych dawek preparatów, hormonów i ćwiczeń, ale szybko ujawnia się ciemna strona prowadząca do destrukcji. Krukowski bardzo dobrze oddaje sposób myślenia swojego bohatera, który cały czas jest skupiony na budowaniu ciała. Jego relacje są podporządkowane temu celowi, wokół tylko pustka i piosenki Kaczmarskiego, które gra na gitarze. W ten świat treningów i przygotowania do zawodów wkracza pandemia, covid i próba relacji z dziewczyną. Czy to coś może zmienić? Ciało też ostrzega. Powieść dobrze bada tę przestrzeń obsesji i uzależnienia, oddając monotonię rutyny poprzez sposób narracji i język. Uzależniające jest poczucie, że można w nieskończoność przekraczać swoje możliwości. I to jest jeden z ważniejszych tematów – dzisiejsze złudzenie posiadania całkowitej kontroli nad ciałem, starzeniem, śmiertelnością. Mottem książki są słowa Ireneusza Kani: „Jako gatunek idziemy w stronę coraz większego zła i coraz większych zagrożeń". Czytając Krukowskiego, widzimy, jak ten system działa.

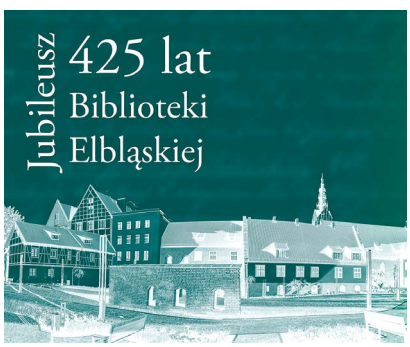
JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 3ca6a7670d



Black Doves 2,
twórca serii: Joe Barton, 6 odc., Netflix

Szpiegożonka (*Spywife*) Helen jest teraz pierwszą damą Wielkiej Brytanii, Sam wyciąga broń jeszcze częściej i jest jeszcze bardziej smutny i samotny, a Reed skrywa zabójcze (dosłownie) tajemnice z przeszłości. Więcej akcji, trupów i wyższa stawka – thriller szpiegowski z przymrużeniem oka oraz z **Keirą Knightley**, Benem Whishawem i Sarah Lancashire w głównych rolach wrócił dwa lata po premierze i nie wywrócił zasad, według których tworzy się kontynuacje sensacyjnych hitów. AK



425-lecie Biblioteki Elbląskiej,
16–30 listopada

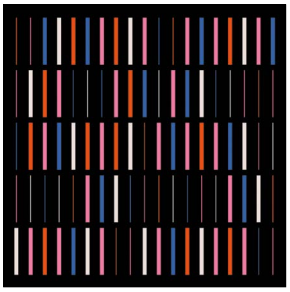
Data założenia: 1601 r. To nie literówka, to demonstracja długowieczności Biblioteki Elbląskiej, która świętuje swoją historyczną ciągłość. Na spotkaniu jubileuszowym debatuje o miejscu takich placówek w naszych czasach, zaprasza też na konferencję „Społeczna rola Biblioteki Elbląskiej na przestrzeni dziejów" i chwali się wyjątkowymi zbiorami (na wystawie „BEZcenne"). Szczegóły i informacje o wydarzeniach: bibliotekaelblaska.pl. BCH



Karolina Grzywnowicz, Odwrażliwianie,
Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa, do 10 stycznia 2027 r.

Miniretrospektywa artystki balansującej w swych artystycznych działaniach między sztuką, nauką i społecznym aktywizmem. Punktem centralnym ekspozycji jest projekt tematycznie krążący wokół sytuacji ofiar kryzysu humanitarnego na naszej wschodniej granicy, a głównym motywem – wypreparowany przez artystkę… „zapach drogi", który może być zarówno źródłem opresji, jak też oporu i wsparcia. Ważne i oryginalne. P.SA

© DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES, NETFLIX, BARTOSZ GÓRKA / ZACHĘTA – NARODOWA GALERIA SZTUKI, MP (5)



Dobra fala 5/6

Marcel Baliński Orchestra, **95**, Radio Łódź

Jeśli ktokolwiek miałby wątpliwości, dlaczego Radio Łódź świętuje hucznie 95. urodziny, nie czekając do setki, to odpowiedzią jest ten dziesięcioosobowy skład pełen ciekawych osobowości. Być może za pięć lat nie do zebrania. I ten lider, rocznik 1995, założyciel formacji Współgłosy, pianista i centralna dziś postać środowiska: Marcel Baliński. Formując na urodziny miejscowej rozgłośni duży skład, szedł śladami orkiestr Edwarda Ciukszy i Henryka Debicha, ale stylistycznie współczesną drogą. „95" to płyta akcentująca transową rytmikę – gra tu trzech perkusistów, wspomaga ich potężna sekcja basowa: kontrabas, saksofon barytonowy i tuba. Na tym ostatnim instrumencie błyszczy jedyny zagraniczny gość Rasmus Svale Kjærgård Lund, a całość to płyta, która wprawia w dobry nastrój – odpowiednik „feel good movie" – by na koniec porwać do tańca. „Magdalena" to świadectwo romantyzmu Balińskiego (utwór dedykowany jego żonie, o czym opowiadał w podkaście POLITYKI), „Konie" to pokaz nieskrępowanej wyobraźni, a finałowy „Semafor" – poczucia humoru, które najwyraźniej współdzieli z Balińskim ta formacja. Pojawianie się tego przedrostka „współ-" jest już zresztą jakimś rodzajem znaku rozpoznawczego.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA





Sylvester Stallone w pierwszym „Rockym", 1976 r.

Droga pięści

Skąd się wziął pół wieku temu pięściarz Rocky Balboa, jak uczynił gwiazdę z Sylvestra Stallone'a i dał u nas hasło ostatnich wyborów prezydenckich.

eprasa.pl 3ca6a7670d



Od lewej: **Anthony Ippolito jako Sylvester Stallone i Stephen James w roli Carla Weathersa w filmowej biografii „Jestem Rocky"**

© BE&W, AMAZON CONTENT SERVICES LLC

JAKUB DEMIAŃCZUK

Trudno dziś uwierzyć w dorobek Sylvestra Stallone'a. Mierzony jest w zbędnych sequelach popularnych filmów, Złotych Malinach i negatywnych recenzjach, tymczasem po premierze „Rocky'ego" legendarny krytyk Roger Ebert porównał Slya do młodego Marlona Brando, a sam film zdobył 10 nominacji do Oscarów, z których trzy zamieniły się w statuetki, w tym dla najlepszego filmu roku. „Rocky" okazał się tym samym lepszy – przynajmniej zdaniem Amerykańskiej Akademii Filmowej – m.in. od „Wszystkich ludzi prezydenta" czy „Taksówkarza". Jednak zanim nastąpił ów jakże hollywoodzki happy end, droga do realizacji filmu była drogą przez mękę. 20 listopada minie równo 50 lat od premiery filmu, a okrągłą rocznicę można świętować nie tylko powtórką „Rocky'ego", lecz także seansem biograficznego filmu „Jestem Rocky" w reżyserii Petera Farrelly'ego oraz lekturą wydanej niedawno autobiografii Stallone'a „The Steps".

Skreślony za wcześnie

„Jestem Rocky" w niemal telegraficznym skrócie streszcza młodość Stallone'a. Ambitny aktor szuka za wszelką cenę zleceń, najczęściej bezskutecznie bierze udział w castingach, czasem pojawia się gdzieś jako statysta, ostatecznie jednak ląduje na ulicy. Żeby zarobić na wynajem pokoju, przymuje rolę w erotycznym filmie „Przyjęcie u Kitty i Studa", niespecjalnie zresztą wyuzdanym – dopiero po latach miejska legenda uczyniła z tego tytułu rzekome porno z udziałem Stallone'a. Gdy powoli odbija się od dna – pracuje jako bileter w kinie, potem jako parkingowy, poznaje dziewczynę, wreszcie zalicza udany epizod w filmie „Chłopaki z Flatbush" – postanawia spróbować swoich sił jako scenarzysta. Pracuje szybko, udaje mu się nawiązać kontakt z producentami Irwinem Winklerem i Robertem Chartoffem, ale żaden z tekstów, które im podrzuca, nie ma szans na realizację. Aż pod wpływem obejrzanej w telewizji walki bokserskiej zaczyna pisać scenariusz o podupadłym pięściarzu, który postanawia udowodnić, że skreślono go zbyt wcześnie.

W „Jestem Rocky" Stallone'a gra Anthony Ippolito i jest w tej roli tak wiarygodny, że to prawdziwy Sly z późnych lat 70. (w scenie po napisach końcowych pojawia się fragment archiwalnego wywiadu) wydaje się imitacją. Kreacja Ippolito jest czymś więcej niż sprawną imitacją charakterystycznego sposobu mówienia i poruszania się Stallone'a. To rola-hołd, ale bardziej subtelna niż efekciarska. Ekranowy Stallone jest buńczuczny i zadziorny, a zarazem wrażliwy, inteligentny i świadom zarówno swoich silnych stron, jak i słabości. Najbardziej jednak definiuje go upór. Nie wyobraża sobie, by rolę Rocky'ego zagrał jakikolwiek inny aktor. Choć producenci kuszą go coraz większą kwotą za sam scenariusz, Stallone odmawia. „To ja jestem Rocky", powtarza. ▶

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶Film Farrelly'ego na rzecz opowieści upraszcza biograficzne fakty, a sporą część po prostu pomija, choćby to, że negocjacje z producentami toczyli przede wszystkim agenci aktora, na ekranie całkowicie nieobecni. Po premierze na festiwalu w Toronto część krytyków zaczęła wymieniać „Jestem Rocky" jako potencjalnego kandydata do nominacji oscarowych – Farrelly ma na koncie m.in. nagrodę dla najlepszego filmu za „Green Book" – co wydaje się raczej fantazją. Choć byłby to jeszcze jeden, odłożony w czasie triumf „Rocky'ego", filmu, który zanim jeszcze powstał, był niczym jego bohater skazywany na klęskę.

Wielu prawdziwych Rockych

Kariera Stallone'a potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby studio United Artists postawiło na swoim i w roli Rocky'ego obsadziło jakąś gwiazdę. Producentom zależało na wpływach, a nikt nie wierzył, że publiczność masowo wybierze się na film o boksie, więc sprzedaż biletów miał zapewnić ktoś w rodzaju Burta Reynoldsa, Jamesa Caana czy Ryana O'Neila. W Stallone-'em studio widziało przede wszystkim obiecującego scenarzystę, lecz w żadnym wypadku pierwszoplanowego wykonawcę.

Pierwsza wersja scenariusza powstała w trzy i pół dnia. „Pisałem jak szalony. Mój umysł płonął. Paliłem papierosa za papierosem, połykałem całe dzbanki czarnej kawy, po to by nie zasnąć. Gdy po godzinach pisania łapały mnie skurcze, stawiałem stopy na dłoniach do czasu, aż palce się rozprostowały", wspominał Stallone w „The Steps" (polskie wydanie zaplanowane jest na przyszły rok). Wspominał, że chciał ten proces twórczy mieć szybko za sobą: im dłużej pisał, tym mniejszą sprawiało mu to satysfakcję. Gdy skończył, był jednak zadowolony, choć jego entuzjazm szybko zgasiła jego żona Sasha, która po przeczytaniu maszynopisu zaczęła zgłaszać uwagi.

Stallone nanosił więc kolejne zmiany: w pierwotnej wersji Balboa zbierał haracze dla lokalnego gangstera, był niesympatycznym odludkiem z poobijaną gębą („Jego twarz to mapa bólu i porażek", wspomina Sly), skorym do kłótni, pozbawionym marzeń i życiowych planów. To nie materiał na bohatera, za którym chciałoby się podążać. Krytyczna opinia Sashy pozwoliła scenarzyście spojrzeć na swoje dzieło świeżym okiem. Dziś nie ma zbyt wielu ciepłych słów dla pierwszej wersji „Rocky'ego". „To był niewypał. Brakowało mu pasji, współczucia, empatii, praktycznie wszystkiego, czego potrzebujesz, żeby dotrzeć do publiczności", wspomina.

Stallone usiadł do poprawek, zmagał się z kolejnymi wyzwaniami, a wtedy – jak sam mówi – wydarzył się mały cud. Drugorzędny bokser Chuck Wepner stoczył pojedynek z wielkim Muhammadem Alim i choć skazywany był na porażkę w pierwszych minutach, wytrzymał w ringu 15 rund, w jednej z nich posyłając mistrza na deski. Przegrał przez techniczny nokaut kilkanaście sekund przed końcem pojedynku, lecz na stałe zapisał się w historii pięściarstwa. I – jak się miało okazać – filmu.

Stallone przez wiele lat utrzymywał, że mecz Wepnera z Alim nie był dla niego inspiracją, co najwyżej dał impuls do dokończenia scenariusza „Rocky'ego". W autobiografii aktor po raz kolejny przypomina, że natchnienie czerpał z życiorysu innej postaci: „Inspiracją był dla mnie mistrz wagi ciężkiej Rocky Marciano, który walczył na przełomie lat 40. i 50., kiedy sam byłem małym chłopcem. Marciano był taki jak trzeba. Syn włoskich imigrantów, wychowany w trudnych warunkach przemysłowego miasta. Zaczął boksować dopiero po dwudziestce, co na mistrzowskim poziomie niecodzienne. Skończył karierę niepokonany – osiągnął to jako jedyny pięściarz wagi ciężkiej w historii. Znakomity pierwowzór dla mojego bohatera. Na dodatek imię Rocky było gotowe do wykorzystania. Perfekcyjnie". Balboa ma też cechy kilku innych wybitnych zawodników, m.in. Rocky'ego Graziano oraz Joego Fraziera, który zresztą w „Rockym" pojawia się na chwilę na ekranie.

Po sukcesie filmu Chuck Wepner procesował się ze Stallone'em o tantiemy – miał przy tym wsparcie licznych historyków i analityków boksu, którzy wskazywali na podobieństwo fikcyjnej postaci do boksera – i ostatecznie stanęło jednak na nieujawnionej ugodzie. Własnej filmowej biografii doczekał się w 2016 r.: w „Drodze mistrza" rolę Wepnera zagrał Liev Schreiber.

Mały wielki film

Produkcja była drogą przez mękę. Reżyser John G. Avildsen nie należał do czołowych twórców Hollywood ani do osób łatwych we współpracy. Castingi nie przebiegały bez problemów, ograniczony budżet nie pozwalał na gwiazdy, wiele postaci drugoplanowych zagrali bliscy i znajomi Stallone'a, a nawet jego własny pies Buttkus. Ani Sly, ani Carl Weathers – który zagrał Apolla Creeda, przeciwnika Rocky'ego – nie mieli większego pojęcia o boksie, więc wymagali specjalnego treningu. Film kręcono głównie w Filadelfii, co nie tylko przyniosło jedną z najbardziej ikonicznych scen w dziejach kina: bieg Rocky'ego po schodach wiodących do budynku Filadelfijskiego Muzeum Sztuki. Zwłaszcza że studio United Artists nie było chętne do sypania pieniędzmi. Jednak producenci Winkler i Chartoff tak mocno wierzyli w ten projekt, że wynegocjowali ostatecznie milion dolarów budżetu. Byłoby więcej, gdyby ktoś inny niż Stallone zagrał główną rolę.

United Artists zdecydowało się zaryzykować, zakładając, że finansową stratę, jaką ich zdaniem okaże się „Rocky", wyrówna przewidywany sukces musicalu „New York, New York" Martina Scorsesego. Stało się jednak na odwrót. To Scorsese poniósł finansową klęskę, ale „Rocky" przyniósł złote góry. Zarobił na całym świecie ponad 225 mln dol., był najbardziej kasowym filmem w 1976 r. i jednym z hitów oscarowego rozdania. 10 nominacji (w tym dwie dla Stallone'a: za scenariusz i główną rolę), trzy statuetki – dla najlepszego filmu, reżysera i za montaż. Film, w który uparcie wierzyło tylko kilka osób, okazał się przełomem.

Dziś ten oscarowy triumf „Rocky'ego" może się wydawać zaskakujący, lecz w drugiej połowie lat 70. widzowie coraz bardziej pragnęli takiego kina, a Akademia to dostrzegła i doceniła. Martin Scorsese w „Taksówkarzu", Alan Pakula we „Wszystkich ludziach prezydenta" czy Sidney Lumet w „Sieci" odsłaniali mroczne sekrety Ameryki, pokazywali kraj wstrząsany aktami przemocy, korupcją, lękiem przed instytucjami. Stallone dawał nadzieję: na zwycięstwo wbrew przeciwnościom losu, na to, że determinacja i upór zostaną nagrodzone, nawet jeśli nie mistrzowskim tytułem, to przynajmniej satysfakcją, że udało się przełamać własną niemoc.

W historię outsidera, który postawił się mistrzowi, wplatał własne życiowe doświadczenia. „Stworzyliśmy coś innego, coś małego i osobistego ludzkiego, coś na przekór wszystkim politycznym filmom tamtego czasu. Rocky nie chciał zmieniać całego świata, chciał tylko zmienić *swój* świat. Pragnął szczęścia i szacunku do samego siebie, chciał być odpowiedzialnym mężczyzną i dobrym przyjacielem dla wszystkich, którzy w niego wierzyli.

eprasa.pl 3ca6a7670d

To była prosta historia. I taka miała być, bo mój własny świat też był mały i nieskomplikowany", pisał w „The Steps". A ostatecznie „Rocky" okazał się samospełniającą się przepowiednią. Aktor z tylnego szeregu, który jeszcze parę lat wcześniej sypiał na ulicy, bo nie miał pieniędzy na czynsz, okazał się gwiazdą pierwszego planu.

W górę i w dół

Dziś „Rocky" to wzorzec kina o boksie stawiającego nie tylko na sportowe emocje, lecz także na obyczajowy i psychologiczny dramat. Film niewolny od uproszczeń i schematów, jednak grający nimi na mistrzowskim poziomie, perfekcyjnie zrealizowany. Parodiowany i trawestowany tyle razy, że można zapomnieć, jak bardzo odświeżał formułę dzięki dynamicznemu montażowi, zdjęciom kręconym z ręki (to była jedna z pierwszych produkcji, przy których używano pionierskiego wówczas systemu Steadicam), realizmowi.

Stallone łączył w roli Rocky'ego chuligański sznyt, uliczną wiarygodność i młodzieńczy urok: aktorskie ograniczenia działały tu wyłącznie na jego korzyść. Stał się gwiazdą niemal z dnia na dzień, co pozwoliło mu na realizację kilku wcześniejszych scenariuszy, m.in. robotniczego dramatu „F.I.S.T." oraz opowieści o zawodowych wrestlerach z lat 40. „Paradise Alley", którą zresztą sam wyreżyserował. Przez jakiś czas szukał dla siebie miejsca nieco po omacku, ale bardzo szybko przekonał się, że najlepiej będzie, jeśli wykorzysta swoje mocne strony.

Druga część „Rocky'ego" powstała w 1979 r., trzecia – w 1982 r. Po trzech latach film „Rocky IV". To ten, na który w kampanii prezydenckiej powoływał się Karol Nawrocki, widząc w swoim starciu z Rafałem Trzaskowskim pojedynek radzieckiego boksera Ivana Drago z Rockym i oczywiście siebie obsadzając w miejscu Stallone'a. Kampanię promował gadżetami z logo NowRocky, dziś wykorzystywanym komercyjnie przez gdańską firmę Nowrocky sp. z o.o.

Stallone niedługo po trzeciej części bokserskiej serii, w 1982 r., pojawił się na wielkich ekranach jako John Rambo, straumatyzowany weteran wojny wietnamskiej, zderzony z małomiasteczkową zawiścią i bigoterią. Obie serie zrobiły z niego jednego z najbardziej rozpoznawalnych aktorów kina akcji, ikonę popkultury lat 80. A rola Rocky'ego przyniosła mu po wielu latach jeszcze jedną nominację do Oscara, którą dostał za występ w filmie „Creed". Podstarzały Balboa jest tam trenerem syna Apolla Creeda, a Stallone udowodnił coś, co rzadko miał okazję pokazywać na ekranie: gdy miał do dyspozycji dobry scenariusz, potrafił dać z siebie znacznie więcej niż atletyczny wysiłek.

Dokąd jednak ostatecznie zaprowadziły aktora te kręte ścieżki kariery, wiadomo. Dziś częściej bywa na ekranie niezamierzoną parodią samego siebie. Głośno wspierał Donalda Trumpa, nazywając go nowym George'em Washingtonem, choć odciął się od pomysłu prezydenta, by Stallone, Jon Voight i Mel Gibson stali się „specjalnymi ambasadorami" i odnowicielami Hollywoodu. „Wziął mnie z zaskoczenia", mówił w jednym z wywiadów.

„Rocky nauczył nas, że celem nie zawsze jest wygrana, lecz wytrwanie do końca, udowodnienie, że potrafisz stawić czoła wyzwaniom, jakie stawia przed tobą życie. By nie poddawać się, kiedy robi się trudno", pisze aktor w książce „The Steps". Przypominając zarazem, jaką prostą prawdę miał 50 lat temu widzom do przekazania.

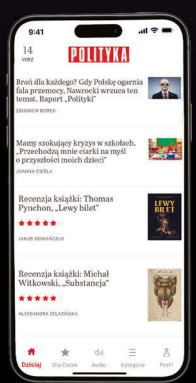
JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA

POLITYKA
ZAWSZE CIEKAWI

Black Friday
do -50%
Taka oferta tylko raz w roku!

Dostęp do Aplikacji
Artykuły audio
Wydania specjalne



Subskrybuj
polityka.pl/bf26

Promocja ograniczona czasowo

eprasa.pl





Kino Tęcza, miejsce legendarne, które bywało przystanią dla kultury alternatywnej, dziś reaktywuje się pod auspicjami Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy.

Neon już świeci

MIROSŁAW PĘCZAK

Zaczęło się przed wojną. W dawnym budynku kotłowni ogrzewającej żoliborskie osiedle Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Suzina w 1933 r. powstał kinoteatr, gdzie można było oglądać nie tylko niewybredne polskie czy amerykańskie komedie, lecz również filmy artystyczne, w tym awangardowe. Nieprzypadkowo też pierwszym teatralnym spektaklem zaprezentowanym w tym miejscu była nowatorska w formie i antykapitalistyczna w wymowie sztuka „Sacco i Vanzetti" (premiera 31 maja 1933 r.), napisana przez Uptona Sinclaira (oryginalny tytuł „Boston"), w reżyserii Michała Weicherta i ze scenografią Szymona Syrkusa.

Sztuka o niesłusznie skazanych i straconych przez amerykański wymiar sprawiedliwości anarchistach dobrze pasowała do ideowego ducha osiedla. W okolicznościowej przemowie na otwarcie nowego kina współtwórca WSM, radny miejski Teodor Toeplitz pisał: „Znajdujemy się w przestronnej, jasnej, pogodnej, pięknej sali – znajdujemy się w teatrze wyczarowanym z kotłowni". Na uwagę zasługiwała nie tylko przestronna sala, ale też modernistyczna bryła budynku, odwzorowująca aktualne tendencje architektury. Nawet sam fakt, że teatr został „wyczarowany z kotłowni", rymował się z kolorytem czasu i miejsca.

Dla przypomnienia: WSM powstała w 1921 r. z inicjatywy działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej i od początku swego istnienia starała się realizować idee osiedla społecznego jako nowego typu przestrzeni urbanistycznej, w której liczy się wzmacnianie więzi sąsiedzkiej i zaspokajanie potrzeb kulturalnych mieszkańców, głównie ze środowisk robotniczych oraz tych określanych później mianem inteligencji pracującej. Nowo otwarte kino doskonale wpisywało się w te pomysły, choć z czasem Tęcza straciła walor popularyzatorki awangardy, stając się w latach 50. i 60. po prostu kameralnym kinem osiedlowym. Wciąż jednak wyświetlano tu starsze filmy, a wśród publiczności pojawiał się mieszkający niedaleko Andrzej Wajda z żoną Krystyną Zachwatowicz.

U progu transformacji Tęcza zaczęła się przeistaczać z osiedlowego kina w ośrodek kultury funkcjonującej poza głównym nurtem. W 1989 r. budynek przekazano Akademii Ruchu, grupie teatralno-performerskiej, założonej w 1972 r. przez historyka sztuki (potem dyrektora Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim) Wojciecha Krukowskiego. Działalnością Akademii w Tęczy kierował Jarosław Żwirblis, który z jednej strony ściągał tu na występy artystów światowych, z drugiej – otworzył placówkę na środowiska lokalne. I tak w kinie Tęcza występowały teatry z Izraela, Ameryki, Japonii, a jednocześnie swoje miejsce znalazł tu założony przez miejscowych licealistów Teatr Tratwa.

W Tęczy gościli wybitni twórcy filmowi, jak Derek Jarman czy Peter Greenaway, a w 1993 r. pojawił się tu poeta Allen Ginsberg, czołowy reprezentant literatury

eprasa.pl 3ca6a7670d



Kino Tęcza w Warszawie w 1945 r. i dziś (po lewej)

Beat Generation, ojciec duchowy ruchu hipisowskiego. Był to kolejny występ autora „Skowytu" w Warszawie (parę lat wcześniej miał wieczór autorski w Starej Prochowni). W Tęczy przy swoich ekstatycznych melorecytacjach akompaniował sobie za pomocą małej fisharmonii, a z tyłu sceny dyskretnie towarzyszył mu kontrabasista. Jak wspomina dziś Jarosław Żwirblis, był to przybyły z Białorusi późniejszy muzyk zespołu Kuby Sienkiewicza Andrzej Owczynnikow. Żwirblis, organizator wydarzenia, był trochę zaniepokojony, gdy po recitalu zobaczył, jak młodzi ludzie częstują starego poetę jointami z marihuaną. Ale sam poeta powiedział mu: „To był mój najlepszy występ od śmierci mojej matki". Zapewne miał na myśli wieczór, w czasie którego recytował po raz pierwszy swój słynny poemat „Kaddish", poświęcony zmarłej w 1956 r. Naomi Ginsberg.

Tęcza zasłynęła nie tylko takimi wydarzeniami. Jak pisał w internetowym magazynie „Dwutygodnik" Paweł Soszyński, „na Suzina odbywały się międzynarodowe festiwale teatru, pokazy japońskiego butoh, panele poświęcone Czeczenii, koncerty muzyki starofrancuskiej i punkowej. (...). W Tęczy swoją eksperymentalno-ekologiczną twórczość prezentowały niszowe Dziady Żoliborskie z autorskimi projektami wideo". W 1992 r. – jak przypominał Soszyński – „w kinoteatrze otwarto Galerię A.R., której głównym kuratorem był Krzysztof Żwirblis. W niej swoje kariery rozpoczynali Paweł Althamer i Artur Żmijewski".

Krótka, kilkuletnia historia związków Akademii Ruchu z kinem Tęcza obfitowała w nieustanne walki o dotacje i uczciwe traktowanie ze strony władz dzielnicy, a także ZPR-ów i Stołecznej Estrady, które to instytucje sprawowały kolejno formalny nadzór nad działalnością kina.

Jak mówi Żwirblis, już w 1991 r. Tęcza jako ośrodek kultury, rozwijany przez specjalnie w tym celu powołane Stowarzyszenie Przyjaciół Akademii Ruchu, praktycznie została odcięta od funduszy. Przestała samodzielnie dysponować przyznawanymi na konkretne przedsięwzięcia dotacjami, które automatycznie przejmowały nadzorujące instytucje. Mimo to kino działało na zasadzie „od projektu do projektu".

Ciekawe są w tym kontekście wspomnienia Pawła Dunina-Wąsowicza, wydawcy i animatora kultury, który organizował na Suzina imprezy pod szyldem wydawanego przez siebie magazynu literackiego „Lampa i Iskra Boża". – *Po transformacji w kinie pojawiło się stoisko z artystycznymi wydawnictwami i scena w miejscu pierwszych rzędów* – mówi o swoich pierwszych kontaktach z Tęczą. – *Bodaj w grudniu 1994 r. trafiłem tam z Krzyśkiem Vargą na imprezę firmowaną przez pismo „Brulion", składankę poezji, muzyki i wideo, zobaczyłem pierwszy raz zespół Świetliki, a także obnażającego pośladki Lopeza Mausere.*

Dunin-Wąsowicz przypomina organizowaną przez siebie imprezę Art Zine Show. Początkowo w Staromiejskim Domu Kultury, a później – dzięki pracującemu tam Krzysztofowi Żwirblisowi – w trzeciej edycji już w Tęczy, na wzór „Brulionu". – *Impreza była tak udana, że wydając wiosną 1996 r. antologię „Macie swoich poetów", zgadaliśmy się ze Żwirblisem do zrobienia promocji właśnie w Tęczy.*

Jesienią kolejną poetycką imprezę uświetnił zespół Cukierki, w którym Dunin-Wąsowicz wystąpił w supergrupie z Grabażem, Muńkiem Staszczykiem i Marcinem Świetlickim. To był 5 listopada, urodziny Muńka, i tak się osobliwie złożyło, że w dniu koncertu urodziła się mu córka. Trzeba dodać, że gwiazdy popu i undergroundu występowały w innych niż zwykle rolach z okazji towarzyskiej i bezinteresownie. Paweł Dunin-Wąsowicz przypomina też, że Stowarzyszenie Przyjaciół Akademii Ruchu było tępione przez prawicowego radnego (późniejszego posła PiS) Karola Karskiego, który przegląd nazistowskich filmów propagandowych (w tym słynne dzieła Leni Riefenstahl), komentowany dla publiczności przez filmoznawczynię Wiesławę Czapińską, podał do prokuratury jako przykład propagowania faszyzmu.

Grabaż, czyli Krzysztof Grabowski – wokalista i lider zespołu Pidżama Porno – mówi z kolei, że dzięki Pawłowi Duninowi-Wąsowiczowi w kinie w 1997 r. odbyła się promocja albumu „Złodzieje zapalniczek". Przyszła, jak powiada, „cała warszawka", jak nigdy później na żadnym ich warszawskim koncercie. Grabaż przypomina też, że w czasie wydarzeń „Lampy" grywał na basie w zespole Dunina-Wąsowicza Paul Pavique Movement. – *Co prawda nie umiałem grać na basie* – mówi dzisiaj – *ale szybko zrozumiałem, że chodzi tu o punkowego ducha, a nie o wirtuozerię.*

Ten punkowy duch towarzyszył na miejscu innym imprezom. Choćby występom zespołów yassowych – np. legendarnego Mazzoll & Arhythmic Perfection – ale też atrakcjom audiowizualnym. W lecie 1997 r. Tęcza jako pierwsza ▶

© PIOTR KRAJEWSKI, PAP/KAROL SZCZECIŃSKI

eprasa.pl 3ca6a7670d



▶ wprowadziła do regularnego repertuaru pełnometrażową fabułę wideo niezależnej, amatorskiej produkcji: „Fikcyjne pulpety" Wojtka Koronkiewicza z Białegostoku. To samo dotyczy akcji anarcho-punkowego kolektywu Praffdata, który w 1993 r. w gmachu na Suzina zrealizował performance z okazji rocznicy stanu wojennego pod nazwą „War-Show". Tak pisała o tym przedsięwzięciu „Gazeta Wyborcza": „Godzinna bitwa na tekturowe pudła bez ofiar w ludziach, petardy, zomowcy jak żywi, beczki piwa i totalne pozbywanie się agresji w agresywnej muzyce i tańcu to »War-Show« zespołu Praffdata, nazwany także akademią ku pamięci stanu wojennego. Miejsce akcji: kino Tęcza. Czas: wieczór i noc poprzedzająca 13 grudnia. Na scenie: totalitarne miasto, w ciszy nocy zaczynają wyć syreny, strzelają petardy. Niespodziewanie wali się na publiczność mur z tekturowych pudeł".

Od początku lat 90. adres Suzina 6 był dla całej alternatywnej Warszawy ważniejszy niż galerie sztuki, kluby studenckie czy duże sale koncertowe. Można się tu było zetknąć z osobami i działaniami, których gdzie indziej nie było za wiele. Jednocześnie dawał się boleśnie odczuć przemożny opór ze strony radnych Żoliborza, a po części także organizacji sprawujących formalną kuratelę nad przedsięwzięciami realizowanymi w Tęczy. Można było odnieść wrażenie, że wielu radnych i przedstawicieli stołecznych władz nie lubi kultury alternatywnej albo się jej obawia. Padały więc uwagi, że to wszystko, co w Tęczy organizują ludzie z Akademii Ruchu, to jakiś wygłup albo prowokacja, i lepiej było w czasach, kiedy kino dawało „normalne" seanse filmowe dla statecznych Żoliborzan.

Cytowany wcześniej Paweł Soszyński pisał, że jednym z powodów definitywnego zerwania współpracy z Akademią Ruchu i faktycznego zamknięcia Tęczy w 1997 r. było zachowanie młodych bywalców tego przybytku: „(...) jednym z ulubionych zajęć publiczności było picie na umór, co zresztą przypieczętowało losy miejsca. Pito nie tylko w samym kinoteatrze – również okoliczne zacne uliczki i skwery stawały się poligonem alkoholowej odporności. Głównie za sprawą punków, w polskich latach 90. finiszujących swój subkulturowy rajd przez historię młodzieżowych ruchów. Były więc to w pewnym sensie czasy heroiczne, a koncerty w Tęczy stały się wymarzoną sceną dla ostatnich aktów odwagi i finałowych wyskoków; w tym samym czasie wyobraźnią licealistów zawładnął hip-hop i estetyka techno".

Japoński awangardowy teatr tańca Butoh na scenie kinoteatru Tęcza, 1997 r. Poniżej: **wystąpił tu też Grabaż, lider Pidżamy Porno, promując album „Złodzieje zapalniczek", 1997 r.**



Na szczęście historia kina Tęcza będzie miała kontynuację. Obiekt gruntownie wyremontowano, prowadzeniem kina zajmie się Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy, uroczyste otwarcie nastąpi w weekend 28–29 listopada, lokalne media komunikują, że słynny neon nad kinem „już się świeci". A już 1 grudnia odbędzie się tam konferencja prasowa, w trakcie której ogłoszone zostaną nominacje do Paszportów POLITYKI. Czy będą jakieś nawiązania do alternatywnych epizodów tej historii, jeszcze nie wiemy, ale – jak podpowiadają pełne zwrotów akcji losy tego miejsca – przyszłość jest niespodzianką.

MIROSŁAW PĘCZAK

W ramach współpracy POLITYKI z kinem Tęcza w 2027 r. odbywać się tam będą spotkania i seanse pod hasłem „POLITYKA w Tęczy".

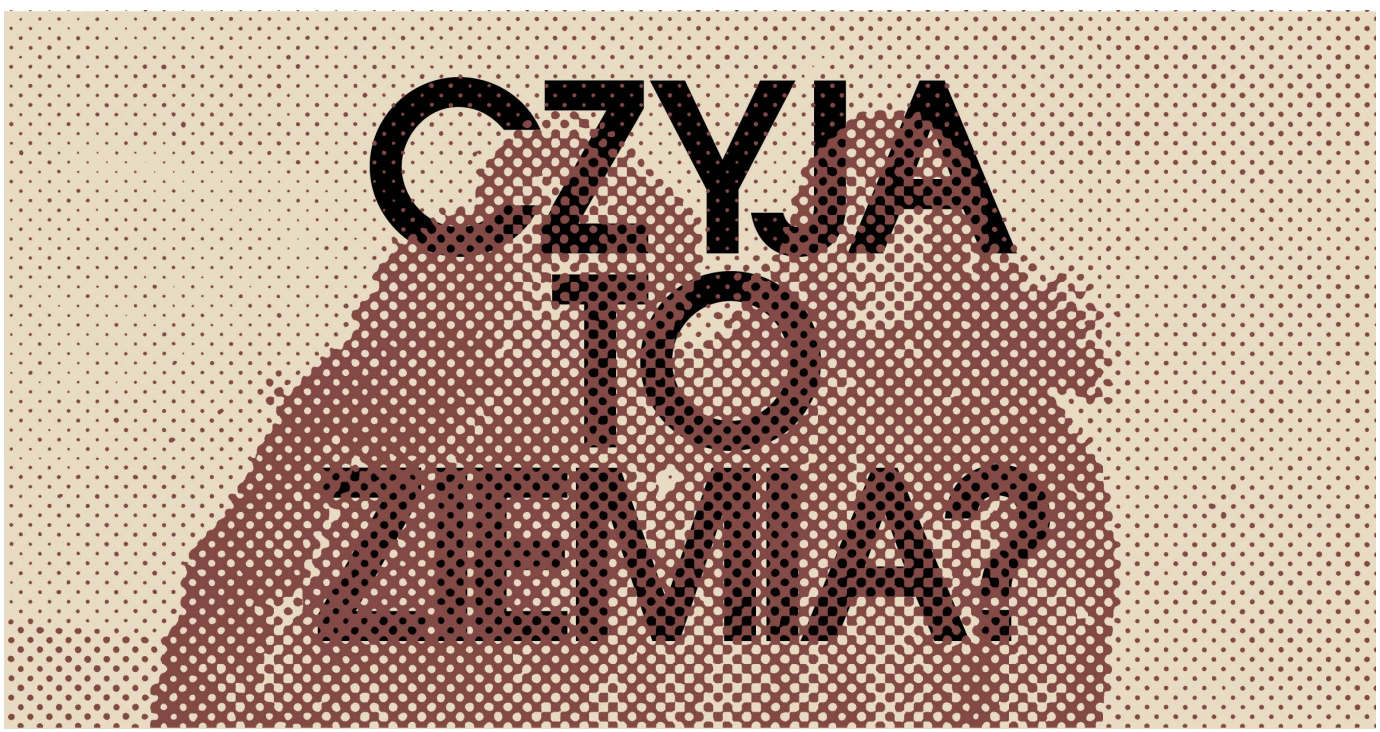
© ARKADIUSZ ŚCICHOCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI/FORUM

eprasa.pl 3ca6a7670d

KTO MA PRAWO DO ZIEMI I JEJ ZASOBÓW?
KTO PONOSI NAJWYŻSZE KOSZTY ICH POZYSKIWANIA?



WYSTAWY CZASOWE W PAŃSTWOWYM MUZEUM ETNOGRAFICZNYM W WARSZAWIE



Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie

WYSTAWA DOFINANSOWANA ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO, ORGANIZATORA PAŃSTWOWEGO MUZEUM ETNOGRAFICZNEGO W WARSZAWIE

Mazowsze. serce Polski
dwójka POLSKIE RADIO
TVP KULTURA
POLITYKA
Pismo.
SZUM

eprasa.pl 3ca6a7670d

Wirus GTA-6



Premiera gry wideo „Grand Theft Auto VI" będzie prawdopodobnie jednym z największych wydarzeń w historii show-biznesu. Dowody na to już zbieramy.

OLAF SZEWCZYK

Opustoszałe sale wykładowe i szkoły. Przetrzebione biura i fabryki. Gwałtowny wzrost liczby ofiar epidemii (przynajmniej w statystykach działu kadr), jak gdyby powrócił horror Covid-19. Zastanawiające tsunami wniosków o urlop mimo podłej aury za oknem. Tak może wyglądać spora część świata już 19 listopada.

Analitycy przewidują, że z powodu premiery gry studia Rockstar Games „Grand Theft Auto VI" w samych tylko Stanach Zjednoczonych nie przyjdzie do pracy półtora miliona osób, głównie mężczyzn. Niektórzy symulując chorobę, inni w ramach urlopu. Nie zabraknie też desperatów, którzy nie mogąc zapewnić sobie usprawiedliwienia, po prostu bez uprzedzenia zostaną w domu, wyciszając telefon i otwierając drzwi wyłącznie dostawcom pizzy. Podobne zjawisko obserwowano już w 2013 r., przy okazji premiery poprzedniej gry z serii, „GTA V". W amerykańskich metropoliach absencja w pracy sięgała wtedy do 6 proc., krótkoterminowe straty zysków w gospodarce z powodu nieobecności 400 tys. pracowników wyniosły ok. 250 mln. dol. Tym razem jednak problem będzie z grubsza czterokrotnie większy. Z powodu spadku produktywności straty gospodarki USA mogą wynieść około miliarda dolarów. I nie są to raczej szacunki przesadzone, skoro spośród ankietowanych dorosłych Amerykanów regularnie spędzających czas przy grach wideo aż 39 proc. zadeklarowało złożenie wniosku o urlop, a 36 proc. postanowiło „zachorować". Notabene pracodawcy już to komentują z gorzką ironią jako epidemię grypy GTA.

Ucierpią także gospodarki innych krajów. Przykładowo w Niemczech wiele osób wykorzystuje Bildungsurlaub – ustawowy płatny urlop szkoleniowy – by nie przychodzić do pracy przez kilka dni po premierze. W Wielkiej Brytanii chęć wzięcia urlopu w listopadzie zadeklarowało 65 proc. dorosłych amatorów gier. Są firmy, choćby amerykański Burger Motorsports, które z powodu zgłoszonej absencji pracowników zmuszone są zawiesić działalność na dzień premiery. Bywa, że na dłużej – kanadyjski Edison Motors zamyka się na dwa dni. W Polsce największy wzrost liczby wniosków o urlop odnotowano w branży IT.

eprasa.pl 3ca6a7670d

Skalę fenomenu, który już 13 lat temu był określany przez ekonomistów jako efekt GTA, opisuje się w wysokich liczbach. Podczas gdy najdroższe filmowe blockbustery rzadko dobijają nakładami na produkcję do pułapu pół miliarda dolarów, stworzenie „Grand Theft Auto VI" kosztowało szacunkowo od miliarda do ponad 2 mld dol. Rekordowe mają być także spodziewane zyski. Firma analityczna Newzoo przewiduje, że już w pierwszym tygodniu nabywców może znaleźć 37 mln egzemplarzy gry, co globalnie przełoży się na 4,5 mld dol. przychodów brutto. Ostatecznie kwoty te znacząco wzrosną. „GTA V" znalazło do dziś około ćwierć miliarda nabywców. Można śmiało założyć, że „GTA VI" sprzeda się lepiej. Zachowując proporcje, może wygenerować przychody większe od PKB takich krajów, jak Bośnia i Hercegowina, Armenia czy Albania.

Patrząc chłodnym okiem, to po prostu jakieś szaleństwo. Co zatem jest tak kuszącego w grach z cyklu „Grand Theft Auto", że potrafią zaburzyć porządek świata? Urok zakazanego owocu, bo cała seria to zawsze brutalne i krwawe opowieści gangsterskie z barwnymi bohaterami. I widowiskowość – dzięki olbrzymim budżetom na produkcję. Do tego ambicje i wybitne rzemiosło twórców próbujących wykreować świat możliwie jak najbardziej żywy, wiarygodny – jeśli nie w konfrontacji z rzeczywistością, to przynajmniej równający do filmów na takie tematy. I jeszcze rozmach: przekraczanie granic, nierzadko obyczajowych i dobrego smaku, no i związane z tym kontrowersje i skandale.

Wszystko zaczęło się w 1997 r. od pierwszej gry „Grand Theft Auto" i tytułowej kradzieży aut oraz innych przestępstw, pozwalających się wspinać po drabinie gangsterskiej kariery. Już wtedy tematyka gry budziła kontrowersje za sprawą swojej brutalności. Te kontrowersje zostały wykorzystane przez wydawcę w kampanii reklamowej. Wyrażane przez wielu oburzenie pomogło sprzedać grę. Autorzy „GTA" wyciągnęli z tego lekcję. Odtąd skandale związane z przemocą – a z czasem i z seksem – towarzyszyły premierom wszystkich odsłon z cyklu „GTA".

Oczywiście nie była to pierwsza gra wideo pokazująca brutalną przemoc na ekranie. Już w 1982 r. pojawiła się szokująca „Custer's Revenge". Jeśli okładka, na której karykaturalny, wąsaty żołnierz Konfederacji wyciąga łapsko w kierunku krocza indiańskiej squaw, mogła się wydawać niesmaczna i skandaliczna, to zawartość gry wykraczała już poza wszelką skalę. Zabawa polega bowiem na tym, że generał Custer – tak, ten Custer, niesławny rzeźnik Indian – gwałci przywiązane do kaktusów nagie kobiety. Co prawda sylwetki składały się z kilkunastu pikseli, ale najwyraźniej koncepcja wydała się nabywcom tak atrakcyjna, że mimo absurdalnie wysokiej ceny kartridża z grą do Atari 2600 – 50 dol., jedna czwarta ceny konsoli! – nabywców znalazło ponad 80 tys. egzemplarzy. Wydana nieco później, pod koniec 1982 r., krwawa „The Texas Chainsaw Massacre", gdzie tak jak w filmowym horrorze „Teksańska masakra piłą mechaniczną" (1974 r.) sadysta z warczącą piłą biega za przerażonymi dziewczętami, wypadała na tym tle niemal niewinnie, niczym pluszowe przygody Prosiaczka i Tygryska.

Przełomem była gra „Mortal Kombat" z 1993 r., a właściwie – jak zauważa Piotr Mańkowski w „Twórcach światów. Kronikach gier wideo" – jej pouczające perypetie. Wygrywając w turniejowym pojedynku, można było zakończyć żywot przeciwnika dość makabrycznym ciosem specjalnym, np. wyrywając mu serce lub kręgosłup wraz z czaszką. Gra stała się olbrzymim przebojem. Co ciekawe, przygotowując wersję „Mortal Kombat" na konsolę SNES, wydawca, zgodnie z fundamentalną zasadą firmy Nintendo, by nie epatować przemocą, wyciął z gry wszystkie te brutalne ciosy kończące. Efekt? Trzykrotnie gorsza sprzedaż w porównaniu z nieocenzurowanymi edycjami gry.

Wydawcy „Grand Theft Auto" niewątpliwie uważnie przeanalizowali ten przypadek. Wszystkie kolejne gry z tej serii budziły duże kontrowersje z powodu zawartych w nich scen przemocy. Pogoń z piłą łańcuchową za celem gangsterskiego zlecenia, palenie i grzebanie ludzi żywcem, tortury, o masakrowaniu kijem bejsbolowym i masowych rozwałkach nie wspominając, to w „GTA" nic nowego. Po premierze „GTA IV" nastała wśród graczy moda na konkurowanie w sieci nagraniami pokazującymi, kto dzięki wykorzystaniu kanistra z benzyną i po zablokowaniu drzwi w aucie efektowniej spali uwięzioną w nim adwokatkę Kiki Jenkins lub wymyśli jakiś inny niebanalny rodzaj egzekucji.

Szczególnie cyniczne i wyrachowane było umieszczenie w „GTA V" sceny przesłuchania, w której gracz miał za zadanie torturować niewinnego człowieka. W repertuarze: wyrywanie zębów cęgami, łamanie kości kluczem francuskim, zaciskanie na sutkach ofiary żabek kabli rozruchowych akumulatora i rażenie prądem, podtapianie. POLITYKA z tego właśnie powodu oceniła grę w skali 1–6 na 0. Decydenci Rockstar Games doskonale wiedzą, że etykieta „18+" nie ma praktycznego znaczenia, bo to nastolatki i osoby dopiero wchodzące w dorosłość są jedną z największych grup użytkowników ich gier, a jednak bez skrupułów to wykorzystują. Scena tortur miała wywołać skandal, by zwiększyć zainteresowanie „GTA V", ergo: zysk netto. Plan się powiódł. Skali szkód w psychice odbiorców nie da się podliczyć.

„Grand Theft Auto VI" zapewne przywróci więc dyskusje o przemocy w grach. To w założeniu gangsterska ballada o współczesnych Bonnie & Clyde. Napady z bronią w ręku, brawura, szybkie, mocne życie wypełnione przemocą, nocne kluby i półświatek. Jak daleko posuną się tym razem autorzy? Świat się zmienia, a od premiery poprzedniej gry w serii minęło już 13 lat. Spragnieni uwagi masowi mordercy atakowali przez ten czas wielokrotnie – niekiedy wprost naśladując zbrodnie podpatrzone w „GTA" – zatem uważniej przyglądamy się przekazom medialnym mogącym posłużyć za inspirację. Twórcy „Grand Theft Auto" powinni więc chyba wziąć pod uwagę to, że granice naszej tolerancji są obecnie mniej odległe niż kiedyś.

Po tragedii w Krakowie jest właściwie pewne, że problem przemocy w grach wróci do publicznej dyskusji i w Polsce. Już pojawiają się porównania do Breivika i masakry na wyspie Utøya. Norweg nie ukrywał wtedy, że do zabijania przygotowywał się w grze „Modern Warfare 2". Uczył się w niej m.in. celowania i taktyki wojskowej, która – jak uważał – mogłaby mu się przydać w przypadku starcia z norweską policją. Według niektórych przypuszczeń inspiracją do zbrodni mogła być misja z tej gry: „No russians", w której protagonista ma za zadanie zmasakrować przypadkowych cywili na moskiewskim lotnisku wzorowanym na Szeremietiewie. Breivik nigdy tego nie potwierdził. Przeciwnie – deklarował czerpanie wzorców z prawicowego ekstremizmu. Mimo to po masakrze na wyspie Utøya Norwegia wycofała ze sprzedaży nie tylko grę „Modern Warfare 2", ale i pół setki innych jej pokrewnych, w tym polską „Sniper: Ghost Warrior".

Nie wiemy jeszcze, jak daleko twórcy z Rockstar Games posunęli się w kontrowersyjnych zabiegach marketingowych ▶

© ROCKSTAR GAMES

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ zaszytych w grę, wiemy jednak, że w tradycyjnym marketingu biją kolejne rekordy. Miejscem gry jest fikcyjny amerykański stan Leonida wzorowany na Florydzie i miasto Vice City wzorowane na Miami. Kosztem olbrzymich nakładów producent gry odwrócił porządek rzeczy, upodobniając... Miami do Vice City. Dach hali sportowej drużyny NBA Miami Heat zdobi gigantyczny podświetlany napis „Welcome to Vice City", widoczny z samolotów. Po ulicach jeżdżą znane z gry sportowe samochody, lowridery i radiowozy z rejestracjami stanu Leonida, wszędzie wiszą reklamy fikcyjnej stacji telewizyjnej Weazel News, firm, klubów, usług z Vice City, olbrzymie wizerunki pary bohaterów gry: Lucii i Jasona. 21 listopada odbędzie się w Miami, organizowany przez Rockstar Games i Sony PlayStation, festiwal muzyczny GTA VI z plejadą gwiazd, które usłyszymy w grze. Wystąpią m.in. Travis Scott, Cardi B, Don Toliver i Metro Boomin.

Muzyka była zawsze bardzo ważnym atutem gier z serii „Grand Theft Auto". Jadąc samochodem, mogliśmy słuchać rozmaitych stacji radiowych z naprawdę świetnie dobranymi utworami, zapowiadanymi przez charyzmatycznych DJ-ów. Tym razem w roli kapłanów radiowego mikrofonu wystąpią m.in. Bad Bunny, RaiNao, Trick Daddy, Robyn i Tom Araya. Muzyki będzie można słuchać także poza autem, strumieniowaną z telefonu do bezprzewodowych słuchawek. Równolegle z grą zadebiutuje album muzyczny z 34 nowymi utworami, przygotowanymi specjalnie na tę okazję przez takich wykonawców, jak Cardi B, Travis Scott, Yung Lean, Future & Metro Boomin, Morgan Wallen czy Rauw Alejandro. Dla graczy pamiętających czasy, gdy po Ziemi człapały dinozaury, zagra tu też (premierową piosenkę – bluesowy standard „Bright Lights, Big City") Keith Richards. Aż do 11 grudnia będziemy musieli natomiast poczekać na premierę muzyki ilustracyjnej z gry, przygotowaną przez francuski duet Justice, przy udziale m.in. King Gizzard & the Lizard Wizard, SZA i Tame Impala.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że takiej premiery jeszcze w historii show-biznesu nie było. „Grand Theft Auto" to więcej niż gra; dla wielu to ważny kamień milowy w budowaniu tożsamości i wydarzenie, na które czeka się latami. Potwierdzają to trendy rynkowe. Długo przed premierą, specjalnie dla tej gry zaczęto masowo kupować konsole, głównie drogą PlayStation 5 Pro, bo – jak zapowiedzieli twórcy – zapewni najlepsze wrażenia wizualne. Popyt był tak duży, że w sklepach zabrakło towaru. Cena PS5 Pro na czarnym rynku sięgała momentami 2 tys. dol.

Sytuację potęguje fakt, że od premiery „GTA V" minęło aż 13 lat. W „GTA VI" zagra wiele osób, które dotąd z grami z tej serii nie miały bezpośredniej styczności, a mimo to zostały w jakimś stopniu ukształtowane przez ich fenomen. Popkultura jest dziś naszpikowana odniesieniami do „GTA" jak keks bakaliami. Ile osób zna mem ze słynną frazą „Ah shit, here we go again", nie wiedząc, że to cytat z CJ-a, bohatera „Grand Theft Auto: San Andreas" (2004 r.), gdy kroczy alejką przez terytorium kontrolowane przez wrogi gang? Ostatnio przerobiony kadr z tej sceny lubi publikować na swym koncie w X ukraińska firma zbrojeniowa Fire Point, produkująca słynne drony Flamingo. W ten sposób ironicznie komentuje kolejne trafienia w rosyjskie rafinerie i fabryki broni.

Bez względu na to, czym okaże się „GTA VI", jest pewne, że wywrze wpływ na globalną kulturę.

OLAF SZEWCZYK



Jeśli chodzi o gatunki filmowe, jestem politeistą: lubię wszystkie, o ile tylko filmy są dobrze zrealizowane – mówi Ethan Hawke, hollywoodzki aktor, gwiazda dramatu historycznego „Przemytnicy".

Aktor z bagażem

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– W pańskiej karierze dominują role bohaterów niejednoznacznych, skomplikowanych. Murphy z „Przemytników", niesłusznie skazany na więzienie w czasach Wielkiego Kryzysu i przez naczelnika więzienia zmuszony do nielegalnego transportu złota, to jednak postać w tradycyjnym hollywoodzkim stylu. Co pana przyciągnęło do tej produkcji?**

ETHAN HAWKE: – Marzyłem o takiej roli od kilku lat, od czasu, gdy kręciłem dokument „Ostatnie gwiazdy kina" poświęcony Paulowi Newmanowi i Joanne Woodward. Oglądałem wtedy mnóstwo klasycznych amerykańskich filmów i podziwiałem, jak



Ethan Hawke z Julie Delpy w „Przed wschodem słońca", 1995 r. Powyżej: **jako Samuel Murphy w najnowszym filmie „Przemytnicy".**

eprasa.pl 3ca6a7670d



Ethan Hawke (ur. 1970 r.) – amerykański aktor, reżyser, scenarzysta i pisarz. Pierwszą dużą rolę zagrał w „Stowarzyszeniu umarłych poetów" w 1989 r. i od tamtej pory pozostaje jednym z najbardziej aktywnych twórców Hollywoodu. Pięciokrotnie nominowany do Oscara: za role w filmach „Dzień próby", „Boyhood" i „Blue Moon" oraz za scenariusze do „Przed zachodem słońca" i „Przed północą". Film „Przemytnicy" w reżyserii Padraica McKinleya wchodzi na ekrany polskich kin 20 listopada.

Newman był w stanie wyrazić charakter swojego bohatera bez nadużywania słów. Wiele jego najlepszych występów wcale nie jest opartych na dialogach, lecz na ruchu, spojrzeniach, gestach. W latach 50. role szlachetnych, uczciwych, pokornych facetów to już była hollywoodzka klisza, ale on potrafił nadać tym postaciom osobowość. Dziś takich ról jest mniej, a ja naprawdę chciałem zagrać kogoś, kogo sam mógłbym jako człowieka podziwiać: człowieka postawionego pod ścianą, ale zachowującego moralność i godność. Poza tym lubię klasyczne kino przygodowe, a od lat nie miałem okazji zagrać w takim filmie.

Myśli pan o „Białym kle"? To był jeden z pierwszych filmów, dzięki któremu dostrzegła pana publiczność.

Oba te filmy jakoś ze sobą w mojej głowie korespondują. Wystąpiłem w „Białym kle", kiedy byłem jeszcze bardzo młody, kręciliśmy go na Alasce, a kino wydawało mi się wielką przygodą. Czułem się świetnie pośrodku niczego, tylko z niewielką ekipą. Od tamtej pory nie miałem podobnego doświadczenia, brakowało mi tego. Bardzo chciałem nakręcić klasyczny film przygodowy. Uwielbiam „Skarb Sierra Madre" i „Afrykańską królową" Johna Hustona, „Cenę strachu" Williama Friedkina, westerny Clinta Eastwooda. Proste, mocne historie, opowiedziane w klarowny sposób. Więc gdy przeczytałem scenariusz „Przemytników", od razu wiedziałem, że praca nad tym filmem może być tym, czego potrzebowałem.

Zdjęcia do „Przemytników" powstawały w mniej ekstremalnych warunkach, choć zdziwiło mnie, że Amerykę z czasów Wielkiego Kryzysu zagrała tu Bawaria…

To był efekt wsparcia produkcji, jakie dostaliśmy od Deutscher-Filmfoerderfonds, Niemieckiego Funduszu Filmowego. Film powstawał w trudnych warunkach. Kręcony w naturalnych plenerach, wymagał od nas bardzo ścisłego trzymania się planu zdjęciowego. Więc gdy mieliśmy dwa dni na zdjęcia nad rzeką, nie mogliśmy liczyć na więcej. Jeśli kręcisz film za kupę pieniędzy, to masz większą elastyczność. Ale „Przemytnicy" to kino niezależne, o stosunkowo niskim budżecie, które wymaga precyzji, dyscypliny i doskonałego przygotowania. I tak właśnie było, a ja uwielbiam w ten sposób pracować.

Woli pan grać właśnie takich szlachetnych bohaterów czy jednak więcej dają panu jako aktorowi czarne lub przynajmniej niejednoznaczne postaci?

Problem z pozytywnymi bohaterami polega na tym, że właściwie zawsze wiadomo, jak będą postępować, że zawsze wybiorą to, co słuszne. Czarne charaktery bywają nieobliczalne, a dzięki temu fascynujące. Dlatego Jack Nicholson, Gene Hackman czy Al Pacino zrobili oszałamiające kariery, analizując w swoich rolach mroczne strony człowieczeństwa. Paradoksalnie jednak moje dwie ulubione postaci, jakie zagrałem, to Jake z „Dnia próby" i właśnie Murphy z „Przemytników". Dobrzy faceci w starym stylu. Żeby taka rola miała sens, potrzebuje świetnej historii. Ta szlachetność musi być zagrożona, wystawiona na ekstremalny test. Wszystko sprowadza się do więzi łączącej bohatera z fabułą, a jeśli fabuła jest wystarczająco dobra, to całość zadziała.

Czy ta rola nauczyła pana o aktorstwie czegoś nowego?

Trudno mi odpowiedzieć, bo właściwie całe życie poświęciłem temu zawodowi i wciąż sprawia mi on olbrzymią radość, naprawdę lubię się uczyć. Jakieś drobne cechy postaci, które gram, często ze mną zostają. Nauczyłem się również dostrzegać te mniej atrakcyjne cechy i wyciągać z nich wnioski na przyszłość. Aktorstwo może być rodzajem medytacji na temat życia i sztuki. Poszerza wyobraźnię, zwiększa zdolność do empatii. I nie zawsze dotyczy to wielkich ról szekspirowskich, każda rola może cię wzbogacić, dlatego to nieskończenie interesujący zawód. Szczególnie że nie ograniczam się do jednego rodzaju kina. Jeśli chodzi o gatunki filmowe, jestem politeistą. Lubię grać w westernach, horrorach, komediach romantycznych. Uwielbiam próbować swoich sił w filmach arthouse'owych tak samo jak w wielkich hollywoodzkich produkcjach. Lubię wszystkie rodzaje filmów, o ile są dobrze zrealizowane. Potrafię wczuć się w specyfikę każdego gatunku, a to motywuje mnie jako aktora.

Czy przygotowując się do występu w „Przemytnikach", inspirował się pan losami prawdziwych osób albo pamiętnikami z czasów Wielkiego Kryzysu?

Tak, głównie życiorysem mojego dziadka. Był prawdziwą osobowością, człowiekiem z pokolenia doświadczonego przez Wielki Kryzys i drugą wojnę światową. On wspominał te trudne lata jako coś, co było wyzwaniem, lecz jednocześnie kształtowało charakter, nauczyło go patrzeć inaczej na rzeczywistość. Niczego nie uważał za oczywiste i przewidywalne, choćby zwyczajnych posiłków. Miał ogromne poczucie wspólnoty i odpowiedzialności obywatelskiej. Nienawidził narkotyków i alkoholu, bo widział, jak niszczą ubogich ludzi, jak rujnują rodziny. Pod wieloma względami był jednym z najbardziej etycznych ludzi, jakich znałem. Co więcej, podobnie jak mój bohater ▶

© MATERIAŁY PRASOWE, BE&W

eprasa.pl 3ca6a7670d

▶ samotnie wychowywał córkę, moją matkę, a to w latach 50. było prawdziwą rzadkością. Poradził sobie z tym zadaniem doskonale, z miłością i odpowiedzialnością. Zawsze to w nim podziwiałem.

Pański bohater z „Przemytników" jest gotów zaryzykować wszystko, by odzyskać córkę. Sam ma pan czwórkę dzieci, z najstarszą córką Mayą współpracowaliście wiele razy, m.in. reżyserował ją pan w „Dzikocie", filmowej biografii pisarki Flannery O'Connor. Czym jest dla pana ojcostwo?

To truizm, ale rodzicielstwo naprawdę otwiera cię na świat i zwiększa twoją zdolność do współczucia. Kochasz własne dzieci i nagle zdajesz sobie sprawę, że każdy jest lub był czyimś dzieckiem, a to pozwala zupełnie inaczej myśleć o ludziach. Rodzicielstwo uczy pokory. Dzieci bezbłędnie obnażają twoją hipokryzję, a to paradoksalnie sprawia, że czujesz się lepiej, bo pozwala ustawić życiowe priorytety. Dobre wychowanie dziecka nie jest proste, czasami rodzice się rozstają, tak jak było w naszym przypadku. Ale jeśli wykonasz tę pracę najlepiej, jak potrafisz, daje to szczęście nieporównywalne z żadnym innym.

Jest pan nałogowym czytelnikiem, ale i pisarzem oraz poetą. Czy grając, inspiruje się pan literaturą, nawet gdy scenariusz nie jest adaptacją powieści? W „Przemytnikach" są przecież wątki, które mogłyby pojawić się choćby w prozie Johna Steinbecka.

To bardzo literacka historia. Steinbeck to dobry trop, bo fabuła jest przesycona niemal biblijnym fatalizmem, przeczuciem nadciągającej klęski. Czytałem ją również niczym klasyczne przygodowe opowiadania Jacka Londona czy Rudyarda Kiplinga, coś, czego we współczesnym kinie właściwie już nie ma. W ogóle dla mnie aktorstwo w pewnym sensie polega na zamianie scenariusza na prozę. Scenariusz to pobieżny szkic, aktorzy, reżyser, operator muszą mu nadać pełniejszy kształt: powieści albo obrazu. W scenariuszu pojawia się prosta scena: Murphy wchodzi do baru. W powieści byłaby pełna detali: o czym Murphy myśli, gdzie trzyma papierosy, z kim boi się zagadać, czego w ogóle tam szuka. Moim zadaniem jako aktora jest wypełnić te luki, nawet wtedy, gdy nie pojawiają się na ekranie. Im bardziej kompletna wizja, tym ciekawsza będzie wydawała się widzom grana przeze mnie postać.

Jeszcze jedną z pańskich pasji jest muzyka, nakręcił pan nawet filmową biografię artysty country Blaze'a Foleya. W „Przemytnikach" ścieżka dźwiękowa również odgrywa ważną rolę.

Ten film ma wyjątkowy soundtrack, bo muzykę skomponował Shelby Gaines, który jest jednocześnie współscenarzystą, ma więc naprawdę dogłębną wiedzę na temat tej historii. Komponując, jednocześnie sam budował instrumenty, żeby stworzyć unikatowe muzyczne przestrzenie. Dopiero w finale została użyta cudza kompozycja: „Call Me the Breeze" J.J. Cale'a, ale w wersji Lynyrd Skynyrd. Uwielbiam ten numer, choć to był pomysł reżysera Padraica McKinleya, żeby z niego skorzystać: on ma znakomite wyczucie, jak muzyką zbudować klimat konkretnej sceny. Przekonałem się o tym już wcześniej, gdy pracowaliśmy razem przy serialu „Ptak dobrego Boga".

Sam jest pan doświadczonym reżyserem. Lubi pan pracować z debiutantami, takimi jak Padraic McKinley?

„Przemytnicy" to pełnometrażowy debiut Padraica, ale to przecież nie oznacza, że jest on niedoświadczonym filmowcem. Całe życie spędził na planach filmowych, jest jednym z najlepszych montażystów, z jakimi miałem okazję kiedykolwiek współpracować, i wiedziałem, że to doskonały materiał na reżysera. To zresztą był dla mnie jeden z argumentów za przyjęciem tej roli: chciałem mu pomóc, bo wierzę, że to twórca z olbrzymim potencjałem. Jednocześnie rozumiem, że niektórym aktorom z reżyserskim dorobkiem może być trudno pracować z debiutantami. To tak jak w każdej pracy: jeśli twój szef ma mniejsze doświadczenie niż ty, to otwiera się droga do konfliktów. I widziałem przynajmniej kilka razy, jak starsi aktorzy stają się na planie zrzędliwi wobec debiutujących reżyserów, próbują na siłę dawać rady, stają się prawdziwym utrapieniem, bo jeśli kogoś nieustannie pouczasz, to nie jesteś pomocny, tylko okazujesz się dupkiem. A ja nie chcę tak traktować innych reżyserów, więc nie daję rad, chyba że ktoś mnie o nie poprosi.

Ma pan olbrzymi zawodowy dorobek, dziesiątki nagród i nominacji na koncie. Ale czy są w pańskiej filmografii tytuły, które pańskim zdaniem niewystarczająco doceniono?

To się zmienia, bo czasami film niespodziewanie zyskuje publiczność po latach. Albo żyje nieustannie od czasu premiery. Lubię rozmawiać z młodymi ludźmi, którzy mówią, jak ważnym filmem było dla nich „Stowarzyszenie umarłych poetów", a często są to widzowie, którzy urodzili się długo po premierze filmu. Kiedyś za niedocenione uważałem „Przed wschodem słońca", a dziś trochę trudno w to uwierzyć, bo dla wielu osób to kultowy tytuł. Podobnie było z „Gattacą – szokiem przyszłości". W kinach totalna porażka, lecz z biegiem czasu widzowie zaczęli do niego wracać. Zagrałem w naprawdę sporej liczbie filmów, które uważam za dobre, a które nie zdołały się przebić do szerszej świadomości. Bardzo lubię science fiction o podróżach w czasie „Przeznaczenie", w którym zagrała Sarah Snook, a ona jest zawsze niesamowita. Niedawno wróciłem do „Boyhood" Richarda Linklatera, obejrzałem go po raz pierwszy od 12 lat i uderzyło mnie, jak bardzo niezwykłe jest to dzieło. Jestem z tego filmu naprawdę dumny. A poza tym zagrałem w wielu dziwnych filmach niezależnych, których w ogóle nikt nie widział. Choćby w dramacie sportowym „The Phenom", który moim zdaniem był naprawdę świetny. Trudna rola, grałem tam przemocowego ojca.

Niedawno za występ w „Blue Moon" dostał pan nominację do Oscara, Złotego Globu i nagrody BAFTA, zbierał pan entuzjastyczne oceny za rolę w serialu „Mroki Tulsy". To przełomowy moment w pana karierze?

Naprawdę nie potrafię tego ocenić. Choć prawdą jest, że ostatnio dostaję często takie role, o jakich marzyłem jako młody aktor. Gdy wcześnie debiutujesz, jesteś obsadzany w rolach niedoświadczonych chłopców, bardzo trudno się wyrwać ze schematu. Szczerze mówiąc, aktorstwo nie wydawało mi się wtedy tak bardzo satysfakcjonujące, więc próbowałem wyrazić siebie w innych formach sztuki. Dużo więcej wtedy pisałem, myślałem, czy nie powinienem się właśnie na tym skoncentrować. Z wiekiem przyszły jednak coraz ciekawsze, bardziej wymagające propozycje. Bohaterowie, których gram w „Przemytnikach", „Blue Moon" i „Mrokach Tulsy", są skrajnie różni, lecz łączy ich to, że są ludźmi ze skomplikowaną przeszłością. To jest zaleta bycia aktorem po pięćdziesiątce: masz wystarczająco dużo życiowych doświadczeń, niesiesz spory bagaż przeszłości, a to pozwala na tworzenie pełniejszych, ciekawszych – zarówno dla widzów, jak i dla mnie samego – ról.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 3ca6a7670d

FELIETON

Witkowski



7.11.2026

W sobotę 7 listopada, mniej więcej wpół do trzeciej, planowaliśmy z dziewczyną przejść się na Stare Miasto. Poszukać nowego miejsca, w którym moglibyśmy coś zjeść. Zapewne przeciąć Rynek Główny w Krakowie, bo choć jako lokalsi mamy już go po korek, to jednak przyspiesza znacznie podróż po historycznym centrum. Pokonały nas temperatura i lenistwo. Postawiliśmy na rundę po sąsiedniej Krowodrzy, wokół domu, żeby w razie czego ukryć się przed zimnem.

Nie, nie uratowały nas dobre anioły i Opatrzność. To nie jest historia pod tytułem „Mogliśmy tam być, los nad nami czuwał". Skoro nie byliśmy, to nie mogliśmy. Podobnie jak nad ofiarami nie ciążyło żadne fatum, tylko czysty tragiczny nonsens. To, co wydarzyło się w tamten weekend, w żadnym wypadku nie jest o mnie. Nie wiem jednak, o czym miałbym w tym momencie napisać. Korzystam z przywileju, jakim jest zwracanie się bezpośrednio do państwa, bo tak jest mi po prostu łatwiej poradzić sobie z 7 listopada. Ryzykuję jedynie to, że zwrócą państwo wzrok ku sąsiedniej stronie lub przełączą kartę w przeglądarce.

My, lokalsi, nie mamy monopolu na smutek. Jeśli takowy miałby w ogóle rację bytu, to należałby się przede wszystkim ofiarom oraz ich bliskim. Niech pierwsi z wymienionych odpoczywają w pokoju. A jednak wszystko jest trochę o mnie, o tobie. Nie istnieje żaden obiektywny „Kraków po tragedii". Od kilku dni przecedzam to, co się wydarzyło, przez własną – aktualnie bardzo ciężką – głowę. Przemoc skutecznie zatruwa percepcję, zawłaszcza odbiór świata. Wszystko, co na ogół wydawało się bliskie i bezpieczne, banały w rodzaju warzywniaka koło naszego domu, sprawia teraz wrażenie, jakby ktoś wstrzyknął w nie czarny ciężki olej. Być może to niefortunne porównanie, tak to sobie jednak wizualizuję. Szukanie doskonalszych poetycko sformułowań byłoby zbędną blagą.

> Już kilka minut po zatrzymaniu sprawcy okazuje się, że 7 listopada był jednak o Tusku i Kaczyńskim.

Chcę wam jeszcze powiedzieć o zmęczeniu turystycznym Krakowem, o nieznośnych Brytyjczykach, o rzucanych w towarzystwie znajomych żartach w rodzaju „Czy znasz legendę o dwóch braciach? Jedna z wież Mariackiego jest niższa (...)", bo ile można do cholery o tym naszym magicznym Krakówku? My to już znamy, to jest normalne miasto, a nie pocztówka, zrobili nam z centrum lunapark, trochę też lupanar. Ale chcę też powiedzieć o tym, jak drogie stają się na powrót miejsca dotknięte tragedią jak ta. Jak trudno się patrzy na wielki opustoszały plac. A gdy pojawi się na nim kilkanaście tysięcy ludzi – jak podczas Marszu Milczenia – jak bardzo chciałoby się znowu usłyszeć coś więcej niż policyjne drony czy agregaty przy wozach transmisyjnych. Choćby to nawet był jazgot tych irytujących napitych Brytów.

Pewnie chciałbym powiedzieć też coś o tym, że to nasza wspólna tragedia. Że wszyscy straciliśmy poczucie bezpieczeństwa, bo „takie rzeczy to przecież w Ameryce, może w Londynie czy w Berlinie". Poza tym Kraków nie należy tylko do jego mieszkańców (bo przecież koniec końców to nie jest normalne miasto, co ja tam wyżej plotę?). Niesprawiedliwością byłoby go przywłaszczać. Ale to my będziemy musieli odczarować to miasto, znaleźć odtrutkę, upuścić czarnego oleju. I choć głupio się do tego przyznać, gdy znajomi z innych miast wstrzymali się na chwilę z publikowaniem w internecie rzeczy niezwiązanych z zamachem, było nieco łatwiej. A gdy po jednej, dwóch dobach wrócili do stałego rytmu, przeciwnie – poczułem się dziwnie samotny. Jakbym oczekiwał, że jedyna prawidłowa reakcja to kolektywne nurzanie się w smutku.

7 listopada i w dniach kolejnych świata było zdecydowanie za dużo. Chcę więc napisać, jak trudno jest przepracować to, co się wydarzyło, gdy już kilka minut po zatrzymaniu sprawcy przez funkcjonariuszy Kulika i Morańskiego okazuje się, że 7 listopada był jednak o Tusku i Kaczyńskim. Gdy przeciąganie liny zaczyna się w momencie, w którym ciała ofiar prawdopodobnie nie straciły jeszcze ciepła. I gdy kilka dni po tragedii wszystko wraca do swej koślawej normy, bo przecież jedno z najradośniejszych świąt w roku zamieni się po raz kolejny w smętne igrzyska.

Mógłbym napisać coś o cynikach w rodzaju Sakiewicza czy o nieroztropnym ministrze Kierwińskim zaogniającym nastroje. O tym, że jesteśmy bandą frajerów, koncertowo rozegranych przez platformy „społecznościowe" i polityków niemal wszystkich opcji. O niecierpliwym oczekiwaniu na informację, że sprawcą nie był Ukrainiec lub osoba niebiała. Wszystkie te skargi, połajanki, patosy – których, wiem, sam nie jestem w stanie uniknąć – odpadają od wydarzeń, utykają w pół drogi. Ot, śmierć w całej swej ciemnej glorii. Wobec niej mało która stylistyka wydaje się adekwatna.

Być może cisza w jednym z najbardziej gwarnych i ludnych miejsc w kraju jest bolesna. Nie bardziej jednak niż brak milczenia w momencie, który najbardziej daje do tego asumpt. 7 listopada tego roku nie był o mnie. Ale, och, jak bardzo był o nas.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 3ca6a7670d



Zaraza neutralności

Podobno ostatnim Krakowianinem, który nie wyprowadził się z Rynku Głównego, jest Grzegorz Turnau. Tak słyszałam w Krakowie. Nie wiem, czy to prawda, ale że krakowski Rynek nie nadaje się do życia, widziałam na własne oczy. Turystyka polska i międzynarodowa już dawno odebrała to miejsce Krakowianom: zglobalizowała je, umasowiła i zasikała. Morderca z Ostrowca Świętokrzyskiego wybrał je sobie na cel właśnie takie: wielonarodowe, obcojęzyczne, oddane konsumpcji i zabawie bez hamulców.

Niedaleko, w Akademii Sztuk Pięknych przy Placu Matejki, studiowała siostra zabójcy. Młodsza, zdolniejsza, odnosząca sukcesy siostra tokarza. W opinii krytyków sztuki obrazy Magdaleny Oksińskiej, których zdjęcia trafiły do sieci po zabójstwie z 7 listopada, ujawniają talent. Dialogujące z klasyką (Rembrandt, Łempicka), odważnie operujące kolorem i formą, mają swój styl. I wyraźną tematyczną dominantę – przedstawiają świat kobiety widziany jej oczami. Na jednej z prac Oksińskiej widać opuszczone do kolan majtki z zakrwawioną podpaską w kroku. Jest to widok, który każda kobieta ogląda w swoim życiu setki, jeśli nie tysiące razy, jednak w malarstwie próżno go szukać. Kobiety się uczy, żeby ślady swojej krwi ukrywały. Mężczyźni czują się głęboko dotknięci, wręcz wstrząśnięci, gdy je widzą.

Prawak, lewak czy szaleniec? Musimy wiedzieć, jaki polityczny język naładował magazynki w karabinie mordercy.

Inaczej z ranami, jakie to mężczyźni odnoszą w boju – im patriarchalna kultura nadała znaczenie symboliczne i otoczyła je czcią. „Jędruś! Ran twych niegodnam całować!" – wykrzykuje Oleńka Billewiczówna do Kmicica w „Potopie". Sienkiewicz nie powie nam, czy Oleńka miała wtedy okres, bo sam tego nie wie. Nie przyszłoby mu do głowy, żeby się nad tym zastanawiać. Portretuje ją jako bladą, wręcz bezkrwistą – „miała piękność białego kwiatu", co kontrastowo podkreślała „żałobna suknia". Otwierająca się co miesiąc kobieca rana, w której wyraża się zdolność rodzenia, uchodzi w patriarchalnej kulturze za odrażające zjawisko z poziomu higieny osobistej, jak brud zza paznokci albo wosk z uszu. Niegodne sztuki.

Symboliczne dowartościowanie krwi kobiecej postawiły sobie za cel myślicielki i artystki feministyczne. Słynna wystawa obrazów Agaty Bogackiej w Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie w 2003 r. nosiła tytuł „Ja krwawię!". Pierwszą rzeczą, jakiej dowiadujemy się o pannie Izabeli Łęckiej w serialu „Lalka" Pawła Maślony, jest to, że krwawi. Magdalena Oksińska świadomie wpisała się – a raczej wmalowała – w ten nurt. Taką sobie wybrała ideową afiliację. Przyjaciele mówią o niej ponadto, że była „osobą queerową". Miała więc wszelkie dane, by wydawać się bratu zepsutą częścią zepsutego miasta, „nierządnicą" w „Babilonie".

Ujawniane z biegiem czasu poszlaki potwierdzają, że morderca z Ostrowca szukałby swojego miejsca raczej wśród zwolenników skrajnej prawicy – ruchu MAGA i manosfery. Miał flagę Gadsdena, szerzej znaną od czasu ataku na Kapitol w 2021 r. Interesował się Andersem Breivikiem, zabójcą z wyspy Utøya, którego inspirowała nienawiść do osób LGBT i imigrantów. Śledził zbrodnie masowych zabójców z USA, w tym inceli, którzy otwarcie przyznawali sobie prawo do przemocy jako środka przywracania kobiet do ich użytkowej roli. W szkole wypowiadał się ostro przeciwko UE, LGBT i migracji. Ale nawet bez tych poszlak jego zbrodnia nie wyglądała przecież na „neutralną".

Polityczna neutralność stała się nagle złotym cielcem liberalnych elit. Słuszną moralnie postawą, która ma uchronić społeczeństwo przed katastrofą dalszej polaryzacji. Owładnięci ideą neutralności mądrzy skądinąd ludzie nie widzą, że leją wodę na młyn prawicy, a polaryzacja wcale od tego nie słabnie. Późnym wieczorem 7 listopada profesor Andrzej Nowak, główny ideolog PiS, zamieścił w sieci wpis, w którym oskarżył ministra spraw wewnętrznych o manipulację i obrazę ofiar, bo ten napomknął o skrajnie prawicowych ideologiach jako możliwym źródle inspiracji mordercy. Uderz w stół, a Nowak się odezwie.

Skoro Kierwiński pociągnął w prawo, to Nowak pcha w lewo. Chwyta się tyleż brzydko, co śmiesznie, zwracając uwagę, że do zbrodni – jakże znacząco! – doszło w rocznicę rewolucji październikowej. „W imię jej ideałów (Marksa, Lenina, Stalina, Mao), a w każdym razie przez systemy polityczne powołujące się na te ideały, na pewno nieprawicowe, zabito 85–100 mln ludzi" – podlicza naprędce. „Nie wiem, nie sądzę, nie ośmielę się przypuszczać" – odpowiada sam sobie na pytanie, czy morderca działał ku czci rewolucji. Swój wpis ozdobił jednak grafiką z Leninem, drutem kolczastym i komuszą czerwienią, która rozlewa się jak krew.

„Róża jest różą" – pisała Gertrude Stein. „Przemoc jest przemocą" – pisze Nowak. Prawak, lewak czy szaleniec – „ofiarom nie robi to różnicy". Ofiarom może nie, ale żywym, śmiem twierdzić, już tak. Musimy wiedzieć, jaki polityczny język naładował magazynki w karabinie mordercy. Przemoc jako panaceum na ich problemy wskazuje dzisiaj mężczyznom nie Lenin, tylko skrajna prawica.

RENATA LIS

eprasa.pl 3ca6a7670d



Ring a demokracja

Widziała pani wyniki?! – krzyknąłem do sąsiadki znikającej za drzwiami mieszkania.

– No pewnie – odwróciła się z uśmiechem, jakiego nigdy chyba u niej nie widziałem. – Nastawiłam sobie nawet budzik, żeby nie przeżywać tego co z Kamalą Harris.

– Byłem pewien, że demokracja w Ameryce jest zdewastowana na dziesiątki lat – odwzajemniłem uśmiech. – A tu proszę, jak się pięknie obywatele odwinęli.

– Bo czasem lepiej zostawić głupiego głupocie jego. Nie bić się z nim, tylko chronić głowę, żeby nie stracić rozumu.

W 1975 r. ukazało się arcydzieło reportażu sportowego – „The Fight" Normana Mailera. Tytułowa walka to słynny pojedynek bokserski, który w 1974 r. w Kinszasie stoczyli George Foreman i Muhammad Ali. Foreman wychodził na ring pewien wygranej, podobnie uważała większość dziennikarzy. W kolejnych rundach przyparty do lin Ali przyjmował potężne ciosy, blokował je lub osłabiał ich siłę, niezdolny – zdawałoby się – do skutecznego kontrataku. Już w piątej rundzie Foreman zaczął tracić siły, a w ósmej przegrał przez nokaut.

Ali zastosował perfekcyjnie taktykę *rope-a-dope*. Słowo *rope* oznacza linę ringu, a *dope* to potocznie głupek, frajer. Dzięki genialnej technice defensywnej Ali pozbawiał uderzenia Foremana impetu, powodując u niego coraz większe zmęczenie. Wymagało to niemal nadludzkiej zdolności przewidywania ciosów. Mailer opisał to w kapitalnym stylu:

„Patrzeć, jak Ali przyjmuje ciosy, znaczyło pobierać lekcję. Rozkładał się na linach i zaczepiał przeciwnika rękawicą niczym kotka drażniąca swoje kocię, prowokująca je, żeby zaczęło walić łapkami. Potem Ali podrzucał rękawicę i pozwalał, by cios przeciwnika odbił się od niej i ześlizgnął po jego głowie. Powtarzał tę sztuczkę pod coraz to innym kątem, jak gdyby druga połowa sztuki przyjmowania ciosów polegała na poznaniu trajektorii, po których pięści, choć ześlizgują się z twoich rękawic, mimo wszystko cię dosięgają. Ali nieustannie badał, jak odbierać takim ciosom siłę albo karać rękawicę, która je zadała. Bez końca pogłębiał swoją wewnętrzną wiedzę o tym, jak przechwytywać, tłumić, zmieniać, ośmieszać, zakrzywiać, przekręcać, wypaczać, zniekształcać, odbijać, przechylać i zawracać bomby nadlatujące w jego stronę. A wszystko to przy minimum ruchu, z plecami opartymi o liny, z rękami uniesionymi niedbale, niemal leniwie".

Przewrotność tej taktyki sprawia, że przeciwnik jest pewien wygranej, chociaż z każdą kolejną rundą przygotowuje swoją porażkę, wyczerpując się własną przewagą. Fenomenalne studium Mailera przekształca *rope-a-dope* w filozofię trwania pod naporem bezwzględnej i brutalnej siły. Nie można jej uniknąć. Przeciwnie, trzeba się poddać niszczycielskiej mocy i nie ulec. Ali potrafił przyjmować ciosy łatwiej niż inni pięściarze, jakby rozprowadzał wstrząs poza miejsce uderzenia albo kierował go tam, gdzie wyrządzi najmniej szkody. Nie wystarczy do tego odporność i wytrzymałość na ciosy. Umysł w obijanym ciele, a zwłaszcza w obijanej głowie, pozostać musi jasny. Sztuka przetrwania wobec dominującej przemocy wymaga jej zrozumienia, a nie tylko przeciwstawienia się jej. Ali nie uczył się sztuki unikania ciosów. Posiadł tajemnicę, jak być trafianym i nie ponosić pełnych konsekwencji uderzenia.

Sugestywność obrazowania Mailera sprawia, że zapominam o boksie, a zaczynam myśleć – a jakże! – o polityce. Wyobraźmy sobie, że Ali to odrzucona na liny demokracja, a Foreman to prezydent i jego zwolennicy, którzy zadają setki ciosów w jej instytucje, procedury i wartości. Demokracja nie może odpowiadać przemocą na przemoc, ale nie może też uciec przed niszczycielską, autorytarną siłą. Agora zmieniła się w ring i trzeba na nim przetrwać, bo kulturalnej polityki nie da się dziś uprawiać.

> Wyobraźmy sobie, że Muhammad Ali to odrzucona na liny demokracja, a George Foreman to zadający ciosy prezydent.

Musi więc demokracja ćwiczyć się w neutralizowaniu tych ciosów. Ale równocześnie powinna naśladować taktykę Alego i pogłębiać wiedzę o swojej przebiegłej odporności. Aby pod gradem gwałtownych uderzeń nieprzerwanie reprezentować, partycypować, deliberować, kontrolować, ograniczać władzę, konsultować, współdecydować, dyskutować, debatować, strzec trójpodziału władzy, bronić niezależności sądów i mediów, ujawniać nadużycia, gromadzić się, organizować, okazywać solidarność, protestować, uczestniczyć, edukować, myśleć.

Uważam, że jest to wzorcowa taktyka, jaką demokraci powinni przyjmować wobec antydemokratycznych przeciwników. A kiedy w końcu przeciwnik zrobi z siebie głupka lub osłabnie... Niestety nie. Tu podobieństwo się kończy. Reguły demokracji nie pozwalają odwinąć się i przyłożyć wyczerpanemu agresją przeciwnikowi. Co nie znaczy, że ma ona pozostawać wiecznie przy linach. Musi przetrwać napór i doczekać chwili, kiedy nokautujący cios zadadzą wyborcy. Jak widać po wyniku wyborów do Kongresu, taktyka Alego się sprawdziła. Jeśli wytrzymamy, u nas też może zadziałać. Pod warunkiem że to nie ustawka, ale boks na ringu. Obowiązują reguły i jest sędzia.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 3ca6a7670d



Ostatnia ofiara

Wszystkich poruszyła podana przez TV Republika informacja, że jedną z ofiar zamachu w Krakowie jest szef tej stacji Tomasz Sakiewicz, który w trakcie prowadzenia na żywo relacji o tym, czego nie widzi na krakowskim Rynku i sąsiednich ulicach, został słownie zaatakowany przez wrogo nastawione do niego przypadkowe osoby. „Cały czas nie widzę policji, ani jednego policjanta, to jest coś nieprawdopodobnego" informował widzów w momencie, gdy zarówno ci widzowie, jak i obserwujący Sakiewicza przechodnie widzieli, że jeden z funkcjonariuszy stoi kilka metrów od niego.

To, że Sakiewicz go nie widział, natomiast widział, że go nie ma, mnie nie dziwi; jest on znany z tego, że wszędzie widzi co innego niż inni. Widzowie telewizji Sakiewicza podkreślają, że to jedyna stacja szeroko informująca o faktach, które inne stacje przemilczają tylko dlatego, że rzekomo się nie wydarzyły. W opinii tych widzów fakt, że coś się nie wydarzyło, nie może być powodem, żeby wolne media – takie jak TV Republika – o tym nie informowały.

Z drugiej strony Sakiewicz jest znany z tego, że policjantów widzi wszędzie i żaden policjant, w mundurze czy pod przykrywką, się przed nim nie ukryje. Może w Krakowie miał gorszy dzień? Możliwe zresztą, że tamten policjant specjalnie stał obok niego w taki sposób, żeby Sakiewicz go nie widział, bo dostał rozkaz, żeby Sakiewicza skompromitować. Jeśli tak, nie ma powodu, żeby robić z niego ostatnią ofiarę, która nie widziała, że kogoś nie widzi.

Oprócz policjantów Sakiewicz wszędzie widzi hitlerowców ciemiężących polskość uosabianą przez patriotów takich jak Robert Bąkiewicz. Gdy berlińska policja zabroniła Bąkiewiczowi i jego Ruchowi Obrony Granic grupowego przemarszu przez miasto, Sakiewicz uznał to za „hitlerowski napad na Polaków", i pomścił go wycofaniem z anteny reklam niemieckich firm oraz wezwaniem do bojkotu niemieckich produktów. Zamiast tego postawił na reklamę zdrowych polskich produktów, takich jak Bąkiewicz, red. Kłeczek i on sam.

Po wydarzeniach w Krakowie, których ofiarą padł niewidzący nigdzie policjantów Sakiewicz, firma RTV Euro AGD ogłosiła wycofanie reklam i bojkot TV Republika, bo nie chce mieć z nią nic wspólnego. W odpowiedzi Sakiewicz wezwał widzów do bojkotu produktów RTV Euro AGD, gdyż „na wolnym rynku nie może być tolerancji dla niszczenia wolności słowa". Podziwiam jego zawziętość, ale boję się, że takim bojkotowaniem niewiele osiągnie. Jeśli naprawdę chce jakąś firmę surowo ukarać, to po wycofaniu przez nią reklam powinien zrobić wszystko, by ją w swojej telewizji reklamować za darmo do czasu, aż tymi reklamami ją skompromituje, doprowadzi do zrujnowania jej wizerunku i w konsekwencji do bankructwa.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 3ca6a7670d



Z CERN do Katowic

Już 5 grudnia rozpocznie się **10. edycja Śląskiego Festiwalu Nauki Katowice**. Wydarzeniem specjalnym będzie światowy finał FameLab International – jednego z najbardziej znanych konkursów w zakresie komunikacji naukowej. W ubiegłym roku funkcję gospodarza FameLab International pełnił CERN w Genewie. W tym roku najlepsi popularyzatorzy nauki spotkają się w Katowicach, a festiwalowa scena stanie się miejscem zmagań młodych talentów reprezentujących odmienne kraje, kultury i dziedziny. Staną przed tym samym wyzwaniem: w ciągu trzech minut dowieść, że nauka nie musi być trudna i że nawet największe problemy można przedstawić w jasny sposób.

Pierwsza edycja FameLab odbyła się w 2005 r. podczas Cheltenham Science Festival. Konkurs podbił serca nie tylko brytyjskiej, ale i światowej publiczności, stąd szybko pojawiły się jego krajowe edycje. FameLab cieszy się popularnością również w Polsce. W latach 2012–21 za jego krajowe finały odpowiadała Fundacja British Council we współpracy z Centrum Nauki Kopernik w Warszawie. Po przerwie konkurs powrócił na polską arenę naukową w 2024 r. z inicjatywy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach – lidera Europejskiego Miasta Nauki Katowice 2024.

Zapraszamy do Międzynarodowego Centrum Kongresowego w Katowicach. Festiwal potrwa **od 5 do 7 grudnia.**

MORZE ZMIAN

19.11 | 15:00

MORSKIE CENTRUM NAUKI,
SALA PLANETARIUM
UL. NAD DUŃCZYCĄ 1,
SZCZECIN

WSTĘP WOLNY

BAŁTYK PEŁEN ENERGII. ODRA Z PRAWAMI. PRZYRODA POD PRESJĄ.

TU ROZSTRZYGA SIĘ NASZA PRZYSZŁOŚĆ. POROZMAWIAJMY O TYM, JAK KORZYSTAĆ Z MÓRZ I RZEK, ŻEBY NIE STRACIĆ TEGO, CO NAM DAJĄ.

SPRAWDŹ SZCZEGÓŁY SPOTKANIA

ROZMOWA Z EKSPERTAMI

DR KAJA BAŁAZY
INSTYTUT OCEANOLOGII PAN, BADACZKA EKOSYSTEMÓW MORSKICH.

DR STANISŁAW KORDASIEWICZ
UNIWERSYTET WARSZAWSKI, FUNDACJA OSOBA ODRA, WSPÓŁAUTOR PROJEKTU USTAWY O OSOBOWOŚCI PRAWNEJ ODRY.

MICHAŁ WILCZEWSKI
WSPÓŁTWÓRCA EDUPOWER, SPECJALISTA BRANŻY ENERGETYKI WIATROWEJ.

PROWADZENIE:
KATARZYNA CZARNECKA
REDAKTORKA NACZELNA PROJEKTU PULSAR, KIEROWNICZKA DZIAŁU NAUKOWEGO „POLITYKI".

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE:
JACEK MAZURKIEWICZ
MUZYKA ELEKTRONICZNA Z WYKORZYSTANIEM ENERGII ROŚLIN.

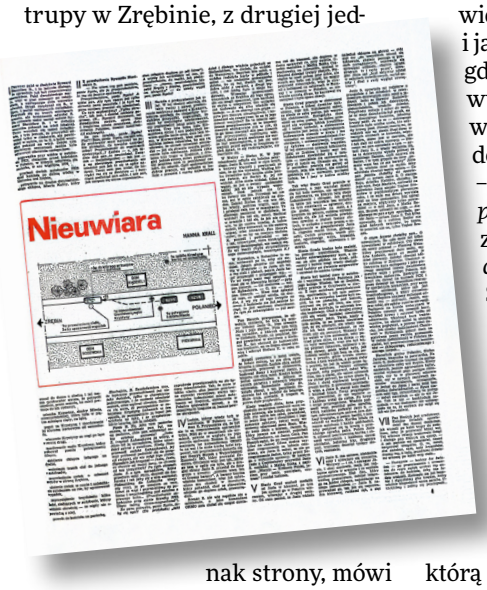
ORGANIZATOR POLITYKA PULSAR
SPONSOR PROJEKTU Enea
PATRONI MEDIALNI wiedza i życie ŚWIAT NAUKI
WSPÓŁORGANIZATOR MORSKIE CENTRUM NAUKI

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

Pół wieku temu wstrząsnęła nami historia tzw. zbrodni połanieckiej. Dziś fabularyzowaną wersję tych wydarzeń przypomina głośny serial HBO Max „Wśród nocnej ciszy" w reż. Jana Holoubka. My zaś wracamy do reportażu Hanny Krall „Nieuwiara", który 48 lat temu – a dokładnie w nr. 16 z 1978 r. – ukazał się na łamach POLITYKI.

„Narada z prokuratorem jak ująć. W tej okolicy zdarzają się takie rzeczy i nawet profesorowie medycyny sądowej z Krakowa, którym posyłają do ekspertyzy trudniejsze przypadki, sugerowali, że może by socjologów zainteresować, czy poprowadzić jakąś pracę wychowawczą. Trzy lata temu koło Klimontowa ojciec i syn poderżnęli bowiem gardło żonie syna, dwa lata temu, w Kurozwękach, ktoś zabił rzeźnickim nożem człowieka, bo mu się zdawało, że ukradł tatusiowi pieniądze – jak się okazało zresztą podejrzenie było niesłuszne. Półtora roku temu trzy trupy w Zrębinie, z drugiej jednak strony, mówi prokurator: – *Nie powinno nam to przesłaniać całości. Na odwrót. Ogół społeczeństwa dobrze pracuje, nie wchodzi w kolizję z prawem i mamy najmniejsze zagrożenie przestępczością na sto tysięcy mieszkańców. Tak że może w takim ujęciu* (...).


Nieuwiara
HANNA KRALL

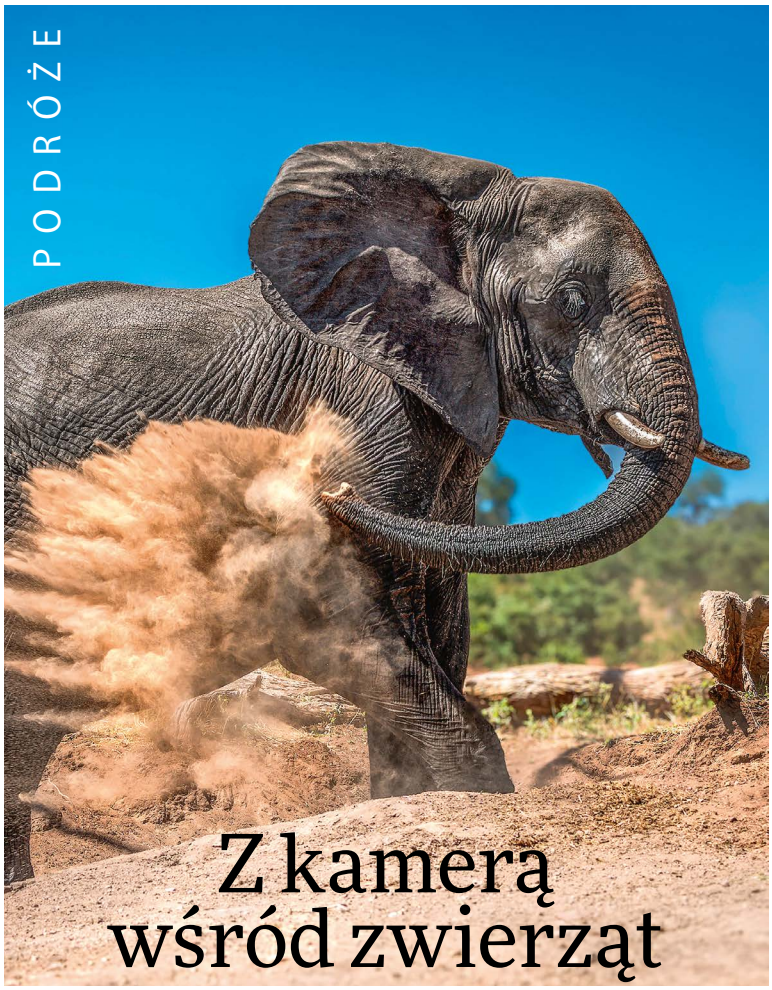
Stasio był tamtej nocy w autobusie i wszystko widział. Podobnie jak jego kolega Władek, też ze Zrębina, który pracuje w Grzybowie w siarce. – *Z tego autobusu powyskakiwali my* – opowiadają – *i ich tam pomordowali, i to wszystko.* Ludzie byli napici, bo na pasterkę, pod kościół, przynosi się po pół litra, ale oczywiście jak mordują, to człowiek trochę trzeźwieje. Choć z drugiej strony robi się wtedy bardziej niewładny, obezruchomy jakiś. Teraz, kiedy o tym myślę, to po prostu nieuwiara jest, że się zdarzyło, ale wtedy opadła ich taka obezwładność, że nie mieli siły się poruszyć. Wszyscy tylko wstali w tym autobusie, żeby patrzeć przez okno, co się dzieje – okna były zamglone, więc kto był blisko, przetarł rękawem najpierw z jednej strony, gdzie widać było, jak kobieta ucieka i jak lecą za nią, potem z przodu, gdzie trwała szamotanina z tym wysokim, a potem znów z prawej, bo już ją wlekli przez łąkę do autobusu.

– *Później człowiek wysiadł, żeby popatrzeć* – mówi Władzio, ten z siarki – *ale nawet człowiek nie chciał patrzeć, bo tamci* (Jasio S., Józio i dwaj zięciowie) *krzyczeli i grozili korbą.* Z powrotem powsiadali więc, a Jasio S. stanął koło maski i trzymał krzyż. – *Teraz przysięgniecie* – powiedział – *że nie wydacie* – i każdego wołał do siebie. – *Na krew i krzyż przysięgniecie.* Władzio podszedł więc, przekłuł palec agrafką, którą każdemu podawał Jasio S. – *Tym zakrwawionym palcem żem dotknął krzyżyka, a potem kartki, i żem odszedł na miejsce.*

Kartka leżała na masce autobusu i każdy podchodził, żeby podpisać się tą krwią z przekłutego agrafką palca. Potem Jasio S. schował pokrwawioną kartkę i obszedł wszystkich i każdemu dawał pieniądze, jednemu trzy, drugiemu pięć, trzeciemu dziesięć tysięcy złotych, rozmaicie".

eprasa.pl 3ca6a7670d

PODRÓŻE



Z kamerą wśród zwierząt

Park narodowy Chobe w Botswanie nie ustępuje tym lepiej rozreklamowanym w Kenii czy Tanzanii, a jest tu spokojniej. Co więcej, jest tu największa w Afryce populacja słoni.

Kapitan zaczyna nasz rejs od żartu: – *Lewy brzeg należy do Botswany, prawy do Namibii. Obywatelami którego kraju są bawoły na wyspie pośrodku rzeki?* Graniczna rzeka, na której jesteśmy, to Chobe, dopływ słynnej Zambezi. Tak samo nazywa się tutejszy park narodowy, utworzony w 1967 r. Po spędzeniu kilku godzin w terenowych autach propozycję wypłynięcia płaskodenną łódką na rzekę powitaliśmy z entuzjazmem. Jest przyjemny, przedwieczorny chłód, obserwujemy schodzące do wodopoju antylopy; są guźce i taplające się w błocie hipopotamy. Niedaleko naszej łódki wyleguje się krokodyl nilowy, robi wrażenie, bo ten gatunek dobija nawet do 6 m długości.

Zaczyna się zachód słońca i wszystkich opanowuje fotograficzny amok. Akompaniamentu dostarcza przyroda, zwłaszcza jej ptasia część. Ptaków w Chobe doliczono się blisko 560 gatunków. Moimi ulubionymi są wyjątkowo intensywnie ubarwione zimorodki malachitowe oraz bociany – fachowo zwane dławigadami afrykańskimi – inne od naszych, bo z żółtymi dziobami. Są także mieszkańcy parku, na których mało kto zwraca uwagę. Dowiadujemy się o nich w momencie, gdy nasz kapitan wyciąga ze schowka niewielką torebkę i częstuje jej zawartością. Okazuje się, że to mopane, larwy pewnego gatunku ćmy, nazywane tak od występującego w Chobe gatunku drzewa, na którego liściach żerują. Nie rwiemy się jednak do degustacji – i nawet argument, że to bogate źródło białka, jakoś nie zachęca. – *Nieżywe już...* – nie daje za wygraną kapitan. Więc w końcu kilka rąk się wyciąga.

Smak? Podobno ma przypominać skrzyżowanie orzeszków ziemnych z grzybami, ale jak dla mnie to porównanie na wyrost. Cóż, nie podbiły mojego podniebienia. Jednak przed powrotem do kraju idę do supermarketu i kupuję znalezioną na półce z chipsami paczuszkę suszonych „robali". Zakładam, że będą stanowić osobliwą przekąskę dla znajomych.

Wróćmy jednak do większych zwierząt. Główną atrakcją parku Chobe są słonie, jest tu ich największe zagęszczenie w całej Afryce. Obszar 11,7 tys. km kw. (tyle liczy sobie park, porównywalny wielkością z województwem świętokrzyskim) zamieszkuje ponad 50 tys. tych ssaków (a niektóre źródła mówią nawet o 140 tys.). Odmiana tutaj żyjąca to wyjątkowo duże osobniki, chociaż kły akurat mają małe i kruche, co jest efektem niedoborów wapnia. Dla tych zwierząt to szczęście w nieszczęściu: kość słoniowa kiepskiej jakości sprawia, że nie są wartościowe dla kłusowników, tak więc żywot mają beztroski. Mniej zadowoleni są żyjący w pobliżu parku ludzie, którym słonie niszczą mienie i plantacje. W pobliskim miasteczku Kasane można zauważyć rozwieszone na płotach odstraszacze, których odgłosy zniechęcają potężnych chuliganów do urządzania kolejnej demolki.

Spotkanie ze słoniami zaliczamy w Chobe kilkakrotnie: raz trafia nam się samotny samiec dostojnie kroczący drogą, innym razem – maluchy pod opieką samic buszujące w leśnym gąszczu, a potem jeszcze stadko przy wodopoju. Inne zwierzęta tworzące słynną Big Five, czyli Wielką Piątkę Afrykańską, też tutaj są. Lwów i bawołów nawet nie musimy tropić, same wychodzą nam pozować do zdjęć. Z lampartem jest trudniej – dopiero pobudka o świcie przynosi efekty, bo zauważamy go leżącego na drzewie po udanym polowaniu. Za to płochliwego z natury nosorożca niestety nie udaje się spotkać. Szkoda, ale nie oznacza to, że safari jest nieudane. Przyrodniczych wrażeń mamy i tak mnóstwo.

To, że symbolem parku narodowego Chobe jest słoń, to wybór z gatunku nomen omen oczywistych. Ciekawe jednak, że to nie on znalazł się w godle Botswany, ale zebry, które na obszarze Chobe też licznie występują. Stoi za tym ważne przesłanie: ich biało-czarne ubarwienie odzwierciedla botswańską harmonię społeczną, Warto tu dodać, że – jak podaje anglojęzyczna Wikipedia – biali w Botswanie stanowią zaledwie 1 proc. społeczeństwa... Dlatego to właśnie figurkę zebry kupuję na pamiątkę na lokalnym targu. ■



Monika Witkowska
– podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór") i przewodniczka grup trekingowych, m.in. w Himalaje. Prowadzi stronę www.monikawitkowska.pl.

eprasa.pl 3ca6a7670d

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Manuela Gretkowska wyraziście o Polsce: „Też mamy swój Ku Klux Klan. Komunizm, Katolicyzm i Kurwica". Trudno mieć pretensje. KKK został założony w miejscowości Pulaski.

Kuba Badach o poznaniu państwa Kwaśniewskich: „Nie wiedziałem, czy mówić dobry wieczór, czy od razu śpiewać hymn Polski?". Łatwiej będzie miał adorator córki Brauna. Hymn rosyjski jest krótszy.

Tragedia w Krakowie przynosi kolejne ofiary. Tomasz Sakiewicz stracił ostrość widzenia i nie zobaczył policji. Internauci sugerują większy telewizor. Wszystko wskazuje na to, że nie z RTV Euro AGD.

Jan Holoubek i Kasper Bajon rozpoczęli zdjęcia do serialu o łowcach skór dla Netflixa. Jest to historia racjonalizatorów z pogotowia ratunkowego w Łodzi, którzy zaniżali koszty NFZ.

Teatr 6.piętro zamierzał zignorować oficjalną żałobę i nie zamykać sceny na dwa dni. Po interwencji internautów decyzję zmienili. To najlepsza odpowiedź na pytanie, dlaczego mnie tam już nie ma.

„»Kryminalistka«, »cynik«, »upadek«. Korwin Piotrowska miażdży polskich skandalistów" – chwali się Pudelek. A wszystko to u nich, w mateczniku hejtu, szowinizmu i mizoginii. Przypomina mi to Palikota u Żurnalisty narzekającego na moralność.

Mariusz Pujszo, podobno reżyser, nie odwołał swojej gali Luksusowa Marka Roku – odbyła się w trakcie żałoby. Luksusowa Marka Roku. Ewidentnie Mariusz nie wygrał.

Emil W., mieszkaniec stolicy, został zatrzymany za komentarz po wydarzeniach w Krakowie: „Spokojnie, jutro akcja w Warszawie. Uważajcie na ulicach". Komentarz opublikowany w Kanale Zero. Napisałbym: „Jak pan, taki kram", ale słowo „pan" mi nie pasuje.

Uczestniczka „Top Model" Samuela Górska usłyszała 11 zarzutów za wpisy na platformie X. Grozi jej kara do pięciu lat więzienia. Plotki o małej szansie na karierę po „Top Model" uważam za nieaktualne.

W Żabce reklama Hot Dog Challenge z udziałem Jeana-Claude'a Van Damme'a i Skolima. Informacje o końcu kariery Belga okazały się prawdziwe.

Tede, publicysta Kanału Zero, wyznał, że podpisał apel o cofnięcie koncesji TV Republika. Piękny gest. Kanał Zero kosi konkurencję.

Rafał Olbrychski o ojcu: „Połowa Polski go kocha, połowa nienawidzi". Ja bym się nie martwił. 50 proc. Polaków nie wyraża zgody na bycie połową społeczeństwa.

Międzynarodowa Unia Astronomiczna ogłosiła, że jedna z planetoid Układu Słonecznego otrzymała nazwę na cześć Macieja Stuhra. Były recenzje, że jego nowy stand-up jest wyjeb...y w kosmos.

„Młodszy o 16 lat ukochany Cieleckiej przyłapany z inną aktorką" – donosi Pudelek. Wystarczy jedno zdanie i wiesz wszystko o tej części Polski.

Friz ujawnił, że jego dzieci nie odziedziczą po nim majątku. „Zapracuj sobie na swoje, moja droga" – zaapelował. Córka Karola ma trzy lata. To jest ten wiek, kiedy dzieci najczęściej pytają: „Dlaczego?".

Przemysław Rudzki, prawa ręka Krzysztofa Stanowskiego, zniknął z Kanału Zero. Pamiętam słynne zdjęcie Nikołaja Jeżowa ze Stalinem w 1937 r. Technika zniknięcia była podobna.

Plotek w formie: „Rogacewicz kłóci się w sieci z psem. Padło ostre »hau«". Tylko wagon tybetańskich mnichów to udźwignie.

Kanał Sportowy pokazał film, na którym Tomasz Adamek (USA) toczy spór po angielsku z Marcinem Najmanem (Częstochowa). Tomasz operuje językiem, w którym rozumiesz już Hindusów, ale Anglików jeszcze nie.

Jakub Żulczyk wypowiedział się na temat postawy TV Republika. Soczyście. Zacytuję słowa, które nadają się do publikacji: „Co to w zasadzie jest...".



© NICK DALE/SOLENT NEWS & PHOTO AGENCY, LESZEK ZYCH, TVN, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 3ca6a7670d

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Jak wyrażać patriotyzm?

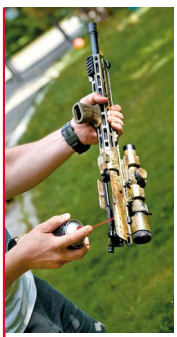
W studiu POLITYKI regularnie gościmy byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego (to nasza „miesięcznica polityczna"). Tym razem pytamy o niepodległość i jej świętowanie. „Mam wrażenie, że patriotyzm w wydaniu prawicy musi być wykrzyczany, nie jest za wspólnotą, tylko przeciw czemuś", zauważa Kwaśniewski. Rozmawiamy też o chaosie w Trybunale i roli prezydenta w rozwiązywaniu takich kryzysów.





Lajki to nie głosy

W podkaście „Temat tygodnia" wracamy do wydarzeń z Krakowa przez pryzmat social mediów: dwa obozy snuły tu skrajnie różne narracje, a prawicowi propagandyści zabiegali głównie o rozgłos. Michał Fedorowicz z kolektywu Res Futura w rozmowie z Karoliną Lewicką analizuje, co dokładnie działo się w internecie. Jak twierdzi, milion lajków nie przekłada się na milion wyborczych głosów.



W Polsce piekielnie łatwo o broń

Dlaczego sprawca zamachu w Krakowie otrzymał pozwolenie na broń? Na polityka.pl wyjaśnia to Zbigniew Borek, który trzymał w rękach taki sam karabin. „Nie wierzcie domorosłym ekspertom, którzy wymądrzają się teraz, jakie to trudne i jaki mocny odrzut ma ta broń. Guzik prawda", pisze. Autor tłumaczy, jakie formalne wymogi Michał Oksiński musiał spełnić, by otrzymać broń, i dlaczego to „piekielnie łatwe".



O migracji bez lęku

Co się dzieje, kiedy wieś traci ostatniego mieszkańca? Jak doszło do połączenia Siemiatycz z Brukselą? Czy boimy się przyjezdnych? W podkaście pulsara odpowiada dr hab. Wojciech Janicki, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, dyrektor Instytutu Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej. To rozmowa w ramach cyklu „Podróż po wiedzę", którego sponsorem jest Enea.



Black Friday w POLITYCE

Piszemy teksty i nagrywamy wideokasty dla czytelników i dzięki nim. Zapraszamy do naszej wirtualnej społeczności! Raz w roku – i ten moment właśnie nastał – cyfrowa subskrypcja POLITYKI jest aż o połowę tańsza. Do wyboru trzy pakiety: standard, premium i uniwersum, wszystkie do kupienia od razu na rok, dwa lub trzy lata. Subskrypcję można także za pół ceny sprezentować komuś bliskiemu.

© LESZEK ZYCH, SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ (2), TOMASZ PAWLAK

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 3ca6a7670d

ELEKTRA

Czytelnia Słów i Dźwięków



Pierwsza w historii antologia archiwalnych nagrań z lat 40.

Fogg-Record Antologia

premiera wydawnictwa
na sklep.mik.waw.pl

7 grudnia 2026

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

JEDNOSTKA ORGANIZACYJNA SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO

Mazowsze.

Fogg-Record

Albatros travel

Albatros 40 lat



„Dolce vita" w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Włoski targ i muzeum Etrusków. **Dz. 3** Całodzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem do Via Francigena. **Dz. 4** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 5** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. **Dz. 6** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 7** Degustacja win i urocze popołudnie w San Gimignano. **Dz. 8** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Cappella di Vitaleta i wizyta w Montalcino. **Dz. 9** Dzień wolny w Chianciano Terme. **Dz. 10** Wylot z Rzymu do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 30/05 2027

od **5.698,-**

W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje i Amalfi

Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Rzymu i przejazd do hotelu. **Dz. 2** Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. **Dz. 3** Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. **Dz. 5** Wycieczka do Sorrento. **Dz. 6** Wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herkulanum. **Dz. 8** Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 21/04 2027

od **6.498,-**

Włoska Riwiera, Monako i Èze

Wyjątkowa podróż od Nicei aż po Genuę przez piękne wybrzeże Ligurii z bazą wypadową w urokliwym miasteczku Diano Marina.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Nicei, krótkie zwiedzanie miasta i przejazd do Diano Marina we Włoszech. **Dz. 2** Spacer po Diano Marina. **Dz. 3** Wycieczka do Monako i średniowiecznego Èze. **Dz. 4** Wizyta w Genui. **Dz. 5** Relaks i wypoczynek w Diano Marina. **Dz. 6** Wycieczka do Val Nervia. Wizyta w Pignie i Dolceacqua z degustacją wina oraz krótka wizyta w San Remo. **Dz. 7** Muzeum Oliwy w Imperii. Nadmorskie miasteczko Alassio i Finale Ligure. **Dz. 8** Przejazd z Diano Marino do Nicei i powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 10/05, 31/05 2027

od **5.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL44**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., 2 posiki dziennie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 3ca6a7670d